

Istnieją równoległe światy.
Ich połączenie może
zakończyć się katastrofą...

ARS Dragonia

JOANNA
JODEŁKA

Literacki
EGDMONT

JOANNA
JODEŁKA

ARS Dragonica



Litoracki
EGMONT

© Joanna Jodełka

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o., Warszawa
2014

Redakcja: Agnieszka Trzeszkowska, Justyna Żebrowska

Korekta: Anna Jutta-Walenko, Anna Sidorek, Katarzyna
Paśnicka

Wydawca prowadzący: Natalia Sikora

Projekt okładki i stron tytułowych: Izabella Marcinowska

Ilustracje w środku: Piotr Walichnowski

Zdjęcia na okładce: © Shutterstock

Koordinacja produkcji: Jolanta Powierża

Wydanie pierwsze, Warszawa 2014

Egmont Polska Sp. z o.o.

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel. +48 22 838 41 00

ISBN 978-83-281-0432-7

Skład i łamanie: GJ-studio Grażyna Janecka

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

Portale dzielą się na:

proste (tzw. niestabilne), umożliwiające poruszanie się w dwuczacie osobom znającym zasadę tworzenia tafli krótkotrwałej, i złożone (tzw. sterowalne), które są osobnymi strukturami pozwalającymi na przemieszczanie się i zmianę form energii i bytów.

Mają one swoich niezależnych strażników, ideologię i charakter. Zostały stworzone przez pierwszych Nadarchitektów. Nikt nie wie, dokąd mogą prowadzić...

Mariusz Bajsert, ARS DRAGONIA – tworzenie światów,
t. I, rozdz.VI, Zasada działania portali

Prolog

Pokój tonął w mroku. Paliła się tylko metalowa lampka nad małym biurkiem. W jej świetle widać było unoszące się w powietrzu drobinki kurzu, szamoczącą się ćmę i poobgryzane paznokcie u rąk trzymających starą książkę.

ROZDZIAŁ 1

TA HISTORIA ZACZYNA SIĘ OD TERAZ

Eleonora Ramke chwyciła się za głowę. Ciepły wieczór idealnie nadawał się na spacer z psem. Zdziwiła się więc bardzo, gdy nagle poczuła świst powietrza, który targnął misternie upiętym wielkim kokiem, tak że połowa siwych włosów opadła jej na oczy. Kobieta odgarnęła je z oburzeniem. Rozejrzała się gniewnie dookoła, szukając sprawcy, ale nikogo nie zauważyła. Ulica była prawie pusta, w niektórych oknach starych kamienic na Limanowskiego paliły się już światła. Eleonora omiotła okolice podejrzliwym spojrzeniem, dopóki nie ujrzała gałęzi chwiejących się nad głową.

– Wracamy do domu! Będzie padać! – zawyrokowała, gdy w sklepowej szybie supermarketu dostrzegła swoje potargane włosy i liść na głowie. Strzepnęła go. Poprawiła szeroki szal. Zrobiła krok do przodu i stanęła. Smycz, na której prowadziła pieska, nagle się naprężyła. Kobieta odwróciła głowę i otworzyła szeroko oczy, dziwiąc się po raz drugi. Jej mały biały maltańczyk usiadł na chodniku i z całych sił zaparł się przednimi łapami. – Się moje maleństwo wiatlu psestłasyło? – zapytała cienkim głosem, nachylając się nad zwierzakiem. – Cy tego paskuda? – dodała, gdy kątem oka zobaczyła burego kundla z długim tułowiem na krótkich łapach. – Poczekamy, aż sobie pójdzie, niedobry... – oznajmiła, biorąc pieska na ręce. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle zamilkła.

Drugą stroną ulicy biegł jakiś człowiek, wymachując rękami. Wyłonił się z mroku i dopiero w świetle latarni Eleonora zobaczyła go dokładnie. Miał na sobie rozchełstaną białą koszulę, która wyglądała na porwaną. Był siwy i zgarbiony, strasznie dyszał, przewracał się, wstawał, ale próbował biec dalej. Najwyraźniej przed kimś uciekał, choć nikt go nie gonił. W końcu stanął i zaczął kręcić się w kółko, zasłaniając twarz rękami, jakby

się przed czymś bronił i odganiał coś, co przygniatało go do ziemi. Ale tam również nic nie było! Eleonora Ramke widziała to wyraźnie. Zerwał się tylko wiatr. Musiała odgarnąć włosy z oczu, żeby lepiej widzieć, i cały czas przytrzymywać je ręką, bo po ulicy zaczęły wirować drobne śmieci, unosząc się wysoko w powietrze. Cofnęła się pod ścianę.

– Zostaw mnie! – krzyknął starzec, gdy przewrócił się już na ziemię. – Nie dacie rady! – wołał, próbując dźwignąć się z kolan. – Nie uda wam się...! Nigdy! To nie wasz czas... On... – wykrztusił resztką sił. Potem zaczął się wić, wbijając rozczapierzone palce w twarz. W końcu skulił nogi i znieruchomiał. – Saros... Saros...

Eleonora usłyszała jeszcze raz charczący głos staruszka, gdy leżał już twarzą do ziemi.

Nagle wszystko ucichło. Wiatr zamilkł. Opadały tylko liście z poruszonych powiewem drzew. Otworzyło się kilka okien i zapaliły się światła w kamienicy, przed którą leżał nieruchomy mężczyzna. Potem zbiegli się ludzie. Ktoś przewrócił go na plecy i sprawdził, czy oddycha. Nie oddychał. Kilka osób cofnęło się z przerażeniem, patrząc na przeraźliwie powykrzywianą i podrapaną do krwi twarz.

Eleonora Ramke stała z boku, w milczeniu głaszcząc swojego trzęsącego się pieska. Zaczekała na karetkę. Dowiedziała się, że lekarz stwierdził zgon niejakiego Edwina Pitta. Wysłuchiwała jeszcze, jak kilka osób zgromadzonych na miejscu zdarzenia podejrzewa atak serca albo ślepej kiszki. I gdy już wszyscy się rozeszli, Eleonora też ruszyła z miejsca, niosąc psa na rękach, bo sam nie chciał iść. Miała własną hipotezę na temat tego, co się stało. To był jakiś wariat, i tyle!

Gdy znalazła się przed swoją kamienicą, zobaczyła Irenę, która jak zwykle siedziała w oknie na parterze, owinięta pledem w wypłowiałe perskie wzory. Prawie nigdy nie rozmawiała z sąsiadką, choć Irena mieszkała tu dłużej od niej, a niektórzy nawet żartowali, że od zawsze. Na pewno była od Eleonory dużo starsza, bardziej pomarszczona i do tego dziwaczna. Miała długie siwe włosy, które strąkami spływały jej na ramiona, i właściwie zawsze taki sam wyraz twarzy. Niektórzy mówili, że dobrotliwy,

ale Eleonora Ramke uważała, że zwyczajnie głupkowaty. Teraz jednak zapagnęła podzielić się z kimś niecodzienną wiadomością. W końcu nie każdego dnia ktoś pada trupem na ulicy.

– Wie pani, co się stało?! – zapytała Eleonora, robiąc tajemniczą minę i już chciała zacząć opowiadać, gdy sąsiadka obojętnie wzruszyła ramionami, kiwnęła głową i powiedziała:

– Wiem.

– To dobranoc! – burknęła zawiedziona Eleonora i odwróciła się na pięcie. Następną wariatką! – pomyślała, otwierając drzwi kamienicy przy Niegolewskich 24.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1901

Akta nr 23/35/10-09/1901

Ciąg dalszy sprawozdania z rozpracowywania niejawnej organizacji Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Mimo przeniknięcia do struktur stowarzyszenia nie rozpoznano jego celów. Na dzień dzisiejszy można jedynie założyć, że wbrew wcześniejszym ustaleniom organizacja rozpoczęła działalność znacznie wcześniej, niż do tej pory sądzono. Pierwsi jej członkowie mogli pojawić się w Poznaniu tuż po wielkiej powodzi w 1888 roku. Należy więc przypuszczać, że to właśnie ONI – wykorzystując swoje wpływy w berlińskich władzach centralnych i bezpośrednią znajomość ██████████ z rodziną cesarską – wpłynęli na zmianę wojskowych zakazów, które wcześniej nie pozwalały na rozwój miasta poza murami fortecy Poznań.

Nie trzeba przypominać, że decyzja o rozluźnieniu rygorów zabudowy wokół zewnętrznego pasa twierdzy nie spotkała się z akceptacją władz wojskowych najwyższego szczebla.

Wpływ organizacji na tę decyzję wymaga przeprowadzenia odrębnego śledztwa.

Wytyczne: należy dalej prowadzić wzmożoną inwigilację stowarzyszenia.

Szczególnym nadzorem zaleca się objąć powstające budynki przy Kaiserin Victoria Strasse 20a* i Augustastrasse 24*.

Kontynuować stałą obserwację
Paula Pitta i Bolesława Richelieu.

* Grunwaldzka 20a i Niegolewskich 24



Sokół stanął na balkonowym gzymsie przy zachodniej wieży zamku. Z tej wysokości widział wszystko. Ani drgnął. Poruszały się tylko czarne szkliste oczy w złotych obwódkach i powiewała błękitnoszara peleryna opadająca mu na skrzydła. Czekał.

Nagle peleryna zaczęła się unosić. I jeszcze zanim go zobaczył, Sokół wiedział już, że ten, na kogo czeka, przybywa. Najpierw zza drzew wyłoniły się olbrzymie, czarne jak smoła skrzydła. Potem zaczęły hamować wyciągnięte do przodu potężne szpony. Po chwili pazury wbiły się w barierkę balkonu, a połyskujące w świetle księżyca pióra ułożyły się na grzbiecie, spływając z małego szarego tułowia, zakończonego jeszcze mniejszą szczerowatą głową.

– Salve, panie! – wycharczała szcurza mordka, szczerząc kilka rzędów zębów cienkich jak małe szpikulce.

– Salve – odpowiedział Sokół, unosząc dziób. – Czy to prawda? Edwin Pitt nie żyje? – zapytał po chwili.

Szcurza mordka potwierdziła skinieniem głowy, wybałuszając przy tym małe czerwone oczy.

– Mówił coś?

– Tak, panie... Mówił, że się wam nie uda... – oznajmił chrapliwie stwór. – Powtarzał też, że... że to nie wasz czas... – dodał niepewnie, patrząc, jak jego rozmówca odwraca głowę.

– A skąd wiesz, że mówił o nas? – syknął Sokół po chwili,

wysuwając z dzioba rozdwojony język.

Stwór zapiszczał i skulił szczirowatą głowę. Pomiedzy wielkimi czarnymi skrzydłami widać było tylko małe, czerwone, łypiące naokoło ślepia.

Z głębi zamku dobiegł ironiczny głos:

– Ktoś odważył się wyeliminować Strażnika Smoczego Portalu przed Sarosem... i my o tym nie wiemy?

Po chwili zza balkonowego filaru wyłoniła się wysoka postać o małpiej twarzy zakończonej szerokim dziobem. Jej głowę okrywała biała peruka, której zaczesane do tyłu gładkie włosy spływały na ramiona, kończąc się ufryzowanymi na piersiach lokami. Gdy postać znalazła się na balkonie, w świetle księżycy zaślniły dwa rzędy złotych okrągłych guzików zdobiących purpurowy mundur.

– Jak to możliwe? – zapytał przybysz, spoglądając na szczirowatego stwora, który skulił się jeszcze bardziej.

– Witaj, Mizarze – powiedział Sokół, przymykając szkliste czarne oczy w taki sposób, że widać było tylko złote obwódki. – Każdy mógł się odważyć... – dodał cicho, po czym odwrócił się do szczirowatej mordki ze słowami: – Jesteś już wolny.

Stwór momentalnie rozpostarł wielkie pierzaste skrzydła i zniknął w mroku.

– A który każdy miałby tyle siły? – Z dzioba Mizara wydobył się drwiący głos.

– Choćby jego brat Oskar – wysyczał Sokół, pokazując koniuszek rozdwojonego języka.

Mizar oparł się owłosionymi małpimi łapami o barierkę. Przez chwilę nic nie mówił, patrzył tylko na ciemne niebo, po czym odwrócił się i spojrział na Sokoła.

– O co w tym wszystkim chodzi, Sokole?! – zapytał podniesionym głosem. – Brat Edwina, Oskar Pitt, siedzi w więzieniu od lat...

– Być może – przerwał mu Sokół złośliwym tonem, wysuwając z dzioba rozdwojony język. – Ale żyje! I zapewne ma sporo czasu na obmyślanie, jak się pozbyć brata, który go do tego więzienia wsadził.

– O ile mi wiadomo, dobrze go tam pilnują – odparł Mizar, drapiąc się pazurami po małej twarzy.

– Sprawdzales? – zapytał kpiąco Sokół i znów zmrużył szkliste oczy. – On miał motyw – powiedział i uniół skrzydła tak, że błękitnoszara peleryna zaczęła falować w powietrzu.

– I to mnie właśnie martwi, Sokole... – odrzekł po chwili Mizar, drapiąc się tym razem po zmarszczonym czole. – Nie unoś się tak. Motyw to mamy my... a właściwie ty! – dodał, patrząc mu prosto w oczy. – Czy to nie dziwne, że akurat teraz, gdy zbliża się Saros i pojawia się możliwość przejścia Smoczego Portalu, ginie jego Strażnik?

– Martwi cię to? – zasyczał Sokół, ponownie przysiadając na barierce.

– Podjąłem się szkolenia potencjalnego kandydata na Strażnika. Ale nie wyraziłem zgody na taką grę.

– I dobrze, bo ja w nic nie gram.

– Chciałbym ci wierzyć...

– I na tym poprzestańmy!

– Nikogo nie podejrzewasz?

– A to już moja sprawa!

Sokół znowu uniół się nad barierkę, tak że patrzący na niego Mizar musiał zadzierać głowę.

– Czy Mistrz już wie?

– Sam go zapytaj – odparował Sokół i odfrunął w kierunku drzew.

– Jest jeszcze syn Edwina Pitta, Robert – krzyknął za nim Mizar, a Sokół zakręcił kilka kółek w powietrzu, po czym zawisł dokładnie naprzeciwko małej twarzy Mizara.

– Wiem o tym nie od dziś.

– A czy pomyślałeś, że w takich okolicznościach może się tu pojawić jeszcze jego wnuk? W końcu wnuk jest spadkobiercą... – zaczął Mizar.

– Jakoś do tej pory Robertowi Pittowi nie zależało na obecności syna tutaj – przerwał mu Sokół. – Poza tym chłopak nie zna naszego świata – dodał, robiąc kółko nad małą głową Mizara.

– A jeśli ma dość talentu i mocy, by go poznać? Przecież jest... –

podjął Mizar, wpatrując się w falującą mu przed oczami pelerynę, lecz przerwał, gdy zobaczył, że Sokół znowu przysiada na barierce, tym razem tyłem do niego.

– Ale go tutaj nie ma! Rób swoje! – nakazał mu Sokół, odwracając głowę. – I nie przejmuj się tak bardzo. Zajmiemy się i nim – powiedział przymilnym już tonem. – Jeśli przybędzie... – dodał, wzruszając piórami, po czym odleciał w mrok.



– Jak nazwisko? – zapytał łysy mężczyzna, patrząc w ekran monitora. – Zaraz sprawdzimy, gdzie ten bagaż mógł się zagubić – dodał i podrapał się po resztkę włosów sterczących mu nad uchem.

– Se-Sebastian Pitt – odpowiedział chudy chłopak w czarnej bluzie z kapturem, nerwowo odgarniając znad czoła przydługą grzywkę, która tak samo jak reszta sięgających za ucho jasnych włosów sterczała we wszystkich kierunkach.

– Skąd pan do nas przyleciał? – zapytał mężczyzna, drapiąc się ołówkiem po głowie i ze znudzeniem patrząc na chłopaka, który mógł mieć około szesnastu lat.

Był raczej wysoki, lekko zgarbiony. Twarz miał pociągłą, z mocno zarysowaną szczęką, ciemniejsze od włosów grube proste brwi i smutne, trochę przymrużone czarne oczy. Kąciki ust mu opadały, nawet gdy się uśmiechał. Głowę chował w wysuniętych do przodu ramionach, a ręce trzymał w kieszeniach spodni.

– Z Palo-o-o-o Alto – burknął Sebastian, patrząc pod nogi.

– Ja cię! – jęknął głośno gruby rudy chłopak, który do tej pory nie odrywał wzroku od książki, czytając ją w oczekiwaniu na swoją kolej w biurze zagubionego bagażu na lotnisku Poznań-Ławica.

Sebastian ledwo na niego spojrział, a ten natychmiast podszedł i wyciągnął rękę.

– Jestem Eryk – odezwał się radośnie.

Sebastian zobaczył, jak na czerwonej pucołowatej twarzy rozlewa się szeroki uśmiech. Wyciągnął dłoń, choć wcale nie miał

ochoty poznawać grubasa w pomarańczowej koszulce. Poza tym rudzielec mógł mieć najwyżej dwanaście lat.

– Sebastian – odpowiedział tym razem bez zająknięcia i niechętnie uściśnął spoconą rękę chłopaka.

– To super! – zapiszczał Eryk.

Sebastian wzruszył obojętnie ramionami i odwrócił się na pięcie.

– Aż tak daleko byłeś?! Dolina Krzemowa... technopolis... Zawsze chciałem tam pojechać.

– A ja nie-e-e! – mruknął pod nosem Sebastian.

– To gdzie odesłać bagaż? – Od niechcianej rozmowy uwolnił go łysy mężczyzna za biurkiem. – Jeśli się znajdzie oczywiście – dodał.

– Na-a-a-a... Siemiradzkiego dwa – odpowiedział mu chłopak przez zaciśnięte zęby, starając się mówić jak najszybciej, aby nie zacząć się jękać w obecności wpatzonego w niego rudego grubasa.

– Siemiradzkiego – powtórzył powoli mężczyzna. – Dziękuję, to wszystko.

– To super! – jęknął rudy chłopak, prawie podskakując.

– Co? – warknął Sebastian, odbierając od łysego papierowy kwitek.

– Mieszkam obok.

– Przykro-o-o mi! – odparł Sebastian i popatrzył na coraz głupszą minę Eryka.

Potem prychnął, odwrócił się i odszedł.



– Tak, Mistrzu, przyleciał. Nie myliłeś się – powiedział do telefonu gruby, wielki osiłek, spoglądając przez zaciemnione szyby samochodu. – Tak, obserwuję go... Tak – mówił, nie spuszczać wzroku z chudego chłopaka, który sterczał z rękami w kieszeniach przed halą przylotów lotniska Ławica.



Sebastian chwilę kręcił się w kółko. Stojąc przed budynkiem, rozglądał się za innym wyjściem z hali. Po chwili zrezygnował i przestał się łudzić. Wokół było niemal pusto, nie licząc kilku wychodzących pasażerów i jednej szczupłej kobiety w obcisłym czerwonym żakiecie, biegającej na szpilkach tam i z powrotem. Chłopak zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta w nocy. Nikt na niego nie czekał.

Ojciec nie przyjechał.

Sebastian spojrzął jeszcze raz na wyświetlacz telefonu. Dzwonił do ojca już dwa razy. Trzeci raz nie zamierzał. Nie chciało mu się słuchać uprzejmej telefonicznej informacji, że abonent jest aktualnie poza zasięgiem. Tak samo zresztą jak przez całe jego życie.

Był wściekły. Stał i patrzył na odjeżdżające taksówki. Miał pieniądze, ale nie potrafił ruszyć się z miejsca. Poczuł na policzkach krople deszczu, który właśnie zaczął padać. Mógł się schować pod zadaszeniem, ale nie chciało mu się nawet zrobić kroku. Rozpiął tylko suwak bluzy, choć było mu zimno. Na koszulce widniał napis: „Life sucks!“. Wybrał ją celowo. Miał wrażenie, że się przyda. Pomogło na chwilę. Potem znowu wszystko zaczęło mu krzyczeć w głowie: „Dlaczego nawet tego nie mógł zrobić?! Przysłał bilety i pieniądze, wraz z informacją o pogrzebie dziadka. Nie wysilił się na zbędne słowa, nawet na telefon. A teraz nie przyjechał!”.

– Dlaczego, f...k! – zaklął pod nosem.

Popatrzył na pozostawioną na murku puszkę, która właśnie z niego spadła i poturlała mu się pod nogi. Kopnął ją z całej siły. Myślał, że przeleci przez pustą drogę, ale ona odbiła się od stojącej obok śmietniczki i uderzyła w duży czarny samochód terenowy, który stał zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy. Chłopak nie wiedział, czy ktoś jest w środku, bo pojazd miał przyciemniane szyby. Pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, była taka, żeby uciec, ale nagle pod samymi nogami

Sebastiana prawie z piskiem opon zatrzymało się małe zielone auto. Szyba powoli zjechała w dół.

– No, wsiadaj! Zmokniesz! – Przed oczami mignął mu złoty łańcuszek na głębokim dekolcie kobiety w czerwonym żakiecie, która wychylała się w jego stronę. – Wsiadaj. Podwieziemy cię! – powtórzyła nieznajoma, radośnie potrząsając blond lokami.

Może i była ładna, miała okrągłą twarz, duże oczy i wąskie czerwone usta, ale też była znacznie od niego starsza. Sebastian oniemiał i zdawało mu się, że zastygł z na wpół otwartymi ustami, nie wiedząc, co powiedzieć, i wtedy zobaczył, jak zza jej fotela wychyla się pucołowata twarz Eryka.

– Nie, wezmę taks-taks-taksówkę... – zaczął się jąkać, próbując zebrać myśli, bo nagle kątem oka dostrzegł, jak w czarnym samochodzie terenowym stojącym po drugiej stronie ulicy zapaliły się przednie światła.

– Po co! – zachnęła się kobieta. – Wsiadaj – dodała z uśmiechem.

– Chodź tu koło mnie! – zawołał Eryk, usiłując otworzyć swoje drzwi, ale nie mógł się poruszyć, przypięty mocno naciągniętymi pasami.

Sebastian zastanawiał się, czy nie dać mu się przez chwilę pomóc, ale kobieta znowu wychyliła się i krzyknęła:

– Tu nie można się zatrzymywać!

Chłopak spojrział jeszcze raz w kierunku terenówki. Postanowił nie ryzykować publicznej awantury nie wiadomo z kim i wsiadł.

– Widzisz, jak dobrze, że mieszkamy obok siebie – powiedział Eryk, uśmiechając się od ucha do ucha. Z tej radości zrobił się cały czerwony.

Sebastian tylko kiwnął głową.

– To dlaczego powiedziałaś, że ci przykro? – zapytał Eryk.

– Długo-oo nie-e-e-e mówiłem po polsku – wyjąkał Sebastian, widząc podejrzliwą minę kobiety, która zerkała na nich w lusterku samochodowym.

– Aha – rzucił ze zrozumieniem Eryk. – Po mnie przyjechała mama, a twoja...

– Moja nie żyje – odpowiedział jednym tchem.

Kobieta z przerażeniem obejrzała się na niego, jednocześnie

kręcąc kierownicą. Samochód wjechał na krawężnik.

– Jezu! – wrzasnęła, gdy już znalazła się na drodze. – Zostawiłam torebkę! – wyjaśniła i zawróciła samochód.

Zrobiła to w miejscu, w którym na pewno nie można było zawracać. Sebastian w panice chwycił się fotela, bo prawie otarła się o maskę dużego czarnego samochodu, któremu zajęchała drogę. Wszystko trwało ułamki sekund, ale chłopak był niemal pewien, że to ta sama terenówka, którą wcześniej widział na lotnisku. Odwrócił się, aby jeszcze się jej przyjrzeć, ale auto musiało pojechać dalej prosto, a oni znaleźli się na przeciwnym pasie.

– Jak na czerwiec mamy wyjątkowo zimną noc – powiedziała kobieta, gdy tylko ponownie znalazła się na środku jezdni. – Zazwyczaj jest cieplej – dodała, skręcając znowu na lotnisko.

Gdy wybiegła z samochodu, Sebastian zastanawiał się przez moment, czy nie uciec, ale tylko odwrócił głowę i zaczął ostentacyjnie patrzeć przez okno, po którym spływały grube krople deszczu.

Eryk za wszelką cenę próbował skłonić go do rozmowy:

– A wiesz, że ten nasz zespół Johow-Gelände, no, na Łazarzu, gdzie mieszkamy...

Sebastian nie zamierzał wysłuchiwać historii o lokalnych zespołach. Popatrzył na rudzielca z politowaniem.

– Bo... bo ja się tym interesuję – wyjaśnił nieśmiało Eryk.

Za oknem rozlegał się coraz głośniejszy huk lądującego samolotu, więc Sebastian opuścił szybę. Eryk próbował go zaczepić jeszcze raz czy dwa, ale on nie odpowiadał, udając, że nie słyszy. Zamknął okno dopiero, kiedy zobaczył czerwony żakiet matki Eryka.

– O, znalazła się, właściwie to w dobrym miejscu się zgubiła... – zaczęła świergolić uradowana kobieta, gdy tylko wsiadła do samochodu. – Bardzo się cieszę, że Eryk zyskał przyjaciela – dodała po chwili, uruchamiając silnik.

– Nie-e-e sędzę – powiedział cicho Sebastian i uśmiechnął się szeroko.

Kobieta nie dosłyszała jego odpowiedzi, ale obserwując go w

lusterku, też się uśmiechnęła. Eryk usłyszał i zacisnął usta.

Sebastianowi było wszystko jedno. W milczeniu odwrócił głowę i patrzył przez okno. Z początku miasto wyglądało w miarę normalnie, choć ulice zdawały mu się ciasne, a domy niskie. Nie tak je zapamiętał. Zresztą niewiele pamiętał.

Był małym chłopcem, gdy stąd wyjechał. Przez te wszystkie lata przyzwyczaił się do szerokich arterii i nowych szklanych budowli. Kiedy zjechali z głównej drogi, było jeszcze gorzej. Same wąskie i ciasne uliczki. Sebastianowi wydawało się, że zaczynają się kręcić wokół niego, że otaczają go cegły z małymi okienkami.

– Mamo, którędy ty jedziesz? – wyrwał go z zamyślenia Eryk, gdy zatrzymali się, czekając, aż jakiś samochód wyjedzie z bramy kamienicy.

Kobieta zaczęła się gorączkowo tłumaczyć. Sebastianowi nie chciało się słuchać ich rozmowy. Znowu wyglądał przez okno. Widział wysokie drewniane drzwi do kamienicy, wciśnięte między strzeliste kamienne kolumny. Nad drzwiami znajdowała się dziwna głowa w hełmie, a nad dwiema kolumnami – rzeźby. Przysunął twarz do samej szyby, żeby lepiej im się przyjrzeć. Zdawało mu się, że wyglądają jak małe nagie bobasy trzymające coś w rękach.

– To Dom Tramwajarza, z neobarokową dekoracją – wyjaśnił Eryk, pochylając się w jego stronę i wciskając rudą głowę w okno po stronie Sebastiana. Ten pomyślał, że jeśli grubas przysunie się jeszcze bliżej, to on nie wytrzyma i wbije mu łokieć w brzuch. – Wtedy często w dekoracjach pojawiały się takie putta...

Chłopak odwrócił się powoli od okna i popatrzył na Eryka tak, jakby chciał go zabić.

– Putta to takie aniołki niby... – zaczął tłumaczyć Eryk, wracając na swoje siedzenie. – Takie niesforne dzieciaki.

Sebastian zasłonił uszy rękami. Pochylił się i oparł głowę na kolanach. Miał dosyć. Zrobiło mu się duszno. Chciał wysiąść, ale bał się zapytać, jak długo jeszcze będą jechali. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, zanim samochód nagle zatrzymał się przed kamienicą.

– To tutaj? – spytała matka Eryka, parkując samochód.

– Nie-e-e-e-e wiem, chyba tak – odrzekł Sebastian, podnosząc głowę i spoglądając przez okno.

– Tu – potwierdził Eryk. – A co robisz jutro? – zapytał z prośbą w głosie i ułożył usta w podkówkę.

– Ju-u-utro będę... na-a-a pogrzebie!

Miał wrażenie, że pulchny Eryk zaraz się rozplacze, ale nie było mu go żal. Chwycił za klamkę.

– A będę mógł do ciebie wpaść? – zapytał Eryk, gdy Sebastian otwierał drzwi.

– Pewnie... spadaj, kie-e-edu chcesz – odburknął i wysiadł.

Deszcz ściekał mu po twarzy, gdy patrzył na zamknięte drzwi kamienicy numer dwa przy ulicy Siemiradzkiego.



Dziewczyna w różowych trampkach i zielonej sukience w kwiatki wyteżyła wzrok. Stała przed wejściem do kamienicy przy Kilińskiego 5 i akurat całowała się z chłopakiem. Było przed północą, trochę padało, za to nikt nie chodził po ulicy, więc całowali się od kilku minut. Od czasu do czasu zerkała tylko na to, co się dzieje dookoła, i teraz właśnie zobaczyła, że w ich stronę zmierza jakiś mężczyzna. Zastanawiała się, czy to ktoś znajomy, ale po sekundzie była już pewna, że go nie zna. A znała wszystkich mieszkańców kilku przylegających do Kilińskiego wildeckich ulic. Mężczyzna był elegancko ubrany – w czarną marynarkę i tego samego koloru podkoszulek. Mógł mieć czterdzieści parę lat, bo ciemne, wijące się w różnych kierunkach włosy przy skroniach były już siwe. Grube ciemne brwi przedzielały dwie wyraźne zmarszczki. Nieznajomy miał podkrążone oczy i zaciśnięte usta, których kąciki opadały. Dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie oburza go ich zachowanie i czy zaraz nie palnie im kazania. Odsunęła się od chłopaka i już chciała odezwać się pierwsza, gdy mężczyzna zniknął. I to powoli, jakby rozpląnął się w powietrzu. Oniemiała. Zamknęła oczy i otworzyła je ponownie, spoglądając uważnie w tamtym kierunku, ale nikogo już nie było. Zamrugnęła ze

zdziwienia, a potem potarła oczy ręką.

- Wpadło ci coś do oka? - spytał chłopak.

Nie usłyszał odpowiedzi, więc spojrział w górę. Stali przy drzwiach, nad którymi znajdowały się dwie kamienne głowy brodatych starców w czapkach. Ta bezpośrednio nad nimi skruszyła się już niemal doszczętnie. Prawie nie miała twarzy.

- Może to tynk się sypie z tej, no, rzeźby na ścianie? - zapytał po chwili.

- O czym ty mówisz? - krzyknęła dziewczyna, mrugając z niedowierzaniem.

- Pytam, czy coś ci wpadło do oka.

- Chyba ktoś! - wrzasnęła i odsunęła się od chłopaka na metr.

- Zdradzasz mnie?! - krzyknął jej prosto w twarz.

- Spadaj! Masz chyba jakieś zwidy! Idę do domu! - odgryzła się dziewczyna i trzasnęła za sobą drzwiami kamienicy przy Kilińskiego 5.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1903

Akta nr 45/37/03-07/1903

Z przesłuchania Antoniego Piontka

Antoni Piontek - pomocnik murarza, lat 54 - sam stawił się na komisariacie policji. Nieskładna opowieść, a przede wszystkim stan, w jakim wyżej wymieniony próbował złożyć zeznania, sprawiły, że odesłano go do domu pod groźbą zamknięcia w areszcie za zakłócanie porządku w stanie nietrzeźwym.

Notatka policyjna zawierająca ostatni adres zatrudnienia zwolnionego z pracy pomocnika murarza trafiła w ręce oficera operacyjnego. Nowo budowany obiekt jest objęty obserwacją.

Antoniego Pionka natychmiast powtórnie przesłuchano.

Zeznał on, że pracując przy budowie nowo powstającej kamienicy przy Bülowstrasse 5*, podczas spożywania alkoholu ukrył się za paletami z cegłą w jednym z pokoi na trzeciej kondygnacji. Tam też zasnął. Gdy się przebudził, było już ciemno. Z początku myślał, że na budowie nikogo już nie ma. Następnie usłyszał głosy. Wśród nich rozpoznał głos Jana Raczyborskiego, sztukatora, również zatrudnionego przy budowie kamienicy.

(Według najnowszej wiedzy operacyjnej zdobytej w wyniku rozpracowywania tajnej organizacji Ars Dragonia Architektów Wschodu to właśnie Janowi Raczyborskiemu powierzono ostatnio wykonanie jakiegoś wyjątkowego zadania. Niestety, nie udało się ustalić, czego to zadanie miałoby dotyczyć).

Nie jest wiadome, kto jeszcze był uczestnikiem opisywanego przez Antoniego Pionka nocnego spotkania, gdyż ten z obawy przed zwolnieniem z pracy nie wyszedł z ukrycia.

Z fragmentów zapamiętanej przez świadka rozmowy wynika jedynie, że trzecia kondygnacja ma być przeznaczona na więzienie. Raczyborski przekonywał pozostałych, że moc i energię z przenikającego się świata już pochwycono i teraz pozostaje tylko nadać formę i odpowiedni kształt strażnikom władającym aresztem.

Świadek Antoni Piontek utrzymuje, że widział tę moc w postaci jasności i „czegoś, co mu zapierało dech w piersiach” i „przygniatało go do podłogi”, chociaż ani na sekundę nie wychylił się z ukrycia do czasu opuszczenia kamienicy przez Raczyborskiego i towarzyszących mu dwóch osób. Wtedy Antoni Piontek wyszedł z kryjówki.

Dalsze zeznania Antoniego Pionka są niespójne i nader emocjonalne, głównie z powodu wciąż utrzymującego się stanu upojenia alkoholowego u przesłuchiwanego.

Z tego, co udało się zrozumieć, świadek utrzymuje, że widział ogromne jaszczurki, skrzydlate stwory, lwy i brodatych starców w czapkach z dzwoneczkami. Wszystko to razem

wirowało.

Antoni Piontek ponownie się ukrył, tym razem za nowo wstawionym piecem kaflowym. Tam znaleźli go rano koledzy, którzy przyszli do pracy. Według ich późniejszych zeznań wcisnął się tam tak mocno, że ciężko go było zza tego pieca wyciągnąć. Za spożywanie alkoholu w miejscu pracy i przebywanie bez zezwolenia w nocy na terenie budowy Antoni Piontek został dyscyplinarnie zwolniony. Następnie w stanie nietrzeźwym pojawił się na komisariacie.

Na dzień dzisiejszy trudno stwierdzić, w jakim stopniu przesłuchiwany cierpi na delirium tremens.

Bezwzględnie zaleca się powtórne przesłuchanie świadka.

Odręczny dopisek z dnia 05.07.1903 r.:

Po południu z rzeki Warty wyłowiono zwłoki Antoniego Piontka.

* Kilińskiego 5



Może właśnie tu należało rozpocząć poszukiwania mordercy mojego ojca, pomyślał Robert Pitt na wspomnienie tego, jak wyglądała krusząca się głowa Strażnika kamienicy przy Kilińskiego 5. Tam się rozpadają, tu znikają, zdołał już tylko westchnąć w duchu, przecierając ręką zmarszczone czoło.

Był nieprzytomny ze zmęczenia. Od trzech dni prawie nie spał, tylko chodził, rozmawiał, rozpytywał i analizował, kto mógł zabić jego ojca. Rany, jakie odniósł zmarły, mogły wskazywać co najmniej na kilkunastu sprawców, ale najważniejsze pytanie brzmiało: kto odważył się podjąć taką decyzję?! Kto miał tyle siły?

Robert wiedział, że Sokół za wszelką cenę pragnie opanować Smoczy Portal, ale czy zdobyłby się na coś takiego? Gdy ujrzał kruszącego się Strażnika, przestraszył się, że stryj Oskar może mieć z tym coś wspólnego. Miał ku temu powody. Ale najbardziej

przeraziła Roberta myśl, że to morderstwo jest częścią większego planu, którego nie rozumiał, a z którym będzie się musiał zmierzyć sam, bez ojca.

Przeniknął na drugą stronę i ruszył prosto pod drzwi aresztu. Stał i patrzył, jak z potężnego niegdyś Strażnika uchodzi resztką energii. Profos prawie nie miał twarzy, a to, co z niej zostało, dziwnie lśniło. Po splecionych w dwie siwe wstęgi wąsach i brodzie nie było już śladu, a znicz nad głową Strażnika tlił się tylko nikłym ogniem.

To koniec jednego z ostatnich Profosów, pomyślał Robert, widząc kropkę perlącą się na koniuszku jego nosa.

Na szczęście drugi Strażnik czuwał po przeciwnej stronie drzwi. Jego płomień świecił jasnym światłem, a stare mądre oczy patrzyły przenikliwie, bacznie obserwując wszystko, co działo się wokół.

Robert ostrożnie podszedł do drzwi. Znajdowała się w nich krata utworzona z długich łądyg zakończonych makówkami, które nieustannie się kołysały. Wiedział, że nie powinien podchodzić za blisko. Makówki mogły wypluć z siebie niewidoczne prawie ziarenka, które zdołałyby uśpić każdego. Na bardzo długo. Nawet na lata, jeśli wystarczająco głęboko przeniknęłyby do wnętrza ofiary. A gdy dostawały się do oka, wywoływały sen na jawie – nawet do końca życia.

Robert ukłonił się, gdy tylko rośliny przechyliły swoje nabrzmiące główki w jego stronę.

– Salve, Wielki Strażniku – przemówił.

– Witam cię, Robercie – odrzekła postać znad drzwi.

Strażnik schylił głowę, a wtedy poruszyły się dwa dzwoneczki sterzące po obu stronach jego czapki. Zadźwięczały cicho, prawie niesłyszalnie, ale to wystarczyło, by podniósł się alarm wokół aresztu. Ze zniczy buchnęły płomienie, a Robert Pitt przysłonił oczy i ledwo utrzymał równowagę, bo potężny podmuch cofnął go o kilka metrów. Dwa wiatry – Anemo i Anemo, które strzegły okien aresztu – nadeły się teraz, wyrzucając z siebie potężne masy powietrza. Skrzydła, które wyrastały im z ust, nadawały powietrzu kierunek i sprawiały, że

wszystko wirowało wokół budynku, tworząc barierę nie do przejścia. Mimo przysłoniętych oczu Robert zdążył dojrzeć jeszcze dwa zielone Amfibiosy przypominające kameleony. Amfibiosy rozłożyły błoniaste palce i przylepione do ścian obiegły cały budynek, po czym zniknęły. Domyślił się, że zaraz wrócą – sprawdzą tylko wszystkie kanały wodne i ziemne wokół aresztu oraz pod nim, a potem podejną do niego. Nie mylił się. Wkrótce poczuł je przy swoich nogach. Starał się stać nieruchomo. Oblazły go dwa naraz, czuł błoniaste łapy na twarzy i plecach. Przed oczami widział tylko złote końcówki ich ogonów, kształtem przypominające tulipany. Nawet nie mrugnął okiem. Wiedział, że są ostre jak brzytwa i nasączone jadem, od którego drętwiało serce.

Nagle, jak na zawołanie, Amfibiosy zlazły z niego i prawie jednocześnie przylepiły się z powrotem do ściany aresztu. W tym samym momencie ustał ruch powietrza. Wiatry Anemo i Anemo w jednej chwili pochłonęły wirujące powiewy i przestały ruszać skrzydłami. Wszystko ucichło. Oględziny zostały zakończone. Płomień nad głową Profosa znowu świecił spokojnie i na tyle jasno, że Robert dostrzegł w kącie okratowanego okna twarz starszego mężczyzny.

– Co cię tu do nas sprowadza, Robercie? – zapytał uprzejmie Profos.

Tym razem jego głowa się nie poruszyła, usta również pozostały niemalże nieruchome. Tylko siwa zapleciona broda powiewała lekko, kołysząc się tak samo jak łodygi tworzące kratę w drzwiach.

– Muszę z nim porozmawiać... – zaczął Robert, przygotowując się do wyjaśnienia, dlaczego właśnie teraz, po tak długim czasie, chce się spotkać z więźniem.

– Skoro musisz – przerwał mu potężny Profos i w tej samej chwili otworzyły się drzwi jednego z najpilniej strzeżonych niegdyś aresztów.

Robert uklonił się i zdziwiony zrobił krok do przodu, nie podejrzewał bowiem, że pójdzie mu tak łatwo.

– Twój ojciec Edwin Pitt też musiał... – odezwał się Strażnik, a

Robert zdrętwiał.

– Mój ojciec był tutaj? Naprawdę – wykrztusił ze zdumieniem.

Do tej pory był pewien, że ojciec nie widział się z bratem od osiemnastu, a może nawet od trzydziestu sześciu lat. Robert nie miał pojęcia, dlaczego ojciec go odwiedził. Po co chciał się z nim spotkać? Nigdy wcześniej nie wspomniał synowi o tym, że ma jakąkolwiek sprawę do stryja Oskara. Robert się przestraszył. Ostatnio ojciec w ogóle mało mówił, a on zwrócił na to uwagę dopiero wtedy, gdy było za późno.

– Tak. Był tu przed tobą – odpowiedział po chwili Profos, przyglądając mu się uważnie. – Czy wciąż jesteś pewien, że musisz wejść do środka?

Mężczyzna skinął głową. Teraz był tego pewien bardziej niż wtedy, gdy zdecydował się tu przyjść. Podeszedł do drzwi i czekał przez chwilę, aż makówki przestaną się kołysać. Gdy ułożyły się w równych rządach, nad głową gościa zaczęła powiewać wstęga z napisem „Salve”. Przekroczył próg aresztu i kamiennymi schodami poszedł na górę. Otworzyły się przed nim kolejne drzwi, a potem następne, które powiodły go do małego pokoju z książkami. Tam na drewnianym fotelu siedział stryj Oskar. Spojrzeli na siebie. Robert miał wrażenie, że stryj prawie się nie zestarzał. Może tylko włosy mu posiwiały, choć brwi pozostały kruczoczarne. Oskar miał takie samo przenikliwe spojrzenie małych czarnych oczu jak Edwin. Tyle że widać w nich było szaleństwo i obsesję.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem? – zapytał Robert i poczuł, że mimowolnie zaciska szczęki.

– Witam cię, bratanku – odezwał się stryj Oskar, pochylając głowę. – Ja przecież nic nie wiem – dodał bezradnie, rozkładając chude, pomarszczone ręce.

Robert wcale nie był tego taki pewien. Przyszedł tu po to, aby się o tym przekonać. Patrzył na przygnębionego staruszka, który od wielu, wielu lat – i tu, i tam – przebywał w zamknięciu. Wiedział też, że dwa wiatry nieustannie robią szum, nie dopuszczając do celi żadnych głosów z zewnątrz. Stryj Oskar potrafił być jednak wyjątkowo groźny i przebiegły.

– Nie wiesz zatem, że twój brat nie żyje? – zapytał Robert, starając się, by w jego głosie nie rozbrzmiały emocje, by nie zdrzął mu głos.

Usiłował wyczytać z twarzy stryja jak najwięcej, ale nic nie dostrzegł. Obaj długo milczeli.

– Nie wiedziałem – odezwał się stryj, opuszczając głowę. – Ale akurat o tym niepotrzebnie mi powiedziałeś... – dorzucił, cały czas patrząc w podłogę. – Nie będzie mi z tym lżej. – Znów milczał przez chwilę. – Jak zmarł? – zapytał w końcu ciszej.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – W głosie Roberta zabrzmiała nieskrywana ironia.

Jego ojciec był jedną z osób, które skazały Oskara na to więzienie. Bracia nie mieli więc powodów do wzajemnej sympatii.

– Mów, skoro już tu przyszedłeś, albo wyjdź! – warknął stryj podniesionym tonem, spoglądając na niego.

– Został rozszarpany – oznajmił Robert, a Oskar odwrócił głowę i przestał patrzeć mu w oczy.

Robert nie widział, jakie wrażenie zrobiła na stryju ta informacja. Ale wiedział na pewno, że staruszek ukrył przed nim twarz.

– O czym z nim rozmawiałeś? – zapytał gość po bardzo długiej chwili milczenia.

Żaden z nich nie chciał odezwać się pierwszy. Zresztą Robert stracił już nadzieję, że stryj cokolwiek mu powie z własnej woli.

– O czym? O naszych sprawach, drogi bratanku – odpowiedział Oskar. – O których ty nie masz pojęcia! – dodał z wściekłością w głosie, patrząc na gościa wzrokiem pełnym nienawiści.

– Dowiem się, jeśli miałeś coś wspólnego z jego śmiercią! – wycedził Robert przez zaciśnięte zęby.

– Grozisz mi? – zapytał stryj z politowaniem w głosie. – Właściwie czym ty możesz mi grozić? Siedzę tu przecież od lat. Nie mogę się stąd ruszyć. Nikt nie może tu do mnie przyjść. Tam nie ma po co... Cały czas jestem pod ścisłą obserwacją.

Stryj Oskar wykrzywił twarz, ze złością pokazując na fotel. Pokręcił głową w prawo i lewo. W ślad za jego ruchem

równocześnie odwróciły się dwie brązowe jaszczurze główki z wybałuszonymi zielonymi oczami, wypełniające przestrzeń w podłokietnikach po obu stronach fotela. Gdy tylko stryj wstał, błyskawicznie spelzły z fotela i owinęły mu się wokół nóg. Zrobił z nimi kilka kroków, po czym ostentacyjnie rozłożył ręce i zawrócił.

– Nie lubię z nimi chodzić – burknął Oskar i usiadł, a stwory błyskawicznie zajęły swoje miejsca, wślizgując się w wyżłobienia na podłokietnikach fotela. – Choć to i tak lepsze, niż nie chodzić wcale. – Zaśmiał się szyderczo. – Czym zamierzasz mnie jeszcze postraszyć? – zapytał, pokazując na okno, do którego przyklepione były dwa obserwujące ich Amfibiosy.

– Nie zamierzam ci grozić! – odpowiedział Robert przez zaciśnięte zęby. – Ale chcę, żebyś wiedział, że znajdę mordercę ojca. Obaj dobrze wiemy, że możesz mieć w tym więzieniu znacznie gorzej. – Spojrzał mu prosto w oczy. – Do tego stopnia, że te Pilnujki będziesz wspominał z rozrzewnieniem. Nie myśl sobie, że skoro nie ma ojca...

– Oj, jaki niedobry! Oj, jaki groźny bratanek – przerwał mu stryj Oskar, próbując przedrzeźnić jego minę. Potem zaczął śmiać się w głos. – Szkoda, że nie ma tu twojego syna, może okazałby się dla mnie trochę łaskawszy – westchnął po chwili, mrużąc roześmiane oczy.

Robert Pitt zacisnął zęby, tym razem tak mocno, że poczuł ból w szczękach.

– Nie będę dłużej z tobą rozmawiał – dodał Oskar, zmieniając ton. Na jego twarzy nie pozostał nawet cień wcześniejszego uśmiechu. – Nie muszę! To taka namiastka wolności – zakończył, unosząc wysoko podbródek.

Robert wiedział, że stryj już więcej się nie odezwie. Był uparty do granic absurdu. Przez chwilę stał i patrzył na więźnia. Potem bez słowa odwrócił się i wyszedł.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 14/36/08-01/1902

Dokument dołączony do sprawozdania
z rozpracowywania niejawnej organizacji
Ars Dragonia Architektów Wschodu.
Fragment notatki sporządzonej
przez informatora ██████████
w dniu 7 stycznia 1902 roku.

Od tego momentu stało się dla mnie jasne, że architekci działający na terenie rozbudowujących się dzielnic Poznania widują się na tajnych spotkaniach. Trudno określić, według jakiego klucza dobrała się ta grupa, bo skład jej jest wielonarodowy. Należą do niej na pewno: Herman Böhmer, Paul Preul, Teodor Jaretzki, Ludwik Frankiewicz, Max Biagini, Jan Raczyborski, Sante Zanetti, Franciszek Rotnicki, Luigi de Marco, Paul Pitt, Bolesław Richelieu i Emil Asmuss.

Sami dzielą się jeszcze na jakieś podgrupy, nie ma to jednak związku z ich pochodzeniem. Nie sposób stwierdzić, czy chodzi o talent, specjalizację czy hierarchię w organizacji, bo posługują się następującymi terminami: sztukmistrz wszechstronny, sztukmistrz rzeczy pierwszych, sztukmistrz obsesyjny, buntownik, prekursor.

Wszyscy uważają się za spadkobierców budowniczych piramid i gotyckich katedr. Trudno orzec, o jaką spuściznę im chodzi. Być może mowa tu o budownictwie jako takim? Z podsłuchanej rozmowy wynikało jednak jasno, iż uważają się za dysponujące potężną siłą tajemne bractwo. Podobno skrywają umiejętności związane z ujarzmianiem bliżej nieokreślonych mocy. Utrzymują, że potrafią to robić za pomocą przekazanej im

wiedzy. Może to następować tylko w ściśle określonych miejscach. Bliższe informacje uzyskam po spotkaniu z

Na dzień dzisiejszy trudno wskazać, jaki charakter ma to ponadnarodowe stowarzyszenie, gdyż spotkania odbywają się z zachowaniem wyjątkowej dyskrecji i towarzyszą im niezrozumiałe rytuały.

Odreczny dopisek:

Bezwzględnie zaleca się kontynuowanie stałej inwigilacji grupy. Konieczne jest wyjaśnienie, jak dalece spiskowy, antypaństwowy i antyrządowy charakter ma ta organizacja oraz czym może grozić dalsza jej działalność. Przeświećlić sugerowaną hierarchię. Ocenic możliwe skutki na przyszłość!



Sebastiana obudziło mocne szturchnięcie w ramię. Nie pamiętał, kiedy zasnął, przytulony do drzwi wejściowych kamienicy przy Siemiradzkiego. Usiadł tylko na chwilę, aby przemyśleć, co dalej ze sobą zrobić, zerknął jeszcze na telefon, ale ojciec nie zadzwonił. Więcej nie pamiętał. Za to teraz bardzo wyraźnie poczuł, że ktoś go szturchnął, i to po raz drugi.

- Te-e-ej... co ty tu robisz? - zapytał stojący nad nim muskularny, pryszczaty typ w niebieskim błyszczącym dresie.

Za nim stało dwóch innych - bardzo do niego podobnych.

Sebastian popatrzył na pryszczatego i zorientował się, że pytanie nie wynika z troski, a typek na pewno nie jest na wieczornym grupowym joggingu. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wzruszył tylko ramionami.

- A ty co-o-o? - zapytał znowu typ, z tym że teraz napiął kark, schował i tak krótką szyję i rozłożył ręce na boki.

- Ni-i-ic - próbował odpowiedzieć Sebastian najszybciej, jak potrafił, ale poczuł, jak głos więźnie mu w gardle.

Zobaczył, jak dwaj kompani typu ustawiają się po jego bokach.

– Ro-o-ozśmieszam cię? – zapytał jeszcze pryszczaty, już wyraźnie się jękając.

Sebastian chciał zachować powagę, bo sytuacja stawała się niebezpieczna, a wokół nie było nikogo. Nie był w stanie się jednak opanować. Pryszczaty nie mógł lepiej trafić.

– Ta-a-ak – odpowiedział, tłumiąc nerwowy chichot, wiedział bowiem z doświadczenia, że wszystko jedno, co powie, chłopak i tak uzna to za przedrzeźnianie.

Miał jednak nadzieję, że jeszcze przez chwilę porozmawiają, ale się pomylił. Pryszczaty obraził się natychmiast. Sebastian zauważył tylko minę typu, a potem pięść zbliżającą się do swojej twarzy. Zdążył dostrzec, że coś dziwnego przeleciało mu nad głową, nim poczuł przenikliwy ból. Powietrze wokół niego zawirowało. Usłyszał jeszcze szum, zobaczył uciekających chłopaków, a potem się przewrócił.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał na ziemi i jak długo był nieprzytomny. Nie wiedział również, czy otrzeźwił go ból gdzieś w okolicy brwi i kości policzkowej, czy to, że ktoś go dotyka.

Bardzo powoli otwierał oczy, a kiedy już to zrobił, nie chciał ich zamknąć. Bał się, że śni. Pryszczatego nigdzie nie było, a nad jego głową pochylała się dziewczyna. Nie wiedział, czy to wynik zamroczenia, ale miał nad sobą najładniejszą dziewczynę, jaką widział w życiu. W czarną noc, w świetle latarni, na tle księżyca... Nie odzywał się, bo nie chciał, żeby zniknęła, ale ona pochyliła się nad nim jeszcze bardziej. Czuł, jak jej długie brązowe włosy łaskoczą go w policzek. Gapił się w zielone oczy, które spoglądały hipnotyzująco spod trzepoczących długich rzęs. Okolone były ciemnymi kreskami i wyglądały trochę dziko. Sebastian długo nie potrafił oderwać od nich wzroku. Potem zobaczył bladoróżowe, lekko wydęte usta. Patrzył tak na jej twarz i miał nadzieję, że dziewczyna przysunie się jeszcze bliżej. Ale ona tkwiła nad nim nieruchomo.

– Wszystko w porządku? – zapytała i odsunęła się od niego.

Sebastiana nieco to zmartwiło, a z drugiej strony ucieszył się, że nie zniknęła i na dodatek się odezwała. Dotknął policzka. Nie

musiał mieć lusterka, żeby wiedzieć, że jest spuchnięty. Spróbował się podnieść. Chciał znowu być bliżej dziewczyny. Chwył się futryny, ale najpierw zaczął się rozglądać.

– Nie ma ich. Uciekli – powiedziała i uśmiechnęła się.

Sebastian pomyślał, że jej głos i uśmiech też są cudowne.

– Chyba się przestraszyli – dodała.

– Ciebie? – zapytał szeptem, za wszelką cenę starając się nie zająknąć.

– Nie wiem, czy mnie. – Dziewczyna się roześmiała. – W każdym razie coś ich spłoszyło – rzuciła beztrudno, po czym podniosła się z kolan i wyciągnęła rękę.

Najpierw zapatrzył się na tatuaż, który miała po wewnętrznej stronie nadgarstka. Nie wiedział, co przedstawia, ale przypominało to rozłożony wachlarz. W pierwszym momencie nie zorientował się, dlaczego wyciągnęła rękę, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że przecież siedzi. Chwył jej dłoń, wstał powoli, oglądając ją od stóp do głów. Zlustrował jej skórzane czarne buty za kostkę, białe rajstopy na chudych nogach, długi ciemnozielony obcisły sweter, który sięgał tylko do uda. Zauważył też, że sweter ma długie, postrzępione na końcach rękawy i odsłania jedno gołe ramię. Nieznajoma miała pióro przyłączone do swetra, dziwną czapkę pilotkę i śmieszne stare okulary. Sam już nie wiedział, na co ma patrzeć.

– Skąd tu-tu się wzięłaś? – zapytał po chwili.

– Przyszłam na ciebie popatrzeć – powiedziała dziewczyna, odgarniając włosy z ramion.

Uśmiechnął się. Był przy tym pewny, że wyglądało to co najmniej głupkowato.

– A ty co tutaj robisz? – spytała.

Sebastian zorientował się, że znowu się na nią gapi.

– Nie ma-a-am kluczy, dopiero-oo przyjechałem – zdołał wykrztusić.

– Skąd? – zapytała i uśmiechnęła się tak, że Sebastian musiał najpierw przełknąć ślinę, nim znowu odpowiedział równie głupio jak przed chwilą:

– Z daleka.

Dziewczyna westchnęła.

– To chodź, chłopaku z daleka. Poczekasz u mnie, aż znajdą się te klucze – zaproponowała.

Sebastian niemal się zakrztusił.

– Nie powinieneś tu siedzieć. Przyciągasz różne dziwne stwory – dodała nieznojoma enigmatycznie.

Bez słowa zrobił krok w jej kierunku. Nie wierzył, że coś takiego mu się przydarzyło. Stał z dziewczyną sam, w nocy, w świetle księżycy, i ona zapraszała go do siebie. Słyszała chyba przecież, że się jąkał, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Nie lubił rozmawiać z dziewczynami, bo zwykle już po paru zdaniach miały coś ważniejszego do załatwienia. Ale ta patrzyła na niego i ciągle się uśmiechała. Od tego momentu nie tylko dzień, ale cały przyjazd tutaj nabrał sensu.

Sebastian już otworzył usta, by powiedzieć, że pójdzie z nią, dokąd tylko ona zechce. Zrobił też kolejny nieśmiały krok w jej stronę, gdy nagle podjechał samochód i zatrzymał się tuż obok nich. Z auta wysiadł mężczyzna w czarnej marynarce i podkoszulku. Stał po nieoświetlonej stronie ulicy i dopiero gdy podszedł bliżej, Sebastian go rozpoznał. Tak właśnie go zapamiętał. Choć Kiedyś wydawał mu się wyższy. Mężczyzna szedł wolno, ze spuszczoną głową. Podniósł ją, gdy ich mijają. I wtedy się zatrzymał. Sebastian spojrzał mu prosto w oczy. Zobaczył w nich zdziwienie. Może przerażenie. Ale trwało to bardzo krótką chwilę. Potem mężczyzna już tylko mu się przyglądał. Trochę posiwiał na skroniach, miał więcej zmarszczek, ale patrzył tak samo jak kiedyś. Sebastian nienawidził tego spojrzenia. Zdawało mu się, że malują się w nim smutek i rozczarowanie.

– Zapomniałeś, jak wyglądam, czy po prostu zapomniałeś o mnie? – rzucił z wściekłością, patrząc ojcu w oczy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Sebastianowi wydało się to strasznie dziwne i dopiero po sekundzie zrozumiał dlaczego. Teraz byli tego samego wzrostu. Gdy widział go po raz ostatni, musiał zadzierać głowę, a ojciec wydawał mu się wielki. Teraz już taki nie był.

– Pożegnaj się, Sebastianie – powiedział Robert Pitt głośno, patrząc na dziewczynę. – Skoro przyjechałeś... Idziemy do domu!
– rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Chyba soo-oobie żarr-rrtujesz! – krzyknął Sebastian.

Był wściekły na ojca, że przyjechał właśnie teraz! Wściekły na siebie, że się ociągał, że gdyby wstał wcześniej, już by go tu nie było... I nie jąkałby się tak w bezsilnej złości.

– Nie, nie żartuję! – odparł stanowczo ojciec i podszedł do drzwi kamienicy z pękiem kluczy w ręku.

Odwrócił się i czekał.

– To dobranoc – powiedziała dziewczyna. – Dobranoc, Sebastianie – dodała, po czym ruszyła przed siebie.

Sebastian podbiegł do niej.

– Ja-a-a-ak masz na imię? – zapytał drżącym głosem.

Dziewczyna pokazała palcem na księżyc.

– Luna.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem.

Kiwnęła głową.

– A na-na nazwisko? – wyjąkał, licząc na to, że znajdzie ją przez Internet.

– Richelieu – odpowiedziała.

Sebastian nie miał pojęcia, jak to się pisze, ale nabierał coraz większej pewności, że Luna sobie z niego żartuje.

– Spo-o-otkamy się jeszcze? – spytał, czując, że głos mu się łamie.

Wiedział, że za chwilę w jego gardle pojawi się klucha i nie powie już ani słowa.

– Na pewno – odrzekła i znowu się uśmiechnęła. A potem zrobiła coś jeszcze. Podeszła i pocałowała go w policzek. Sebastian zamarł. – Wracaj. Ojciec na ciebie czeka. Z kluczami...

Na koniec roześmiała się, odwróciła się na pięcie i już po chwili zniknęła za rogiem.

Sebastian stał i patrzył na ciemną, pustą ulicę. Potem szybkim krokiem podszedł do ojca, który czekał na niego przy otwartych drzwiach.

– Też się cieszę, że cię widzę! – wykrzyczał chłopak jednym

tchem przez zaciśnięte zęby.

Nie zająknął się. Tego wieczoru nie spojrzął więcej na ojca i nawet słowem się do niego nie odezwał.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1901

Akta nr 28/35/15-09/1901

Notatka:

Należy rozważyć sugerowaną przez informatora konieczność objęcia obserwacją nieznaną z nazwiska kobiety, posługującej się imieniem Irene. Zalecana ostrożność. Parająca się wróżbiarstwem kobieta zapewne przepowiada przyszłość, umiejętnie manipulując stykającymi się z nią osobami. Zdaje się mieć nieznaną wpływ na organizację Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Należy również pozyskać szczegółowe projekty budowlane nowo powstającej kamienicy przy Augustastrasse 24*.

* Niegolewskich 24

Robert nie mógł zasnąć, choć już świtało. Spodziewał się najgorszego, przez myśl mu jednak nie przeszło, że właśnie teraz pojawi się jego syn. Miał nadzieję, że chociaż on jest daleko stąd, bezpieczny. A Sebastian pojawił się tutaj, w Poznaniu. Gdy Robert go zobaczył, przestraszył się, że śmierć ojca nie będzie ostatnia. Domyślał się już, kto będzie następny. Ta myśl go przygniotła. Zdawało mu się, że czuje na plecach śmiertelny ciężar. Poczł też, że już zbyt długo próbuje walczyć z przyszłością, z tym, co ma się

stać. Że nie zdoła zapanować nad losem.

Przez kilka ostatnich dni starał się nie myśleć o Sebastianie. Jego przyjazd był ostatnią rzeczą, jakiej by sobie teraz życzył. Nawet nie poinformował syna o śmierci dziadka, bo nie chciał, aby się tu zjawił. Nie miał pojęcia, kto mógł go tutaj sprowadzić. Gdy zobaczył Sebastiana pod drzwiami, poczuł taki ból, jakby ktoś rozszarpywał mu serce na kawałki. Dzieciak wyrósł. Zmężniał. Stał się podobny do niego. Robert dostrzegł bunt w oczach syna. Zauważył też nienawiść i żal. Rozumiał go. Ale nie mógł i nie potrafił wytłumaczyć mu tego wszystkiego.

Przez godzinę stał na balkonie. Potem wyszedł z domu. Nie był to najlepszy pomysł, jednak innego nie miał. Tylko Irene mogła spojrzeć w głąb czasu i może tym razem dać mu nadzieję. Dotarł pod kamienicę na Niegolewskich 24. Stał po drugiej stronie ulicy i patrzył przed siebie zmęczonym wzrokiem. Na ulicy nie było nikogo oprócz starszego pana z siwymi włosami sięgającymi do ramion, który podpierając się czarną laseczką, tkwił pod oknem Irene. Robert chwilę mu się przyglądał. Z początku myślał, że to przypadkowy przechodzień zatrzymał się na poranną pogawędkę. Ale potem go rozpoznał. To był Mistrz Asmuss! Gdy tylko sobie to uzmysłowił, schował się za drzewem i czekał. Setki myśli szaleńczo krążyły mu po głowie. Co Mistrz tu robi? Nie widział go od tak dawna. Dlaczego pojawił się akurat teraz? Czy mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią ojca? Musiało tak być! Robert nie wierzył w zbieg okoliczności. To coś znaczyło. Co do tego nie miał cienia wątpliwości. Czego Mistrz chciał się dowiedzieć od Irene?

Robert nie słyszał, co mówią, ale nie mógł podejść bliżej. Na pewno by się zorientowali. Patrzył więc najpierw na nich, potem na kamienne sztukaterie kamienicy przy Niegolewskich. Po tej stronie wyglądały niegroźnie, dobrze jednak pamiętał, jak niebezpieczne potrafią być małe smoki, lwy i czarny łabędź. I nie lubił sobie tego przypominać... Na szczęście Mistrz Asmuss szybko skończył rozmawiać i odszedł powolnym krokiem, stukając laseczką o płyty chodnika. Robert odczekał chwilę, rozejrzał się, rozrzedził przestrzeń i przeniknął do drugiego

świata.

Tu wszystko jaśniało i poruszało się inaczej. Tylko Irene była w tym samym miejscu, choć inna. Tam miała zwykle siwe włosy, które w tym świecie wyglądały jak srebrny puch. Pled, którym była okryta, mienił się setkami kolorów. Od twarzy, chociaż pomarszczonej, bił dziwny blask. A ona sama patrzyła spokojnie, od czasu do czasu uśmiechając się do dwóch małych smoków, które zawijały ogony wokół jej rąk i unosiły się w powietrzu. Nie można było od nich oderwać wzroku. Miały małe, ptasie, opierzone głowy i węzowe, łuskowate, długie ogony. Zielono-błękitne pióra smoków połyskiwały, a ogony iskrzyły. Drżące błoniaste skrzydła były przezroczyste, ale mieniły się wszystkimi kolorami jak bańki mydlane. Robert patrzył na nie, dopóki nie poczuł, że w górze szybuje wielki czarny łabędź. Spojrzał na niego i zobaczył, jak ptak spływa i zawisa w powietrzu, majestatycznie machając przed nim lśniącymi skrzydłami.

– Witaj, Denebie – powiedział Robert i pochylił głowę.

– Witaj – odrzekł łabędź.

Robert patrzył na jego szyję i wiedział, że w każdej chwili może ona owinąć się pod jego brodą, a wtedy potężne skrzydła obejmą go i uściskną tak, że nie będzie mógł złapać tchu. Pamiętał o tym, ale tym razem Deneb tylko zamachał skrzydłami i znów się unióś, krążąc nad jego głową.

– Witaj, Erraksisie, witaj, Arraksisie – zwrócił się mężczyzna do małych smoków i lekko skłonił głowę, a one równocześnie zamachały skrzydłami.

Robert stał i czekał. Miał do Ir masę pytań, ale ona nie odpowiadała na wszystkie. Udzielała tylko odpowiedzi, które sama uważała za istotne. Niejednokrotnie okazywały się zrozumiałe dopiero po czasie, w którego głąb potrafiła wnikać, jeśli tylko zechciała.

– Podejdź bliżej, Robercie... jeśli jesteś tego pewien – odezwała się w końcu Irene.

Robert zrobił krok do przodu, choć wcale nie był tego pewien, ale tak bardzo pragnął usłyszeć od niej chociaż jedno słowo, które da mu nadzieję, że jednak nie stanie się to, co nieuniknione.

– Witaj, Ir – pozdrowił ją i pochylił głowę najniżej, jak mógł.

Przypomniął sobie moment, kiedy tego nie zrobił. Kiedy ogarnęła go złość i wściekłość. Kiedy próbował przeciwstawić się jej słowom. Tym razem nie krzyczał, nie podnosił butnie głowy. Nie odgrażał się wszystkim i wszystkiemu. Tym razem nic nie mówił. Stał pochylony.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. To był Wielki Sztukmistrz. Ale ty niepotrzebnie tu podszedłeś – powiedziała Ir, a smoki usiadły jej na ramionach. – Widziałeś już, co się zdarzy, prawda? Czas ci to pokazać. Na nic twój bunt.

Robert opuścił głowę jeszcze niżej. Przed oczami znowu pojawił mu się złowieszczy obraz.

– Pamiętaj, Robercie... – odezwała się Ir po dłuższej chwili, spoglądając na niego i głaszcząc smocze ogony – ...mylisz się.

Mężczyzna gwałtownie podniósł głowę, tym razem z nadzieją. Poczul ją pierwszy raz od bardzo dawna, nie pamiętał już od kiedy. Niczego tak nie pragnął, jak się mylić. Wiedział też, że nadszedł moment, gdy Ir powie coś znaczącego, choćby nawet teraz tego nie rozumiał. Wszystkie stworzenia skupiły się wokół niej. Nad głową kobiety zawisł czarny łabędź. Z góry spłynęły dwa morskie stwory, a smoki tak szybko machały skrzydłami, że zdawały się tworzyć tęczę.

– Robercie, pamiętaj – powtórzyła raz jeszcze, patrząc mu prosto w oczy. Jej głos otaczał go ze wszystkich stron. – Nie jest najgorsze to, co się zdarzy. Najgorszy jest strach. Strach przed tym, co się może zdarzyć! Ten strach zabija.

Robert zaczął żałować, że tu przyszedł. Chciał, by Ir powiedziała coś konkretnego, co dałoby mu nadzieję. Cokolwiek. Ale ona nie odezwała się już ani słowem.

Czekał do chwili, gdy smoki sfrunęły jej z ramion i zawisły przed nim, sycząc i wysuwając z dziobów długie, rozdwojone, metaliczne jęzory. Miał po nich ślady na całym ciele. Wiedział, że spotkanie właśnie się zakończyło.

Smocze syczenie dźwięczało mu w głowie przez cały czas, gdy wracał do domu.



Sokół siedział na parapecie. Kręcił głową. W świetle wschodzącego słońca lśniły złote obwódki wokół jego szklistych czarnych oczu.

– A więc o to chodzi – powiedział cicho, prawie nie otwierając dzioba.

Postać kryjąca się za ciemną zasłoną ledwo uchylonego okna kiwnęła głową. W milczeniu gładziła palcami srebrną rączkę czarnej laseczki, która przypominała kształtem mieszczącą się w dłoni niedomkniętą muszlę.

– A więc to zobaczył Robert Pitt. – Sokół wciąż kręcił głową z niedowierzaniem, wypowiadając urywane zdania. – Widział własną śmierć. Tego się boi... Ujrzał, jak zabija go... nie kto inny, tylko jego własny syn. Syn go zabije? Jesteś tego pewny, Mistrzu Asmussie? – zapytał jeszcze i zobaczył, jak pięść zaciska się na srebrnej muszli. Spomiędzy palców zaczęła wypływać oślizgła maź. – Wybacz – rzucił Sokół, zaciskając mocno dziób, i sfrunął z parapetu.

Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 27/36/20-03/1902

Ze wstępnych ustaleń wynika, że architekt i członek rady miasta Emil Asmuss nie jest już związany z organizacją Ars Dragonia Architektów Wschodu. Należy określić przyczyny konfliktu i dowiedzieć się, czy nie można wykorzystać tej sytuacji do rozpracowania grupy.

Zaleca się w dalszym ciągu prowadzenie obserwacji, z zachowaniem szczególnej dyskrecji. Emil Asmuss jest wpływową postacią we władzach lokalnych. Ma również

rozległe kontakty w Berlinie i w Wiedniu.

Uwaga:

Dowiedzieć się, co kryje się pod nazwą Astarte. Nazwa ta często pada zamiennie ze słowem Wielki Małż (???)

ROZDZIAŁ 2 W KTÓRYM HISTORIA SIĘ POWTARZA

Gdy Sebastian Pitt poczuł, że ktoś zaczyna go budzić, pomyślał, że jest środek nocy. Zdawało mu się, że śni, bo kiedyś często śnił mu się taki obrazek. Ze zdziwienia przetarł oczy. A gdy tylko dotknął ręką twarzy, zabolął go policzek. Chwilę trwało, nim przypomniał sobie, skąd się wziął ten ból. Potem przed oczami pojawiła mu się Luna, ale nie na długo. Nad łóżkiem stał ojciec. Sebastian popatrzył na niego, wspominając, jak wiele razy marzył o takim widoku... Teraz przekreślił się na drugi bok.

– Wstawaj – odezwał się ojciec łagodnym tonem.

Sebastian nie zamierzał go jednak słuchać, przykrył więc głowę poduszką.

– Zo-o-ostaw mnie w spokoju! – krzyknął.

– Przyjechałeś na pogrzeb – przypomniał mu ojciec – więc może się na niego wybierzesz.

– To nie ty-ty-ty mi kazałeś? Nie-e-e ty przysłałeś zawiadomienie... tydzień te-e-emu? – zapytał Sebastian, podnosząc się z łóżka.

– To nie ja... – Ojciec pokręcił głową. – Co powiedziałaś? Tydzień temu? – Spojrzał uważnie na syna.

Sebastian przytaknął. Nie chciało mu się odpowiadać, więc wychylił się z łóżka i wyciągnął z bluzy kartkę z informacją, że ma natychmiast przyjechać na pogrzeb. Ojciec wziął ją do ręki i długo na nią patrzył.

– Tak czy inaczej... Wstawaj, jeśli chcesz iść. Za godzinę powinniśmy być na cmentarzu – dodał.

– Więc kto mi-i-i to wysłał?! – spytał zaskoczony Sebastian.

– Sam chciałbym to wiedzieć – mruknął Robert do siebie i wyszedł z pokoju, gniotąc w pięści kartkę.

Chłopak usiadł na łóżku. Zawiadomienie o śmierci Edwina Pitta razem z biletami na samolot przyszło na adres ciotki.

Rzeczywiście, ojciec nawet nie zadzwonił. Sebastian nie zamierzał przyjeżdżać, ale przypomniał sobie, jak dziadek płakał, gdy odprowadzał go na dworzec w Poznaniu. Potem Sebastian zrozumiał, że w przeciwieństwie do niego dziadek wiedział doskonale, co ten wyjazd oznacza. Wtedy miał sześć lat i nie zdawał sobie sprawy z tego, że wyjeżdża na stałe. Najpierw myślał, że to tylko niedługa wycieczka, na jeden rok szkolny. Sebastian uznał, że ojciec, który zmienił się po śmierci matki, celowo wysyła go z ciotką na drugi koniec świata, do miasteczka, w którym oprócz kilku szklanych budynków nie było niczego. Wtedy jeszcze miał nadzieję, że niedługo wróci, czekał, aż ktoś po niego przyjedzie i go zabierze. Potem przestał czekać. Dzwonił w miarę regularnie, ale już od bardzo dawna nie miał z ojcem o czym rozmawiać. Nie zamierzał się też jąkać przez telefon, więc rozmowy nigdy się zbyt nie kleiły. Sam właściwie nie wiedział, dlaczego przyjechał na ten pogrzeb. Może miał nadzieję, że ojciec chce się z nim spotkać. Może pragnął wykrzyknąć mu swoją złość. Teraz przestał już się łudzić i nie miał zamiaru nawet z nim rozmawiać. Zastanawiało go tylko, kto wysłał zawiadomienie o pogrzebie. Nikt nie przychodził mu do głowy, więc zaczął rozmyślać o Lunie i przypominać sobie, jak pochylała się nad nim... jak łaskotała go jej włosy...

W końcu niechętnie wstał z łóżka i rozejrzał się po pokoju. Nie miał zbyt wielu wspomnień z dzieciństwa, ale wydawało mu się, że od jego wyjazdu nic się tu nie zmieniło. Tylko wszystko było jakby mniejsze. Na krześle leżały ubrania z poprzedniego dnia. Nie uśmiechało mu się, że będzie musiał włożyć to samo, ale wciąż nie odzyskał jeszcze zaginionego na lotnisku bagażu. Przestał o tym myśleć, gdy tylko wszedł do łazienki i zobaczył swoją twarz w lusterku. Miał podbite, sinofioletowe oko.

Ale to nie z tego powodu Sebastian na cmentarzu trzymał się z daleka od ojca. Nie chciał stać obok niego. Pomyślał zresztą, że i ojcu będzie to na rękę. Oprócz podbitego oka miał też podkoszulek włożony tył na przód, żeby nie było widać napisu spod bluzy, którą nosił już drugi dzień. Poza tym nie wiedział, jak powinien się zachować. Właściwie niewiele pamiętał i niewiele

czuł. Czekając, aż się to wszystko skończy, stanął z boku, obok śmiesznej kobiety z wielkim kokiem na głowie, trzymającej na rękach białego pieska z głupią kokardką na łebku. Z nudów patrzył na tego psa, gdy do kobiety podeszła druga, zaczęły się witać i szeptać na tyle głośno, że je usłyszał. A potem coraz uważniej przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Wie pani, musiałam przyjść... Przy mnie padł trupem ten Edwin Pitt – powiedziała z przejęciem kobieta z pieskiem.

– Co też pani powie! – zdziwiła się kobieta bez pieska. – I jak to było? – spytała zaciekawiona.

– No... najpierw to biegł jak szalony. Potem machał rękami, a potem padł. – Kobieta próbowała pokazać, jak to wyglądało, ale trzymała pieska, więc tylko się zatrzęsała.

– Ja to wszystkim powtarzam, że w tym wieku nie ma co biegać – powiedziała druga i obie pokiwały głowami.

– A pani go znała? – zapytała ta z pieskiem.

– Niezbyt, ale widziałam go ostatnio. Mieszkam obok jego brata. Zresztą myślałam, że on dziś przyjdzie, to znaczy, że go ktoś przywiezie, to się z nim zabiorę. – Westchnęła, rozkładając ręce. – Bo wie pani, on to w ogóle nie wychodzi, ale myślałam, że na pogrzeb brata ktoś go zabierze... Choćby ten bratanek. – Pokazała palcem na Roberta Pitta, który właśnie przyjmował kondolencje od różnych nieznanym Sebastianowi osób.

– Tamten, taki elegancko ubrany? – Kobieta z pieskiem podążyła wzrokiem za palcem, po czym z dezaprobatą pokręciła głową. – W dzisiejszych czasach po tej młodzieży nie można się spodziewać niczego dobrego.

– Ma pani rację. Żeby własnego stryja na pogrzeb nie przywieźć! To do niego podobne, pomyślał Sebastian i z nienawiścią popatrzył na ojca. Chwilę się zastanawiał, po czym podszedł do kobiet.

– Prze-e-epraszam – odezwał się uprzejmie.

Kobiety były zaskoczone tym, że ktoś je zaczepia, a potem obie jednocześnie się skrzywiły, spoglądając na jego podbite oko.

– Trening... piłka... – wytłumaczył szybko, robiąc zboląłą minę. – Panie są ta-a-akie troskliwe – powiedział i zobaczył, że

uwierzyły, bo obie jednocześnie się wyprostowały. – Od tego pana, który zmarł, po-o-ożyczyłem książkę i-i-i-i nie zdążyłem od-oddać. Ten pan wspo-o-omniał, że książka należy do jego brata i jest bardzo cenna... – wyjawiał prawie szeptem, próbując nie zwracać uwagi na to, że patrzą na niego ze współczuciem z powodu jąkania się. Tylko czekał, aż zaczną kończyć wyrazy za niego. – My-y-yślałem, że go tu-tu spotkam. – Sebastian zrobił smutną minę, a kobiety pokiwały ze zrozumieniem głowami. – Nie-e-e znam adresu – dokończył, bezradnie rozkładając ręce.

– Ależ pan uprzejmy – zachwyciła się kobieta bez pieska. – Pan Oskar mieszka przy Kilińskiego pięć, nade mną...

– Bardzo pa-a-ani dziękuję – powiedział Sebastian.

Zapisał adres w telefonie, kątem oka zerkając na ojca, który uważnie go obserwował. Chłopak nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zniesmaczoną zrobił minę, ale to wystarczyło, by kobieta z pieskiem spojrzała na niego podejrzliwie.

– A dlaczego pan jej nie wziął ze sobą? – zapytała.

Sebastian nachylił się w jej stronę. Kobiety odruchowo przysunęły głowy, czekając na wyjaśnienia.

– Bo ma... bardzo nie-nieprzyzwoity obrazek na-na okładce – wyszeptał i zostawił je z na wpół otwartymi ustami.



Robert Pitt opierał się łokciami o balustradę balkonu. Twarz schował w dłoniach.

– Lavianie, dobrze, że już wróciłeś... To moja wina. Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, gdybym tylko inaczej myślał.

– *Primum vivere, deinde philosophari!* – przerwał mu Gryf. – Najpierw trzeba żyć, potem filozofować! – wytłumaczył podniesionym głosem.

Robert Pitt podniósł głowę i spojrzał na niego. Gryf stał obok, wyprężając dostojnie swą lwią muskularną pierś. Jego miedziana sierść lśniła w słońcu niczym zbroja, a potężne uniesione skrzydła wyglądały jak płomienie. Nic dziwnego, że nazywano go Gryfem Płomiennym – Strażnikiem Światła. Robert Pitt

westchnął.

– Łatwo ci mówić, Lavianie...

– Rzeczywiście, nie sprawia mi to większych trudności – przyznał, lekko unosząc chrapy lwiego pyska. – Cóż, żałuję, że mnie przez tę chwilę nie było, ale tym bardziej nie mamy zbyt wiele czasu na pogawędkę. Przede wszystkim, gdzie jest Sebastian?

– Nie wiem. Chciał wyjść na chwilę. Tylko tutaj mu coś grozi – powiedział Robert, rozglądając się dookoła. – A do tego świata przecież nie wejdzie...

– Tak dobrze go znasz? – przerwał mu Gryf, a mężczyzna opuścił głowę. – A może jest takim samym buntownikiem jak ty? Ktoś go tutaj sprowadził i nawet nie wiemy kto! – wycedził.

– Ktoś dobrze poinformowany, bo zawiadomienie o pogrzebie zostało wysłane, gdy ojciec jeszcze żył – westchnął Robert Pitt. – Dokładnie dwa dni przed jego śmiercią – dodał, przecierając zmarszczone czoło.

Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 16/36/11-01/1902

Dokument dołączony do sprawozdania z rozpracowywania niejawnej organizacji Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Fragment notatki sporządzonej przez informatora

w dniu 10.01:

(...) Obecnie wszystkie rozmowy toczą się wokół dwóch przeciwważnych sobie miejsc. Zaangażowani w to są: Max Johor, Emil Asmuss, Franciszek Rotnicki, Paul Pitt i Bolesław Richelieu.

Budowane są dwa zamki o szczególnej mocy. Miejsce ich powstania wyznaczają zbiegi ulic. Jedna jest wspólna, mianowicie Hardenbergstrasse*. I to jest oś!

Zamek Sokoła ma się mieścić na narożniku Hardenbergstrasse i Helmholtzstrasse**, a siedziba Gryfa Płomiennego u zbiegu Hardenbergstrasse i Linn?strasse***.

Zaszyfrowany język, jakim posługują się członkowie bractwa Ars Dragonia Architektów Wschodu, jest dla mnie wciąż niezrozumiały, więc cytuję dosłownie: „W tych miejscach pojawią się Sokół – Księżę Cienia, i Gryf – Strażnik Światła. Są potężni i równoważni sobie. Żaden nie jest silniejszy od drugiego. Jeśli staną naprzeciwko siebie, to nie mogą ze sobą walczyć, gdyż żaden nie zdoła nawet drgnąć, by drugi tego nie przewidział. Tkwią więc tylko w bezruchu jak światło i cień. Obok siebie i przeciwko sobie. Na straży tego świata. Będą i tu”.

Z tego, co mi wiadomo, Gryf, który się pojawi, będzie skrzydlatym lwem i nazywa się Lavian.

Odręczna notatka:

Relacje informatora, któremu udało się przeniknąć do struktur stowarzyszenia Ars Dragonia Architektów Wschodu, coraz bardziej odbiegają od rzeczywistości.

~~_____~~ utrzymuje, że wymysły, pod którymi organizacja ta zapewne stara się ukryć niebezpieczne dla państwa idee, mogą się okazać prawdą (???)

Należy zwrócić uwagę na stan zdrowia informatora. Na dzień dzisiejszy trudno stwierdzić, czy jest to wynik przemęczenia, czy początki choroby psychicznej. Zaleca się skierowanie ~~_____~~ na stosowne badania. Potrzebna dyskretna opinia psychiatry.

* Wyspiańskiego

** Wyspiańskiego i Chełmońskiego

*** Wyspiańskiego i Siemiradzkiego

- Tym bardziej go pilnuj! - ryknął Lavian. - Zanim nastąpi uwięzienie, powinienes...

- Naprawdę uważasz, że to jedyne rozwiązanie? - przerwał mu łamiącym się głosem Robert.

- Na pewno nie jedyne - odrzekł Gryf już spokojniej. - Ale akurat takie znam - dodał, mrużąc lwie oczy.

- Wiesz, co to może znaczyć dla młodego człowieka? - zapytał mężczyzna i ponownie schował twarz w dłoniach.

- Wiem też, że to dobry sposób, aby bezpiecznie przeczekać ten czas! Szczególnie teraz, gdy nie znamy planów Sokoła, a to, co przeczuję, wcale mi się nie podoba. Jesteś pewien, że widziałeś Asmussa u Irene? - zapytał Gryf..

- Tak - odrzekł Robert. - Myślisz, że miał coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

- Skoro pojawił się akurat teraz - Lavian zachnął się tak, że zadrżały wszystkie jego pióra - to musiał mieć. To mistrz zamieszania! Nie dysponuje taką mocą, żeby mógł zabić Edwina, ale kto wie, jakie siły ma tym razem na swoich usługach. - Uniósł chrapy tak wysoko, że błysnęły dwa ostre jak sztylety kły. - Jak mawiał da Vinci, prawda jest zawsze tylko córką czasu - dorzucił po chwili.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - przerwał mu zgnębiony Robert. - Że wcześniej czy później się tego dowiemy?

- Nie. Chcę powiedzieć, że cała sztuka polega na tym, aby dowiedzieć się tego wcześniej.

- Tylko jak? O tylu rzeczach nie mamy pojęcia... Choćby o tym, po co mój ojciec spotkał się ze stryjcem Oskarem. Dlaczego mi o tym nie powiedział?

- Bo cię unikał - odparł spokojnie Gryf, a Robert znieruchomiał.

- Nie patrz tak na mnie... Podejrzywałem to, gdy jeszcze żył, a teraz jestem tego pewien. Ostatnio mnie też nie patrzył prosto w pysk, był podenerwowany i przez cały czas jakiś taki... spocony. Tłumaczył się, że jest przeziębiony, ale nie sądzę, aby to była przyczyna. Choć co ja wiem o ludzkich dolegliwościach... - Gryf

westchnął głęboko.

– Rzeczywiście. – Robert się zamyślił. – Gdy byłem u niego ostatni raz, wspomniał, że się źle czuje. Sądziłem, że to wynik przemęczenia, ostatnio zawzięcie czegoś szukał w tych swoich książkach...

– A wiesz czego? – zainteresował się Lavian. – Może coś go dręczyło, czegoś się obawiał, tylko nie chciał się tym dzielić, dopóki nie był pewien. To by mogło wiele wyjaśnić. – Gryf pokiwał w zadumie lwią głową.

– Nie mam pojęcia, nie zapytałem. Pójdę do niego, to znaczy... – Robert przerwał na chwilę i przetarł ręką twarz – ...do jego mieszkania, może czegoś się dowiem.

– Zrób tak! – zgodził się Lavian, strzepując pióra, tak że zaiskrzyły w słońcu. – A teraz wracajmy do naszego planu. Ja porozmawiam ze Strażnikami Mocy. Muszą zachować neutralność, bo nikt nie wie, co może się stać. A kilku podejrzewam co najmniej o stronnictwo! Nie wobec nas, rzecz jasna! – dodał, marszcząc brwi nad lwimi oczami. – Ty tymczasem udaj się do Er Rai, bez jej zgody nikogo nie uwięzimy w czasie.

– Nie wiem, czy będę miał dość siły – powiedział Robert i spuścił głowę.

– Masz tyle siły, ile potrzebujesz! – zachnął się Gryf. – I zachowaj jej jeszcze trochę na później! Uwężenie zabierze ci mnóstwo energii. Potem możesz być słaby i wyczerpany. Mam nadzieję, że nie na długo... – dodał i zamyślił się. – Saros się zbliża, księżyc się kręca i Smoczyca zaczęła się wściekle wić. Sokół będzie próbował... Jeszcze ten Asmuss! – warknął, po czym popadł w zadumę i przez kilka chwil nic nie mówił.

– Lavianie, czy do tego wszystkiego musi dojść? – odezwał się Robert.

– Do czego? – zapytał Gryf spokojnie, choć jego kocie wąsy zdrząły nerwowo.

– Do tego, co widziałem w przyszłości... – mężczyźni załamał się głos. – Jeśli Sebastian mnie zabije, to co się z nim potem stanie?

– Fafun! To po starosumeryjsku osioł! Jakbyś nie wiedział! – parsknął Lavian. – Widziałeś fragment czasu! A czas nie jest fragmentem! – dokończył i rozpostarł swoje płomiennozłote pióra.



Sebastian wyszedł z domu. Gdy zadzwonił ojciec, powiedział mu, że zaraz wróci, ale przedtem chciał się jeszcze spotkać z Luną. Wiedział, że kręci się w kółko, chodząc po małych uliczkach, ale było to bez znaczenia, skoro i tak nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Kilka razy przysiadł nawet na schodkach przed różnymi kamienicami, licząc na to, że Luna może skądś się nagle wyłoni, ale ona się nie pojawiała. Zdawało mu się tylko, że widział jednego z przyszczatych, którzy poprzedniego dnia go zaczepili. Po zastanowieniu uznał, że chyba to nie był żaden z nich, bo na jego widok typek szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i schował się w bramie. W końcu przyszło mu do głowy, że może Luna spaceruje tylko wieczorami. Postanowił więc, że teraz pojedzie do tego stryja – podejrzewał, że to on przysłał zawiadomienie o pogrzebie – a gdy wróci, poczeka na nią, choćby do północy, w tym samym miejscu, gdzie spotkali się po raz pierwszy. Ledwo to pomyślał, usłyszał za plecami czyjś zdyszany głos.

– Sebastian... Sebastian!

Rozpoznał go od razu i zaczął się zastanawiać, czy się w ogóle odwracać. Ale w końcu przystanął. Nie wiedział dokładnie, gdzie jest ulica Kilińskiego. Sprawdził co prawda wcześniej na mapie, ale i tak nie bardzo umiał tam dojechać.

– Cześć – mruknął, patrząc, jak Eryk sapie i nie może wydusić z siebie słowa.

– To świetnie, że się znowu spotykamy – rzucił w końcu rudzielec.

– Super! – powiedział Sebastian, próbując przedrzeźniać jego entuzjazm. – Wie-e-e-esz, gdzie jest Kilińskiego?

– Wiem! – Eryk się rozpromienił. – Trzeba pojechać tramwajem.

Na tej ulicy jest... – zaczął Eryk.

– To gdzie jest te-e-e-en tramwaj? – przerwał mu Sebastian.

– Na Grunwaldzkiej – powiedział Eryk i wyciągnął rękę przed siebie. – Jak pójdziemy w tamtą stronę, to ci pokażę. Przystanek jest...

– To pokaż – zgodził się łaskawie Sebastian, bo nie chciało mu się gadać ani błędzić samemu wśród krętych uliczek, po czym ruszył we wskazanym kierunku.

– Przystanek jest przed tą kamienicą przy Grunwaldzkiej, którą zaprojektowałem... – zaczął po chwili Eryk.

– Pokazu-u-u-ujesz mi drogę czy-y-y robisz wycieczkę? – mruknął pod nosem chłopak i przyspieszył kroku.

– Myślałem, że chcesz wiedzieć – odezwał się nieśmiało Eryk, próbując nadążyć za idącym szybko kolegą.

– Nie, nieeee chcę – poinformował go Sebastian, więc Eryk zamilkł i pokazywał już tylko ręką kierunek, kiedy mieli gdzieś skręcić.

Gdy doszli do jakiejś głównej ulicy, Sebastian stanął jak wryty – zobaczył wysepkę tramwajową i w tym samym momencie dostrzegł stojącą na przystanku Lunę. Nietrudno było ją zauważyć. Stała sama z boku i robiła zdjęcia kamienicy. Tym razem miała na sobie czarne spodnie i białą cienką przezroczystą bluzkę, której szerokie rękawy łopotały na wietrze, odsłaniając gołe ramię. Ten sam wiatr unosił i plątał jej brązowe włosy. Sebastian nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Idź już. Po-o-o-radzę sobie – rzucił do Eryka, nawet na niego nie patrząc.

– Poczekam z tobą, aż...

– Mówię ci, i-i-i-idź już! – warknął Sebastian, patrząc, jak Luna odkręca obiektyw aparatu i chowa go do torby. Przestraszył się, że zaraz mu gdzieś zniknie. – Dzięki! – krzyknął i nie oglądając się za siebie, wbiegł na ulicę.

Kilka samochodów musiało gwałtownie zahamować. Sebastian usłyszał pisk opon i sam nie wiedział, jak właściwie udało mu się doskoczyć do wysepki, żeby nie wpaść prosto pod koła. Nie zwrócił nawet uwagi na reakcje kierowców, tylko podbiegł do

Luny.

– Cze-e-eść – wydukał, sapiąc głośno.

– Witaj – odpowiedziała.

Sebastian miał wrażenie, że jest speszona i ucieka przed jego wzrokiem, pakując aparat.

– Ro-o-o-biłaś zdjęcia? – zapytał.

Bał się, że za chwilę z nerwów zacznie się jąkać tak bardzo, że nie uda mu się wypowiedzieć ani jednego całego słowa. Był też zły na siebie, że nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Tak – odrzekła, zasuważąc zamek błskawiczny w jednej z przegródek torby.

– Te-e-ej kamienicy? – zapytał Sebastian nieco ośmielony, bo Luna spojrzała na niego i lekko się uśmiechnęła.

– Tak – potwierdziła, zapinając torbę.

– Ładna – powiedział szybko, licząc na to, że jeśli Luna robiła zdjęcia, to z tego powodu. – Interesujesz się sz-sz-sz-sztuką? – zapytał, gdy dostrzegł na fasadzie budynku jakieś drzewo z liśćmi, księżyc i chyba wijącego się smoka, a właściwie smoczyce, bo miała wielkie piersi.

– Tak jakby. Przepraszam cię, teraz bardzo się spieszę, spotkajmy się kiedyś... później – powiedziała i przewiesiła torbę przez ramię.

– Ja te-e-eż gdzieś jadę – wyjąkał Sebastian, wbijając wzrok w ziemię i zaciskając zęby.

– A dokąd jedziesz, chłopaku z daleka? – zapytała Luna z uśmiechem, odgarniając z czoła rozwiane włosy.

– Na Kilińskiego pięć. Nie wiesz... – kontynuował, robiąc głębokie wdechy i próbując się uspokoić – ...kto-ó-ó-rym tramwajem?

– Tym, który właśnie nadjeżdża – powiedziała i wskazała zatrzymujący się przed nimi pojazd.

Sebastian był wściekły na siebie, że w ogóle o to zapytał.

– Wiesz co... Spotkajmy się, jak wrócisz – zaproponowała.

– Gdzie?! – Sebastian prawie krzyknął z wrażenia.

– Tutaj – odparła i uśmiechnęła się. – Opowiesz mi ze szczegółami, co ciekawego tam zobaczyłeś. A teraz wsiadaj, bo ci

odjedzie. – Luna dotknęła jego ramienia i lekko popchnęła go w stronę tramwaju.

Sebastian wszedł i patrzył na nią przez zamykające się drzwi. Widział, jak znowu odgarnia włosy, dotyka palcami ust, a potem kieruje je w jego stronę. Nigdy jeszcze żadna dziewczyna nie przesłała mu pocałunku. Nie miał pojęcia, czy zatrzęśło tramwajem, czy też on sam zadrżał, ale musiał się chwycić drążka. Gdy Luna zniknęła mu z oczu, popatrzył jeszcze raz na kamienicę, którą fotografowała. Ona się tym interesuje! Musi na to zwrócić uwagę! Co to za stwór ze skrzydłami? Tarcze z głowami? Drzewo z otworem między gałęziami, a pod nim wijąca się jaszczurka z wielkim biustem? Sebastian postanowił się tego dowiedzieć.

Może od Eryka, pomyślał, patrząc na smutnego grubaska stojącego po drugiej stronie ulicy.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Notatka usunięta z akt sprawy o kryptonimie „Portal”

(...) Fragment ostatniej informacji dostarczonej przez ██████████ z rozpracowywania grupy Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Nie do końca rozumiem, nad czym obecnie pracują Paul Pitt i Bolesław Richelieu. Na pewno jest to przedsięwzięcie ogromnej wagi. Chodzi oczywiście o kamienicę przy Kaiserin Victoria Strasse 20a*. O ile mi wiadomo, właśnie na tym tle doszło do konfliktu z Emilem Asmussem, ale co było przyczyną sporu, tego nie udało się ustalić.

Jedno jest pewne – tam ukryte będzie potężne źródło siły! Z

tego, co zrozumiałem, ma działać na zasadzie drzewa, którego gałęzie będą prowadziły do różnych miejsc mocy, z pominięciem poszczególnych Strażników. Jeszcze nie wiem, jak Pitt i Richelieu to zrobią i jak to dokładnie będzie działać. Nawet oni sami nie wiedzą. Jak wielką moc osiągnie takie skumulowanie zgromadzonej tam energii? Podobno będzie można nawet zajrzeć w przyszłość!

Pitt i Richelieu nie są zgodni, czy należy tworzyć takie narzędzie manipulujące czasem. Paul Pitt uważa, że to niebezpieczne, Richelieu natomiast utrzymuje, że skoro istnieje taka możliwość, to należy z niej skorzystać.

Tak czy inaczej, Portal powstanie!

Obecnie trwają wyłożone prace nad stworzeniem wyjątkowo potężnych Strażników. Nie wiem, jaką siłą będą oni dysponować. Ale z podejrzanym przeze mnie projektem wynika, że Richelieu uchwycił kształty smoczyca z wielkim nagim biustem, skrzydlatego gryfa i cztery tarcze. Podobno smoczyca ma być najgroźniejsza.

W najbliższych dniach powinienem zdobyć więcej informacji. Może uda mi się zobaczyć, jak uruchamiają Portal.

Odręczny dopisek:

Obawiam się, że informator  rzeczywiście postradał zmysły.

* Grunwaldzka 20a

Robert Pitt wchodził na trzecie piętro kamienicy przy Grunwaldzkiej 20a. Zatrzymywał się na każdym półpiętrze, jakby chciał odsunąć od siebie moment, w którym z kluczem w ręku stanie przed drzwiami mieszkania z tabliczką „Edwin Pitt”. Było mu ciężko, ale nic innego nie mógł teraz zrobić. Zadzwoił do Sebastiana, który powiedział, że zaraz wróci. Gryf miał spotkanie ze Strażnikami Mocy, niedoinformowani mogli źle zareagować na

manipulowanie czasem, a to mogło być bardzo niebezpieczne. Robert zaś musiał spotkać się z Er Rai i uzyskać jej zgodę. Teraz postanowił jeszcze rozejrzeć się po mieszkaniu ojca.

Otworzył drzwi, zapalił światło i przez chwilę poczuł to co zwykle: zapach starych książek. Uśmiechnął się. Znowu wydawało mu się, że w mieszkaniu ojca ich przybyło. Od dawna brakowało dla nich miejsca na półkach, które zajmowały wszystkie ściany, a nawet na parapetach i pod oknami. Dawno już całe stopy książek zaczęły wyrastać jak stalagmity ułożone wprost na podłodze, gdzie piętrzyły się chybotliwie w wysokich stertach. Niektóre sięgały prawie pod sam sufit. Trzeba było ostrożnie się między nimi poruszać, tak żeby nie zburzyć tych konstrukcji, gdyż w każdej chwili mogły się rozsypać jak domino. Robert nie miał pojęcia, jak ojciec je wyjmował, ile razy się przewracały ani jak je odnajdywał. Ale zawsze bezbłędnie znajdował według siebie tylko znanego klucza tę, której szukał. Nie było to łatwe, bo wszystkie książki dotyczyły sztuki, architektury, projektowania, historii miast i historii starożytnej.

Robert Pitt przeszedł ostrożnie przez wielki pokój, omijając co najmniej trzy stopy książek, i podszedł do stojącego na środku biurka, które było tak obstawione książkami, że wydawało się dwa razy większe. Usiadł przy nim, tak jak zwykle siadał jego ojciec. Niemalże poczuł jego obecność. Dotykał tego biurka i wszystkich przedmiotów, które na nim leżały, długopisów, piór, karteczek, i robiło mu się ciepło na sercu, jakby wiedział, że ojciec mu pomoże, jak zawsze.

Wśród wielu drobiazgów, spinaczy i dziurkaczy zobaczył małą muszelkę, do której przyczepiona była karteczka z łacińską nazwą „Astartidae”. Chwycił ją w palce i przypomniał sobie jeden dzień spędzony nad morzem. Tylko ten jeden raz Edwin odważył się wyjechać z Poznania.

Może wtedy ją przywiózł, pomyślał, a potem odłożył muszelkę, spoglądając na dwie fotografie w złożonych ramkach. Jedno zdjęcie przedstawiało małego Sebastiana z jakąś dziewczynką ciągnącą go za rękę. Na drugim był Robert w podobnym wieku. Z tym że za jego plecami stał Edwin.

Robert pamiętał dokładnie, kiedy zostało zrobione to drugie zdjęcie. Stali razem z ojcem na Roosevelta 5, na tle spowijających wykusz kamienicy architektonicznych winorośli. Miał wtedy sześć lat. Tego dnia wybrali się we dwóch na spacer uliczkami Poznania. Ojciec opowiadał mu bajkę o dawnych czasach, kiedy to Magia była starszą siostrą Sztuki. Mówił długo, a potem, trzymając syna na rękach, przeniósł go do innego świata – gdzie te same winorośle, które wcześniej były kamienne, poruszały się, łaskocząc go po szyi. Potem ojciec pokazał mu pełzające po ścianie ślimaki, chodzące do tyłu raki, skaczące żabki i pająki. Robert do dziś lubił sobie przypominać, jak później opowiadał o tym innym dzieciakom. Słuchały, choć mu nie wierzyły, że wszystko, co wyrzeźbiono na kamienicach dookoła nich, potrafi się ruszać i fruwać. Ojciec wprowadzał go do tego świata powoli, tłumacząc, jaką rolę on, potomek architektów, twórców tych miejsc, będzie w przyszłości odgrywał...

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło do tych wspomnień, ale trwało to tylko chwilę, bo znowu spojrzął na zdjęcie małego Sebastiana.

On, jako ojciec, tego nie zrobił... Dlaczego wtedy tak bardzo chciał zobaczyć przyszłość, dowiedzieć się, czy matka Sebastiana przeżyje? I dowiedział się! Również tego, czego wcale nie chciał wiedzieć. Chwycił się za głowę, bo miał wrażenie, że bolesne wspomnienia mu ją rozsada.

Źle zrobiłem, że nie pokazałem Sebastianowi świata, którego jest częścią, pomyślał, i cały czas trzymając głowę w rozczapierzonych palcach, zaczął chodzić po pokoju.

Nagle opuścił ręce. Z wrażenia, bo dostrzegł puste miejsce między jedną półką a drugą. Między nimi zawsze był piętnastocentymetrowy odstęp, w którym stała prawie metrowej wysokości teczka, a w niej gromadzone od dziesięcioleci rysunki zaginionego mechanizmu, który pozwalał zsynchronizować kalendarz słoneczny z księżycowym i przewidywać cykl Saros z nieosiągalną dokładnością funkcjonującą w obu światach jednocześnie.

Teraz jej tam nie było.



Sebastian trochę błdził, nim w końcu znalazł się przed kamienicą przy ulicy Kilińskiego 5. Stanął pod starymi, drewnianymi odrapanymi drzwiami. W skrzydłach znajdowały się dwie półkoliste szyby ozdobione metalowymi powyginanymi drutami. Można było przez nie zajrzeć do środka. Sebastian dopiero po chwili zauważył, że druty tworzą liście, łodygi i główki kwiatów. Spojrzał wyżej i na kamiennej wstędze odczytał napis „Salve”. Nie wiedział, co to znaczy. Nad napisem po obu stronach drzwi widniały dwie rzeźbione głowy, jedna była zniszczona, druga – nie, a pośrodku, nad oknem, znajdował się prostokąt, w nim zaś dwie splecione litery OS.

Jak Oskar, może to jego kamienica, pomyślał Sebastian i uśmiechnął się. Szkoda, że któreś z okien nie jest podpisane, żałował, patrząc na kilka pięter w budynku. Westchnął, zastanawiając się, czy będzie musiał pytać innych mieszkańców o numer Oskara. Nie lubił zagadywać przypadkowych ludzi. Mógł wcześniej się tego dowiedzieć.

Nagle drzwi się otworzyły, z kamienicy wyszła ruda dziewczyna w różowych trampkach i zaczęła się przyglądać Sebastianowi z ciekawością, robiąc duże balony z gumy do żucia. Podszedł do niej.

– Przepra-a-a-szam cię... Nie wiesz, czy tu mieszka O-o-oskar Pitt? – wykrztusił i zaczął głęboko oddychać, próbując się uspokoić.

– A bo co-o-o? – przedrzeźniła go.

Wściekł się i odwrócił na pięcie. Chciał odejść, gdy krzyknęła za nim:

– A, ten stary. Nigdy go nie widziałam...

Sebastian przystanął.

– No, podobno tu mieszka – ciągnęła dziewczyna, a on spojrzał na nią. Pokazała palcem na drugie piętro i środkowe okno. – Czy to prawda, to nie wiem. Taka ciotka tam chodzi sprzątać i robić zakupy. Ją to widzę codziennie, ale jego nie... Myślę, że on nie

żyje, tylko tak ściemniają – dodała, ścisząc głos i mrużąc oczy.

– A ten to kto?! – zainteresował się jakiś chłopak, który właśnie do nich podszedł.

Sebastian nie zamierzał się więcej odzywać. Chwycił za klamkę i kiwnął głową dziewczynie, która spojrzała na chłopaka i zrobiła wściekłą minę, nerwowo żując gumę. Nim zamknął drzwi za sobą, usłyszał, jak zaczęli się kłócić.

Szybko wbiegł na drugie piętro i stanął przed drzwiami. Chwilę się wahał, w końcu nacisnął stary dzwonek. Cóż, albo się dowie, czy to ten niby-wujek ściągnął go tu, gdzie – zdaje się – nikt nie chce go widzieć, albo nie. Nikt nie otwierał. Sebastian zastanawiał się, czy nacisnąć dzwonek drugi raz, gdy drzwi lekko się uchyliły i w dziesięciocentymetrowej szczelinie, którą wyznaczał cienki łańcuszek, zobaczył rzadkie siwofioletowe włosy na głowie starszej pomarszczonej pani, która sięgała mu niewiele powyżej pasa. Chciał się pochylić, gdy kobieta zrobiła nagle gniewną minę.

– A ty tu czego?! – zapytała, a Sebastian zaczął się zastanawiać, czy wszyscy tutaj są tacy uprzejmi, czy to tylko dlatego, że niezbyt dobrze wygląda z podbitym okiem.

– Szu-u-u-kam stryja O-o-oskara – cedził słowa, patrząc na podejrzliwie zerkającą na niego kobietę. – Chciałbym z-z-z-z ni-i-i-m-m... – zaczął się tłumaczyć, a staruszka się nie odzywała, obserwując go badawczo – ...porozmawiać – dokończył szybko.

Kobieta postawiła oczy w słup, a po chwili z trzaskiem zamknęła drzwi.

Sebastian stanął pod ścianą. Nie miał pojęcia, co zrobić. Podszedł do schodów i już zamierzał nimi zejść, gdy drzwi ponownie się otworzyły. Tym razem na oścież. Ukazała się w nich cała postać innej – wydawałoby się – kobiety. Sebastian nie mógł uwierzyć, że to, co przed chwilą zobaczył, stanowiło ledwie jedną dziesiątą staruszki. Kobieta była przysadzista. Miała olbrzymi biust i pupę, które wyglądały jak dwie opony opakowane w kwiecisty fartuch. Tym razem uśmiechała się od ucha do ucha.

– Wejdz, proszę, proszę – zapraszała, kiwając na niego ręką.

Sebastian posłusznie wszedł do środka. – Ależ mnie, chłopcze, wystraszyłeś! Myślałam, żeś jakiś żebrak albo akwizytor... Bo jak porozmawiać? – powiedziała, rozkładając ręce. – Ale zapytałam, czy cię wpuścić, i potwierdził. No, nie dziw się tak... – Kobieta spojrzała na Sebastiana, który nieśmiało przechodził przez zagracony starymi meblami przedpokój. – Nie słyszałam, żeby miał rodzinę. Zresztą ja tylko tu kogoś zastępuję. Sąsiadka, która sprzątała, jest w szpitalu. A ja to wścibska nie jestem, nie pytam nawet. Dwa dni nic i tu nagle taki gość... Pan Oskar tak się ucieszył – zakończyła w momencie, gdy Sebastian stanął w drzwiach przestronnego pokoju i otworzył usta z wrażenia.

Pomieszczenie było słabo oświetlone, ale bez trudu dostrzegł starego siwego mężczyznę z krzaczastymi czarnymi brwiami siedzącego bezwładnie na wysłużonym drewnianym fotelu na kółkach.

– Proszę, proszę... – zachęcała kobieta, przesuwając się, by mógł podejść bliżej.

Ale Sebastian stał w miejscu i nie mógł zrobić kroku. Patrzył na człowieka, którego pomarszczona blada twarz była zapadnięta, a dolna szczęka obwisła, tak jakby miał niedomknięte usta. Głowa opadała na jedną stronę, ręce leżały bezwładnie na oparciach fotela, a rozczapierzone palce wspierały się na dwóch rzeźbionych jaszczurczych główkach, którymi ozdobiono drewniane podłokietniki. Sebastian wbił w nie wzrok, bo nie wiedział, co ma zrobić z oczami.

– Czemu jesteś taki zdziwiony, chłopcze? – odezwała się kobieta, przysuwając się do niespodziewanego gościa.

– Ja... nie-nie wiedziałem, że stryj... jest w ta-a-a-akim... – Sebastian przerwał, nie wiedząc, czy wypada mówić o staruszku w jego obecności, zresztą głos uwiązł mu w gardle.

Chciał stąd uciec od chwili, kiedy tylko spojrzał na nieruchomą twarz starca i jego pusty wzrok. Był zły na siebie, że tu przyszedł, i wiedział już teraz, że ta wizyta nic mu nie da.

– Taka znieczulica panuje dzisiaj... – Kobieta pokręciła głową. – Żeby to w rodzinie takich rzeczy nie wiedzieć! Nie mówią dzieciom, a potem nikt człowieka nie odwiedza! To nie

wiedziałaś, że stryj jest porażony? – spytała zdumiona.

Sebastian pokręcił głową.

– No cóż! – Westchnęła i zaczęła ściągać fartuch. – Osiemnaście lat temu, to już chyba tyle będzie. Pan Oskar został porażony... Ja to dokładnie nie wiem, jak to było. Niby jakiś splot słoneczny czy coś... ale kto by się tam orientował. Wypadki chodzą po ludziach – oznajmiła, odkładając złożony fartuch na krzesło. – I od tego czasu twój stryj nie może chodzić ani mówić – wyjaśniła, a Sebastian odważył się spojrzeć na wuja. Nie miał pojęcia, czy on na niego patrzy, ale na pewno mrugnął powiekami. – Od dwóch dni tu jestem, ale jakoś się dogadujemy. To ja... – zaczęła i przesunęła się w kierunku przedpokoju – ...skorzystam, że ty go popilnujesz, i skoczę po zakupy, bo mi się płyn do podłóg skończył.

– To ja-a-a-a też już pójdę – powiedział szybko Sebastian, prawie zachłystując się powietrzem, bo przeraziła go wizja pozostania sam na sam ze sparaliżowanym człowiekiem.

– O nie! – krzyknęła mu prawie w twarz, aż Sebastian się cofnął, czując, jak zadrżała półka, o którą się oparł. Spadły z niej dwie książki. Kobieta szybko je podniosła i odłożyła na miejsce. – Przyszedłeś, więc pobądź z nim przez chwilę! Gdzie się tak spieszysz?! – zaatakowała go znienacka, a on, zaskoczony, milczał. – No właśnie... Pan Oskar jest taki podenerwowany ostatnio. Porozmawiacie sobie chwilę – zdecydowała i ruszyła już ku drzwiom.

Sebastian poszedł za nią.

– Ja-a-ak porozmawiamy?! F...k! – burknął jeszcze pod nosem, patrząc, jak mała korpulentna osoba błyskawicznie znalazła się jedną nogą na klatce schodowej.

– Nie kluj, chłopcze! – Kobieta zmarszczyła nos. – To proste – powiedziała i znowu uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Mój wnuk mówi, że to system zero-jedynkowy. Jedno mrugnięcie oczami na tak, dwa na nie. Z chłopami to nawet lepiej tak rozmawiać... – Roześmiała się głośno. – Mam czterech zięciów, to wiem, co mówię! Dziesięć minut i będę z powrotem.

Sebastian stał i znowu nie wiedział, co ma powiedzieć, patrzył

więc tylko, jak kobieta wyjmuje klucze i zamyka drzwi od zewnątrz. Nagle otworzyła je z powrotem.

– Tylko niech mi tu nic nie zginie! – Wyciągnęła wskazujący palec i zrobiła groźną minę.

Po chwili znów usłyszał przekręcany w zamku klucz.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Notatka usunięta z akt sprawy o kryptonimie „ARS DRAGONIA”

(...) Fragment ostatniej notatki dostarczonej przez informatora ~~XXXXXXXXXX~~, dotyczącej rozpracowywania grupy Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Strona 2

Widziałem czas.... Nie ma wcześniej, nie ma później i teraz też nie ma..... Nie ma przed... Nie ma po.... Wszystko dzieje się naraz..... chwile się rozbiegają.... Nie ma po co ich chwytać..... Ona jest piękna..... i jest Czasem, i jest poza nim..... Minęły eony.... Er Rai..... [w tym miejscu pismo chwiejne, drżące, momentami nieskładne, trudne do odczytania i przetłumaczenia].

Dopisek:

Przeszukać mieszkanie informatora ~~XXXXXXXXXX~~. Sprawdzić, czy nie nadużywa absyntu, morfiny lub opium.



Robert Pitt szedł w kierunku kościoła Świętej Anny na Łazarzu i czuł, jak powoli ogarnia go spokój. Rozluźniają się napięte przez ostatnie dni mięśnie, przestaje mu dokuczać brak snu, odchodzi zmęczenie, a problemy zaczynają się ulatniać. Przestraszył się. Jeszcze nawet nie był pod wpływem Tego Słońca i nie widział Er Rai. Wystarczyło tylko, że się do nich zbliżał. Całe jego ciało znało to uczucie i wiedziało, co za chwilę nastąpi. Stał więc na dziedzińcu kościoła, przegarnął siwe włosy na skroniach i zaczął patrzeć na bruk. Kilkadziesiąt razy powtórzył w myśli, po co do niej idzie, co chce uzyskać i na czym mu zależy. Rzeczy najbardziej oczywiste z oczywistych, te, których zwykle nie trzeba sobie przypominać, bo wydają się pierwsze i najważniejsze. Teraz musiał je powtarzać, wszystkie po kolei. Jeszcze raz i od nowa. Najpierw opisywał je szczegółowo, potem skupił się tylko na pojedynczych wyrazach: Portal, uwięzienie, syn, Portal, uwięzienie, syn, Portal, uwięzienie, syn...

Wiedział, że gdy przed nią stanie, gdy tylko ją ujrzy, wszystko zacznie wyglądać inaczej, będzie się wydawało ulotne i chwilowe – choćby ta chwila miała trwać całymi latami. Pod wpływem tego bezmiaru czasu i trwania cała reszta przestanie się liczyć. A on bardzo potrzebował czasu i bardzo chciał, by ona mu go dała.

Powtarzając więc w myślach słowa klucze, Robert przeszedł na tył dziedzińca i zobaczył ją na ścianie kamienicy. Tu była tylko ozdobą na murze, brudnoszarym zegarem słonecznym. Wiedział doskonale, co się stanie, gdy już będzie po drugiej stronie czasu. Upadł na kolana, opuścił głowę i znowu zaczął szeptać, prawie bezgłośnie: „Portal, uwięzienie, Sebastian, Portal, uwięzienie, Sebastian”. Nagle podszedł do niego jakiś człowiek i mocno go szturchnął.

– Panie! Co pan? Tu nie wolno żebrać...

Robert wstał, ale nie podniósł głowy. Zrobił to dopiero, gdy stanął przed nią. W jednej chwili zapomniał, po co przyszedł.

Była tam. Towarzyszyło jej tylko stare słońce, które wiedziało wszystko. Nikt nie musiał jej strzec. Kawałek czarnej skały, który miała pod stopami, mógł w każdej chwili rozrosnąć się do tego stopnia, że wszystko, co było pod nią, zmniejszyłoby się do

rozmiaru cząsteczki tak małej, że nikt nie miałby pewności, czy ona w ogóle istnieje.

Er Rai spojrzała na Roberta, lekko się uśmiechając. Słoneczny wiatr poruszał jej białą, mieniącą się metalicznym blaskiem suknią i włosami, które opadały na ramiona i wyglądały jak zimne płomienie. Gdzieś z tyłu trzepotała żółta szarfa, którą przewiązано suknią. Za plecami Er Rai, nad jej głową, wiła się wstęga wplątująca się pomiędzy długie promienie potężnego słońca. Postać trzymała je w jednej dłoni. Druga wyznaczała godziny poukładane po kolei na falującej wstędze.

Mężczyzna wiedział, że Er Rai mogła zakreślić wstęgą i słońcem tak, że świat by oszalał, choć trudno byłoby ją do tego namówić. Nie obchodziło jej czyjeś szaleństwo – ni ziarenka piasku, ni całego świata. Mogła na chwilę zatrzymać czas na wyznaczonej przez siebie godzinie, jeśli miałoby to powstrzymać rodzący się gdzieś chaos, jeśli zgodziliby się na to Strażnicy Mocy i jeśli ktoś okazałby się wystarczająco silny, by ją o to poprosić – a nie było to proste.

Robert ze wszystkich sił próbował się skupić, ale stawało się to coraz trudniejsze do zrobienia. Usiłował schwytać nitki poszczególnych myśli, powiązać je, ale zaczęły mu się wymykać, rozplywając się w bezmyśleniu i bezczasie. Wyglądały jak różne drogi do niepowiązanych ze sobą celów. Wszystko przestało się liczyć. Już tylko patrzył na drobne żółte kwiatki w jej niesfornych lokach.

– Witaj, Robercie – powiedziała postać, przechylając głowę. – Co cię do mnie sprowadza?

– Er Rai... – odezwał się, czując, jak oplata go jej dźwięczny głos, a przed oczami przelatują mu minuty albo może godziny. – Przyszedłem... – powiedział i nie mógł sobie przypomnieć po co.

Zamarł z otwartymi ustami.

– Potrzebujesz czasu, by się zastanowić? – zapytała Er Rai z uśmiechem.

Robert zastanawiał się nad tym, nad czym miałby się zastanowić. I nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Po chwili – nie wiadomo jak dłużej – odezwał się z przekonaniem, że już

dokładnie wie, dlaczego tu jest.

– Przyszedłem, żeby... – zaczął, a jego ciało zwiotczało, stając się cudownie lekkie – ...przyszedłem, żeby cię zobaczyć – dokończył uszczęśliwiony.

Er Rai pochyliła głowę i pomachała mu, a wstęga, którą trzymała w rękę, oplótła promienie. Wtedy zobaczył wielki uśmiech na twarzy starego, potężnego słońca. Poczuł, jak oślepia go światło, i dopiero wtedy gdzieś w oddali dojrzał swoje powtarzane w głowie myśli, które wyglądały jak malutkie nieistotne punkciki na horyzoncie czasu i zdarzeń.



Sebastian stał chwilę w ciemnym korytarzu, nim odważył się zrobić krok w stronę pokoju, w którym czas jakby się zatrzymał, a w fotelu na kółkach siedział stryj Oskar. Chłopak lekko wychylił głowę zza futryny. Zerknął i zauważył jedno mrugnięcie staruszka. Wystraszył się i schował głowę z powrotem. Stryj siedział w tej samej pozie, bez ruchu, z lekko przechyloną głową, niedomkniętą szczęką, ale na pewno do niego mrugnął. Raz, czyli tak, przypomniał sobie Sebastian słowa kobiety. Ale co tak? – zastanawiał się przez chwilę. Jeśli założyć, że stryj nie jest niespełna rozumu, mogło to znaczyć tylko to, że gość ma wejść. Nabrał głęboko powietrza i wkroczył do środka. Naprzeciwko fotela na kółkach stało biurko. Podeszedł do niego. Popatrzył na stojące obok krzesło i znowu zobaczył jedno mrugnięcie stryja. Sebastian usiadł na krzesle, cały czas czując na sobie nieruchome spojrzenie. Zaczął się rozglądać. Ciemne grube zasłony w dużych oknach były przysłonięte, tak że wszystko zdawało się tonąć w lekkim półmroku. Powoli wzrok zaczął się do niego przyzwyczajać i chłopak dostrzegł stare meble, masę drobiazgów i ściany pełne półek z książkami. Wiele książek stało również w stosach na podłodze i leżało na biurku. Właściwie książki były wszędzie.

– Przyjechałem na-na pogrze-e-e-eb dziadka – odezwał się – i pomyślałem, że-e-e... – nie zdążył dokończyć, gdy zobaczył

przymknięte powieki stryja – ...że tu-u-u też mogę wpaść – wyrzucił z siebie i zobaczył jedno mrugnięcie.

To dobrze, pomyślał Sebastian. Przynajmniej on jeden nie jest zły, że go odwiedziłem.

Ale co dalej, nie miał pojęcia. Na pewno nie zapyta przecież wprost, czy to stryj wysłał mu bilety, pieniądze i zawiadomienie o pogrzebie, na którym sam nie był. Przez chwilę milczał.

– Nie-e-e wiedziałem, że stryjek jest taki chory... to-o-oznaczy, nie wiedziałem... przykro mi. Pó-ó-ó-jdę już – wyjąkał i próbował wstać z krzesła, gdy dostrzegł dwa mrugnięcia.

Usiadł z powrotem. Miał nie wstawać, ale dlaczego?

Postanowił poczekać na kobietę, a gdy tylko przyjdzie, uciec najszybciej, jak się da. Nie miał pojęcia, jak długo już siedział, i nie wiedział, co powiedzieć. W końcu chwycił jedną z leżących na biurku książek. Spojrzał na stryja.

– Mogę? – zapytał i zobaczył jedno mrugnięcie.

Zaczął bezmyślnie przerzucać kartki jakiegoś albumu o architekturze, gdy wypadła z niego tekturowa zakładka. Na pożółkłym obrazku ujrzał stary czerwony zabawkowy tramwaj trzymany przez dwójkę golasów. Nad nim widniał numer 0. Sebastian odłożył zakładkę i dalej kartkował książkę. Udawał, że interesują go rysunki jakiejś budowli i projekty architektoniczne. Starał się nie podnosić wzroku, a w głowie odliczał czas do powrotu kobiety. Był już niemal przy końcu albumu i miał zamiar wziąć do ręki drugi, gdy usłyszał przekręcany w zamku klucz. Odetchnął z ulgą.

– To-o-o-o-o... ja już sobie pójdę – rzucił, a stryj mrugnął dwa razy.

Sebastian udał, że tego nie widzi. Wstał, gdy w drzwiach pojawiła się kobieta z siwofioletowymi włosami.

– Spieszyłam się i już jestem – oznajmiła, wkładając kwiecisty fartuch. – No i co? Porozmawialiście sobie? – zapytała, patrząc na Sebastiana, a potem na stryja Oskara.

– Tak – odpowiedział szybko chłopak i z opuszczoną głową ruszył w kierunku drzwi. – Do-o-o widzenia – rzucił, gdy był już na korytarzu.

– Poczekaj, poczekaj! – krzyknęła za nim kobieta. – Chodź tu z powrotem.

Sebastian niechętnie wrócił i stanął na progu. Nie zamierzał znowu wchodzić do tego pokoju.

– Chce mu pan coś dać? – zapytała kobieta, nachylając się nad drewnianym fotelem, na którym siedział stryj Oskar.

– Stąd? Stąd? Stąd? – Kobieta zaczęła pokazywać palcem różne części pokoju, w końcu skierowała palec na biurko. – To? To? To? – pytała, podnosząc kolejno książki i różne przedmioty, które leżały na biurku. – A może to? – Cały czas zerkąła na mężczyznę. – A, to! – powiedziała w końcu triumfalnie, trzymając w ręku tekturową zakładkę. Popatrzyła na nią i wzruszyła ramionami. – Chyba jakiś stary bilet tramwajowy. Proszę bardzo. Pan Oskar chce, żebyś go wziął – oznajmiła i wręczyła tekturkę Sebastianowi.

Chłopak spojrzął na stryja i dostrzegł, jak ten przymyka powieki.

– Dziękuję – odpowiedział i schował zakładkę do kieszeni, po czym szybko wycofał się do drzwi wyjściowych.

Gdy trzymał już rękę na klamce, poczuł, jak kobieta chwyta go za ramię.

– Pan Oskar bardzo się ucieszył z twojej wizyty. Nie widziałam go nigdy tak zadowolonego – zapewniła z szerokim uśmiechem. – Odwiedź go jeszcze kiedyś.

Sebastian tylko kiwnął głową, postanawiając nigdy więcej się tu nie pojawić.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Notatka usunięta z akt sprawy o kryptonimie „ARS DRAGONIA”

(...) Fragment ostatniej informacji dostarczonej przez ██████████ z rozpracowywania grupy Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Strona 1

To wszystko prawda! To rodzaj jakiegoś nieznanego związku widzialnej architektury ze światem niewidzialnym! To nie są bajki! To wszystko prawda! Wszystko się dzieje tu i teraz, i TAM!

ONI posiadli moc przenoszenia się do innych rzeczywistości! Nie wiem skąd, nie wiem jak. Ale ONI wiedzą, gdzie te światy się przenikają. W tych miejscach stawiają budowle. Piramidy, labirynty, katedry, zamki... Tutaj budują kamienice. Wszystko po to, by skumulować te siły. By móc się z nimi łączyć! Podobno tak się dzieje od setek lat! A gdy już odnajdą źródło mocy, architekci chwytają je i zamykają tę moc w jakiejś nieznaney mi, przenikającej się z naszym światem przestrzeni. Sztukatorzy, rzeźbiarze nadają tylko formę istniejącym już bytom. Potem niektóre z nich obejmują straż i uzbrajają się w siłę, by strzec tych miejsc. Im te miejsca są potężniejsze, tym potężniejszą moc mają Strażnicy!

Skrzydlate byki – lamassu – były strażnikami bram w starożytnej Mezopotamii, sfinksy strzegły piramid, a gryfy – tronu minojskiego. Diabelskie maskarony sterczały na wieżach gotyckich katedr.

One są również tutaj. Wszędzie! Każdy je widzi. Każdy może na nie patrzeć. Codziennie.

Ale tylko ONI, tylko ci, którzy WIEDZĄ, znają ich moc!

To wszystko prawda! Smoki, nietoperze, gryfy, gorgony, koźle czaszki i inne szalejące potwory z piorunami w rękach!

Wszystko to prawda...

Odręczny dopisek z boku kartki:

???



Gryf opuścił złote skrzydła. Ułożył je na grzbiecie, wyprężył muskularną pierś i czekał. Nagle jego grzywa zaczęła lekko falować. Nim zobaczył, wiedział już, że wezwani Strażnicy Miejsz Mocy przybywają. Byli mu potrzebni. Tak jak się spodziewał, pierwszy pojawił się Quercus. Jak zwykle galopował w powietrzu na dwóch białych koniach, stojąc okrakiem na ich grzbietach. Pędził z otwartymi ustami, co chwila krzykiem poganiając rumaki. Miał zmarszczone czoło i gniewny wyraz twarzy. Trzęsły się liście dębu przytwierdzone do metalowej opaski wciśniętej na czoło Strażnika, powiewały brunatne wstęgi przytroczone do zielonego munduru. W zaciśniętych pięściach trzymał srebrzyste lejce i po cztery iskrzące srebrem pioruny.

Patrząc na jego minę, Lavian westchnął cicho, ciesząc się, że Strażnik ma ręce zajęte lejcami, w przeciwnym razie ciskałby tymi piorunami gdzie popadnie. Nim Quercus zahamował, wstrzymując konie tak, że stanęły dęba w powietrzu, a spod ich kopyt trysnęły setki metalicznych iskier, Lavian zobaczył nad sobą szybujące ku niemu skrzydła. Lanx zniżył lot. Gryf już dawno nie widział go w środku dnia. Nocą skrzydła wielkiego nietoperza wydawały się czarne, tak że stawał się niewidoczny. Teraz, w świetle słońca, prawie przezroczyste skórzaste powłoki nabrały miejscami lśniącej krwistoczerwonej barwy. Tylko mocarny tułów i głowa z wielkimi spiczastymi uszami pozostawały czarne.

Lanx przysiadł na barierce balkonu, nie składając skrzydeł. Błysnęły w słońcu białe szpikulce jego zębów.

– Salve, Lavianie! – zasyczał cicho.

– Salve! – wrzasnął Quercus, ściągając uzdy koniom, tak że uniosły łby, rżąc głośno.

– Witajcie – odpowiedział im Gryf, dostojnie pochylając lwią głowę.

– Czekamy jeszcze na kogoś – zasyczał Lanx, strosząc spiczaste uszy – czy od razu dowiemy się, dlaczego nas tu wezwałeś?

– Nie musicie już czekać... – rozległ się dudniący echem głos.

Zebrani odwrócili głowy. W powietrzu, jak zwykle nie wiadomo

skąd, pojawiła się biała czaszka kozła z brązowymi wywiniętymi rogami. Zdawało się, że w jej oczodołach i rozwartym bezzębnym pysku można zobaczyć czarną, niekończącą się pustkę. Wokół niego powiewały czerwone szerokie szarfy układające się w przedziwne, nieustannie zmieniające się kształty.

– Witaj, Azaraku – rzekł Gryf i jeszcze raz pochylił głowę.

– Teraz już możesz nam powiedzieć – zadudnił w powietrzu głos Azaraka. – Skoro jesteśmy tylko my, to znaczy, że resztę już przekonałeś... – Ledwie wyrzekł te słowa, Lanx uniósł skrzydła, a Quercus gniewnie skrzywił twarz, ściągając lejce tak, że konie wykręciły łby, gotowe do odwrotu.

– *Last but not least* – przyznał Lavian ze spokojem, a gdy pochwycił gniewne spojrzenie Quercusa, dodał: – Ostatni według kolejności, ale nie ważności.

Tym razem nie miał czasu na skomplikowane intrygi mające przekonać każdego ze Strażników z osobna, by żadnego z nich nie urazić. Choć nie zamierzał ich informować, że już wcześniej spotkał się z Sową, Medią, lwem Artemisem oraz kapryśnym krzywoustym słońcem Clou, i to z pozytywnym skutkiem. Tych zostawił sobie na koniec. Cała trójka była przeciwna otwieraniu Portalu, więc z założenia i bez wątpliwości popierali każdą próbę udaremnienia takiego przedsięwzięcia. Musiał ich tylko o tym poinformować. Zostawił ich sobie jednak na sam koniec z zupełnie innego powodu. Wiedział, że informacja o tym spotkaniu, a zapewne również o jego treści, wcześniej czy później dotrze do Sokoła. Zależało mu jednak na tym, żeby dotarła później.

– Chcę tylko potwierdzenia waszej neutralności. Zbliży się Saros i istnieje niebezpieczeństwo podjęcia kolejnej próby otwarcia Smoczego Portalu. Chodzi o to, by do niej nie doszło.

– Czyż nie jesteśmy zawsze neutralni w waszych rozgrywkach? – zasycał Lanx i widać było, jak napinają się wszystkie ścięgna jego błoniastych skrzydeł.

– Różnie z tym bywa... – powiedział Gryf, robiąc zamyśloną minę.

– Sokół ma teraz przewagę! – wrzasnął Quercus, ściągając uzdy

koniom. – I dlatego nas wzywasz?! Nie rozegracie tego sami?

– Czy może dlatego, że tym razem po drugiej stronie pojawił się ktoś, komu może się to udać? Kolejny wybraniec? – Rozległ się tubalny śmiech, a potem w pustej czaszce Azaraka zadudniło drwiące echo.

– Azaraku, czy to nie ty jesteś najbardziej przeciwny przechodzeniu przez Smoczy Portal? Czy to nie ty powiedziałeś kiedyś, że w rękach ludzi to istna puszcza Pandory? – zapytał z lekką kpina Gryf i przechylił na bok lwią głowę.

– Jestem przeciwny temu, by ktokolwiek z ludzi choćby się do niego zbliżył. Od wieków strzeżemy miejsc mocy i sami decydujemy, kto może do nich wejść. Tak powinno być! A dlaczego tak nie jest? – zadudnił gromki głos wydobywający się z pustych oczodołów Azaraka.

– Bo tutaj jest, jak jest... – odparł spokojnie Lavian. – I ty dobrze o tym wiesz... Azaraku.



Sebastian Pitt stanął na wysepce tramwajowej pośrodku dwóch ulic. Nie bardzo pamiętał, w którą stronę powinien jechać. Nie chciało mu się nikogo pytać, więc stał, zastanawiając się, co ma ze sobą zrobić. Odsunął się tylko na skraj przystanku i patrzył na odjeżdżające zielone tramwaje, próbując dojrzeć jakąś informację ze znaną mu nazwą ulicy. Nic mu się jednak nie kojarzyło. Nagle po drugiej stronie ulicy zobaczył czarny samochód. Terenówka była bardzo podobna do tej, w którą na lotnisku kopnął puszkę. Spuścił wzrok i włożył ręce do kieszeni, gdzie wyczuł między palcami kawałek usztywnionego papierku. Wyciągnął go i przypomniał sobie chorego człowieka i niezręczną sytuację, w której się przed chwilą znalazł. Zadrzał na samą myśl, że mógłby tam kiedyś wrócić. Przerazał go widok człowieka uwięzionego na wózku, w niesprawnym ciele, który może tylko mrugać oczami. Zerknął jeszcze raz na stary bilet z dwójką golasów trzymających w rękach tramwaj z numerem 0.

Mógłby dać mi ten album, przynajmniej pokazałbym go Lunie,

pomyślał Sebastian i już chciał schować tekturkę do kieszeni, gdy tuż przed nim, na samym końcu przystanku, zatrzymał się czerwony tramwaj. Pojazd wyglądał dziwnie, ale jeszcze dziwniej prezentował się motorniczy z niezwykle czapką na głowie przypominającą hełm. Spojrzał na Sebastiana i zawołał:

– Wsiadasz?

Sebastian rozejrzał się nerwowo dookoła. Nikt nie zwracał uwagi na ten tramwaj, nikt się nim nie interesował. Chłopak zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi, gdy mężczyzna znowu krzyknął do niego:

– Dokąd chcesz jechać?

Sebastian patrzył na motorniczego i nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie wiem... – bąknął po chwili.

– Ale masz przecież bilet? Dojedziesz zatem tam, gdzie powinieneś dojechać. – Motorniczy wzruszył ramionami, jakby nudziło go mówienie oczywistości.

– Ten bilet? – zapytał Sebastian, patrząc na wyblakłą tekturkę.

– Wsiadaj... Nie mogę tu wiecznie stać.

Chłopak rozejrzał się jeszcze raz. Nic się nie zmieniło. Ludzie czekali, rozmawiali ze sobą bądź spoglądali na zegarki, a po drugiej stronie ulicy ciągle stał czarny samochód terenowy. Wewnątrz majaczył cień potężnie zbudowanego człowieka, który patrzył w stronę dziwnego tramwaju. Sebastian pomyślał, że cała ta sytuacja jest dość dziwna – dwa dni z rzędu widzi ten sam samochód, a pod nos podjeżdża mu podejrzany tramwaj; w końcu jednak zdecydował, że przejedzie jeden przystanek i wysiądzie.

Zrobił krok na schodek, potem drugi. Drzwi się zamknęły. Zajrzał w głąb wagonu i ogarnęły go wątpliwości. W środku pełno było półnagich bobasów, które biegały po wagonie, siedziały na krzeselkach, machając pulchnymi nóżkami, albo kręciły się wokół metalowych drążków, robiąc przy tym niesamowity jazgot. Sebastian próbował dostrzec jakąkolwiek dorosłą osobę, ale nikogo takiego nie było. Spojrzał na motorniczego, lecz ten jakby nigdy nic kierował tramwajem,

patrzając prosto przed siebie. Chłopak nie miał pojęcia, o co tu chodzi, odwrócił więc głowę i stanął blisko drzwi, by wysiąść najszybciej, jak się da, gdy poczuł, że ktoś uszczypnął go w nogę. Zasyczał z bólu, opuścił wzrok i ujrzał małego golasa. Chciał coś powiedzieć, gdy podbiegły następne i otoczyły go ze wszystkich stron, gapiąc się na niego i ciągnąc go za ubranie. W końcu wszystkie zaczęły klaskać.

- Miło, że nas zobaczyłeś i się zdziwiłeś - wyrecytowały chórem, po czym roześmiały się głośno, wszystkie naraz.

Sebastian był pewny, że ma usta otwarte ze zdziwienia. Wyrzał przez okno, ale zdawało mu się, że widzi szarą pustkę i zarysy rozmytych gdzieś w oddali budynków. Przetarł oczy, ale to nic nie dało. Na zewnątrz dostrzegał tylko rozmazany świat, za to zgraję upiornych bobasów płaczących mu się pod nogami widział bardzo wyraźnie. Teraz otoczyły drążek, przy którym stał, chwyciły się za ręce i zaczęły podskakiwać, kręcąc się wokół niego.

- Witamy, witamy, nisko się kłaniamy... - zaczęły jakąś wyliczankę. Tak właśnie pomyślał Sebastian, bo maluchy przystawały, śmiały się i klaskały. - Smocze miesiące, szybko mijające... czasu zatrzymanie, zabawy przerwanie... wybrano jednego, czas na drugiego... - Nagle wszystkie kucnęły, zakrywając rączkami oczy. - Popsują się sprawy, to koniec zabawy - wyrecytowały i z piskiem rozpierzchły się po całym wagonie.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 21/36/01-02/1902

Obecnie informator ~~████████████████████~~ przebywa pod stałą obserwacją w Zakładzie Psychiatrycznym w Owińskach. Jego stan nie ulega poprawie. Według doktora Kaysera trudno

ustalić przyczynę powstania opisywanych przez chorego halucynacji. Prawdopodobnie mamy do czynienia z paranoia hallucinatoria.

Dopisek:

Usunąć z akt sprawy notatki sporządzone przez ██████████.

Sebastian usiadł z wrażenia na starym drewnianym siedzeniu, wlepił wzrok w szybę i zaczął się zastanawiać, czy nie zwariował, bo pewnie szaleństwo właśnie w ten sposób się objawia.



Granatowy płaszcz Sokółta unosił się lekko nad podłogą wielkiej sali zamkowej, rzucając podłużny cień na lśniące białe-czarne kafelki. Sokół podążył w kierunku wyglądającego przez okno Mizara.

– Szukałem cię – powiedział, łypiąc szklistymi czarnymi oczami na odwracającego się powoli Mizara.

– I znalazłeś.

– Pierwszy raz od tak dawna – zasyczał Sokół, wysuwając z dzioba rozdwójony język – mamy szansę przejąć Smoczy Portal, a ty wiecznie piętrzysz trudności! Bywasz czasem zadowolony?

– Wiesz doskonale – oznajmił spokojnie Mizar – że nie cieszy mnie obecność Asmussa. Nie wiem, czego się spodziewać po tej jego mazi w muszli. Mam przeczucie, że ona może być niebezpieczna... Tylko jeszcze nie wiem dlaczego. A nie lubię się domyślać – dodał, ściskając małą łapą guzik swojego munduru.

– Nie wiem, kto zabił Edwina Pitta. Pewnie dlatego Robert sprowadził Sebastiana i...

– Nie sądzę – przerwał mu Sokół, drapiąc pazurem czarny kafel posadzki.

– Czego nie sądzisz?

– Nie mówiłem ci? – spytał Sokół z ledwie skrywaną drwiną.

– O czym?

– Że Robert Pitt zobaczył kiedyś wycinek przyszłości, która ma się ziścić mniej więcej teraz. I w tym fragmencie – Sokół przerwał na chwilę, przybierając triumfalną pozę – widział, jak zabija go własny syn. A więc – dodał, wzruszając skrzydłami – zostanie już tylko jeden Pitt, i to niezbyt rożgarnięty. A na pewno nietutejszy. Zdaje się, że nie będziemy mieli większej konkurencji.

– Zdaje się... – powtórzył za nim Mizar, kłapnął dziobem wystającym z małpiej twarzy i zamyślił się. – A jeśli Robert Pitt źle odczytał to, co widział? – Czoło Mizara znowu się zmarszczyło, choć oczy wciąż pozostawały szeroko otwarte.

– To bez znaczenia. I tak wiemy, co zamierzają. – Sokół uniósł głowę. – Tak czy inaczej, postanowili się wyeliminować – dokończył, jeszcze wyżej zadzierając dziób.

– Jak? – zapytał Mizar, nie mogąc ukryć ciekawości.

Sokół zdawał się tylko na to czekać.

– Traf i Rana! Do mnie! – zaskrzeczał tak głośno, że w całej sali rozległo się echo.

Po chwili z drugiego końca komnaty wyłoniły się dwa niewielkie bazyliuszki. Miały zielone jaszczurzo-kogucie główki z długimi dziobami, z których przez cały czas wysuwały się cienkie czarne zakręcone jęzory. Z jaszczurczego tułowia spływały długie, powłóczyste czerwono-turkusowe skrzydła, które ciągnęły się po ziemi. Bazyliuszki nie leciały, lecz biegły zygzakiem na opierzonych nogach – jeden poruszał się tylko po czarnych kafelkach, drugi zaś jedynie po białych, tak że oba pokracznie balansowały zwijającymi się i rozwijającymi ogonami.

– Czego się dowiedziałyście, moje maleństwa? – zapytał przymilnie Sokół.

Bazyliuszki stanęły przed nim, wyciągając kiwające się na wszystkie strony szyje, i zaczęły prawie jednocześnie skrzeczeć podobnymi do piania kogutów głosami:

– Strażnicy... Portale... zgoda... Strażnicy... Portale... zgoda...

– Na co? – zapytał jeszcze bardziej zdziwiony Mizar.

– Uwięzienie... bańka czasu... uwięzienie... bańka czasu... – powtarzały jednocześnie bazyliuszki.

– A więc to w taki sposób Robert Pitt postanowił się ratować? –

zdziwił się Mizar, a Sokół triumfalnie pokiwał głową. – Nie spodziewałem się po nim czegoś takiego... – Westchnął z niedowierzaniem. – Jeśli to zrobi, będzie osłabiony przez dłuższy czas.

– Widzisz więc, Mizarze, ileż okoliczności nam sprzyja. Teraz możesz spokojnie kontynuować doskonalenie.

W tym momencie dobiegł ich odgłos kroków z ukrytych w głębi sali schodów.

– Ale jeśli Lavianowi i Robertowi nie uda się uwięzić chłopaka – zastanawiał się na głos Mizar – a on rzeczywiście zabije ojca... Może wcale nie będzie tak łatwo wykluczyć go z gry – powiedział i spojrzał prosto w szkliste czarne oczy Sokoła. – Nikt nie wie, jaką mocą dysponuje wnuk Edwina.

– Przede wszystkim nie wie tego nawet on sam! – odparł Sokół, rozkładając skrzydła.

Ostentacyjnie uniósł się i przefrunął tak nisko, że poły granatowego płaszcza prześlizgnęły się po białych włosach Mizara, lekko przekręcając perukę na jego głowie. Po chwili zniknął w głębi prowadzących w górę schodów.

Mizar przygładził włochatymi palcami perukę, sprawdzając, czy białe loki równo spływają mu na ramiona. Chwilę stał, rozmyślając, i już chciał zrobić krok w kierunku wyjścia, gdy zobaczył zsuwającą się po oknie postać.

– Mizarze... – usłyszał.

– Tak, Mistrzu – odpowiedział, po czym nisko się uklonił, mimo że jeszcze nikogo nie widział.

– Skąd twoje obawy? – przemówił Asmuss, gdy stanął już przed Mizarem. – Widzę je... Czy nie jesteście dobrze przygotowani? – zapytał, a wtedy otworzyła się muszla w ręczce trzymanej przez niego laseczki, na chwilę wynurzyła się z niej galaretowata substancja, po czym schowała się z powrotem.

– Jesteśmy, Mistrzu Asmussie – potwierdził Mizar, znowu pochylając głowę – ale nie lubię niespodzianek. I zawsze wolę wiedzieć, z czym lub kim mam do czynienia – dorzucił, patrząc na muszlę.

– Nią się nie przejmuj – powiedział Asmuss i uśmiechnął się,

łagodnie głaszcząc rączkę. – Mam ją pod kontrolą – wyjaśnił, gdy szara oślizgła maź zaczęła przeciskać mu się przez palce. – Chciałbym się jednak dowiedzieć, dlaczego tak bardzo niepokoi cię Sebastian. Taki doświadczony nauczyciel przejmuję się nowicjuszem?

– Nie lekceważę mocy, której nie znam... – odrzekł Mizar, obserwując, jak maź pokrywa całą rękę Asmussa niemal przezroczystą, glazurowaną warstwą.

– Masz rację, Mizarze. Chyba należałoby sprawdzić, jakie ma umiejętności... O ile zdążymy, nim go zamkną – dodał z szerokim uśmiechem.

– O ile go zamkną! – skwitował Mizar bez cienia uśmiechu na małej twarzy.



Sebastian siedział i bezmyślnie gapił się w okno, ale niewiele było widać na zewnątrz, jedynie szarą rozmytą masę, gdzieś tam tylko zarysowującą się w jakiś bardziej konkretny kształt, którego on i tak nie rozpoznawał. Motorniczego o nic nie pytał, bo ten nie reagował, tylko głupkowato się uśmiechał. Za każdym razem gdy chłopak wstawał z miejsca, nadbiegała zgraja upiornych bobasów, klaszcząc i śpiewając mniej więcej to samo co wcześniej, na dodatek wybuchając śmiechem po każdym wierszyku. Już wołał siedzieć na żółtym drewnianym krzeselku i bezsensownie wpatrywać się w szybę, niż słuchać przyśpiewek w stylu: „Dokąd, dokąd jedziemy... my decydujemy” albo: „Zrozumiesz, zrozumiesz... jeżeli umiesz”.

Kiedy Sebastian nie zwracał na bobasy uwagi, one także przestawały się nim interesować. Postanowił zachować spokój i chyłkiem rozglądał się, czy nie zamontowano tu gdzieś ukrytej kamery. Mimo że niczego takiego nie znalazł, był pewien, że to jedyne logiczne wytłumaczenie. Rozważał właśnie, jak powinien się zachować, kiedy w końcu otworzą się drzwi i do tramwaju wpadnie ekipa techników telewizyjnych z bardzo zadowolonym z siebie prezydentem, gdy za oknem gdzieś w oddali zobaczył

galopującego w powietrzu konia ze skrzydłami. Pomyślał, że to balon, ale nie zdążył dojrzeć, czy unosi się sam, czy napędza go jakiś silnik, gdyż tramwaj gwałtownie skręcił w lewo. Sebastian odwrócił głowę. Konia już nie widział, za to przed oczami pojawiły mu się zarysy jakichś budowli, które stawały się coraz wyraźniejsze. Były lekko rozmazane, jakby patrzył przez rozgrzane powietrze, ale rozpoznawał już, że są to kamienice. Dojrzał strzeliste daszki, a do jednej – jak mu się zdawało – przyczepiony był bąbel. Wysoko, na czymś w rodzaju balkonu, kręciło się w kółko... uśmiechnięte słońce. Poruszało ustami, jakby coś mówiło lub śpiewało. To mógł być wiatraczek... Ale wiatraczkiem z pewnością nie był stojący na skale orzeł z olbrzymimi rozpostartymi skrzydłami, które przez cały czas łopotały.

Tu, nad drzwiami, mieszkają orły? – zdziwił się Sebastian. To niemożliwe.

Chciał kogoś o to zapytać, ale wszystkie rozbrykane dzieciaki przlepiły nosy do szyb po przeciwnej stronie tramwaju i machały rączkami. Sebastian nie miał pojęcia, do kogo tak machają, dopóki nie zobaczył czterech głów wiszących przy czymś, co w normalnym świecie mogło być oknami, tu zaś było tylko pustymi przestrzeniami. Jedne maluchy się śmiały, inne się krzywiły. Po chwili bobasy zapiszczały z zadowolenia, gdy pojawiła się kolejna głowa, gdzieś na szczycie budynku, i zaczęła śpiewać tubalnym głosem. Kiedy tylko ją minęli, dzieciaki błyskawicznie przebiegły, przebierając żwawo nóżkami, na drugą stronę tramwaju i przylgnęły do okien. Jeden bobas wgramolił się Sebastianowi na kolana i chwycił go rękami za głowę. Chłopak nie miał siły zepchnąć malca, bo zapatrzył się na poważną kobietę, z której głowy wypływała potężna fantazyjna konstrukcja.

Kobieta mrugała powiekami. Tramwaj jechał dalej, a dzieciak, który wiercił mu się na kolanach, z radosnym piskiem zakrył oczy. To samo zrobiła reszta golasów.

Sebastian obejrzał się za siebie. Dostrzegł coś, co sprawiło, że zdębiał i sam przykleił nos do szyby. Zobaczył dwie zawzięcie

gadające ze sobą głowy, na których wspierali się trzymający się za ręce pónadzy kochankowie.

Oboje leżeli z daleka od siebie, pod baldachimem. Byli nadzy, okryci tylko wspólną półprzezroczystą tkaniną. Spali, jakby byli wyczerpani. On i ona. Mimo zdumienia chłopak uśmiechnął się do siebie, zastanawiając się, czym się tak zmęczyli i czy przypadkiem nie o tym dyskutują dwie głowy pod nimi. Zapatrzył się na kobietę, przylepił policzek do szyby, gdy nagle wszystkie dzieciaki zaczęły piszczeć, uciekając na drugą stronę tramwaju. Sebastian również odskoczył od okna, bo ryknęło na niego kilka lwów naraz. Ujrzawszy potężnego nietoperza przelatującego obok, chwycił się za głowę, ale tramwaj akurat znowu raptownie skręcił. Mniej przerażające były kręcące się słoneczniki, wijące się po ścianach pnącza i kilkanaście mniejszych orłów przesuwających się za szybą. Sebastian zastygł w osłupieniu i nie poruszył się nawet wtedy, gdy w oknie pojawiła się kolejna głowa, która zawisła w powietrzu. Należała do kogoś, kto miał skrzydła jak anioł, a na czole przepaskę z iskrzącym kamieniem.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 21/36/01-02/1902

Notatka usunięta z akt sprawy o kryptonimie „ARS DRAGONIA”

Opinia lekarska z Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach:

„Obecnie pacjent ██████████ jest przywiązany do łóżka. Nie wydaje się stwarzać zagrożenia dla otoczenia, ale dla siebie zapewne tak. Kilkakrotnie znajdowano go ukrywającego się pod łóżkiem, w piwnicy, a ostatnio wspiął się po rynnie i

schował pod dachem. Znalaziono go tam po dwóch dniach.

Pacjent powtarza uparcie, że szuka go fruwający anioł. Z lusterkiem na głowie”.

Odręczny dopisek:

Nie dopuścić do ucieczki ██████████ ze szpitala. Sporządzać cykliczne raporty o stanie zdrowia i przebiegu leczenia.

Jeszcze w locie Gryf złożył płomienne skrzydła, wyciągając przed siebie przednie łapy. Odbił się nimi od balustrady balkonu i miękko wylądował na tarasie.

– Możesz być z siebie dumny – powiedział, patrząc na opartego o ścianę Roberta Pitta. – Nie tak łatwo jest zmierzyć się z czasem. Er Rai jest potężna i bezkresna jak przeszłość i przyszłość. Teraźniejszość tylko przepływa przez nią, tak że trudno ją dostrzec. Cóż, nie licząc godzin i lat... – dodał i uśmiechnął się, a jego lwie wąsy lekko zadrżały.

– Lavianie, to moje spotkanie z nią było najtrudniejsze ze wszystkich – odrzekł Robert, spoglądając na Gryfa zmęczonym wzrokiem.

– Robercie, czas to otchłań. W życiu ważne są tylko chwile – zaczął Lavian i popatrzył na niebo, które odbijało gdzieś w dali promienie zachodzącego słońca. – Nawet wy, ludzie, wiecie...

– Nie o to chodzi – przerwał mu Robert. – Tym razem... tym razem nie wiem, czy dobrze robię. Zresztą niczego nie jestem pewien. Brakuje mi ojca... On by wiedział, jak postąpić – dodał i przetarł ręką zmarszczone czoło.

– Ta opowieść się skończyła – odrzekł Gryf, opuszczając głowę. – A ty zapoczątkowałeś swoją historię już dawno temu, odsyłając stąd Sebastiana... Pamiętasz, że byłem temu przeciwny. Zresztą twój ojciec też – podkreślił Lavian, spoglądając na Roberta, który spuścił wzrok i ukrył twarz w dłoniach.

– Lavianie, a gdybyśmy teraz poddali go próbie i dowiedzieli się, na ile...

– Chcesz, żeby się zabił? – przerwał mu Gryf podniesionym

głosem. – To niebezpieczna gra, kiedy ktoś nie jest na nią przygotowany! Przecież o tym wiesz! – Sfrunął z balkonu i z rozpostartymi skrzydłami zawisł w powietrzu. – Tak chcesz to rozegrać? Nie spodziewałem się tego po tobie...

– Jak mogłeś tak pomyśleć! – krzyknął Robert Pitt, zacisnął pięści, odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia.

– Wróć, Robercie – warknął ostro Lavian. – Nie myślę w ten sposób! Wszystko już przygotowane. Teraz musimy zebrać siły. To, co rozważasz, jest zbyt trudne – dodał już spokojniej.

Robert zatrzymał się w drzwiach i powoli odwrócił się do Gryfa.

– A czy to, co zamierzamy, nie jest zbyt proste? – zapytał, mocno zaciskając zęby.

– Prostota jest szczytem wyrafinowania, jak mawiał Leonardo da Vinci – powiedział Lavian, dumnie wypinając lwi tors. – I nie kłóćmy się. Już czas... Spójrz – nakazał, odwracając głowę.

Robert Pitt podążył za jego wzrokiem i zobaczył nadlatującego ku nim anioła. Ankaa sfrunął, złożył wielkie białe pierzaste skrzydła, stanął przed nimi i bez słowa pochylił głowę. W lustrzanym kamieniu, który widniał na jego czole, obaj zobaczyli dokładnie to, co chcieli zobaczyć. Twarz dziewczyny zasłaniały rozwiane brązowe włosy. Ale to była ona. Teraz już byli pewni, gdzie jest. To właśnie jej szukali.



Sebastian zamknął oczy. Zakrył twarz rękami i przestał reagować nawet na obłąkające go upiorne bobasy. Zaczął się zastanawiać, co zjadł albo kto mu dołał czegoś do napoju, bo bez wątpienia miał halucynacje. Postanowił już na nic nie patrzeć, tylko czekać, aż mu przejdzie. Czuł, że tramwaj skręcił jeszcze parę razy, ale nie podniósł głowy. Mógł zobaczyć kolejną nagą kobietę, ale równie dobrze jakiegoś potwora. Nagle tramwaj zaczął zwalniać. Sebastian wstał więc i spróbował jak najszybciej znaleźć się w pobliżu drzwi. Nie było to proste, bo bobasy już wcześniej chwyciły się za rączki i robiąc węża, w podskokach sunęły po całym tramwaju, powtarzając: „Biletu użycie...

tramwaju przybycie...”. Gdy tylko pojazd zaczął hamować, przywarły nosami do szyb, po czym odskoczyły od nich. Niektóre usiadły na schodach przy drzwiach, inne z przerażenia pochowały się pod krzeselka. Co chwilę któryś nieśmiało wychylał głowę i szeptał: „Czas się rozchodzi... wszystkim zaszkodzi”.

Chłopak miał już dosyć tej przedziwnej podróży. Podszedł do drzwi i czekał tylko, aż będzie mógł rozepchnąć cisnące się na schodach upiorne bobasy i wyjść. Drzwi się otworzyły. Sebastiana zamurowało. Przed nim stała Luna. Musiała na niego czekać, bo spojrzała bez zdziwienia, odgarniając z czoła rozwiewane coraz mocniejszym wiatrem włosy.

– Witaj, chłopaku z daleka – przywitała go, przechylając głowę.
– Czy coś się stało? – zapytała z uśmiechem.

Sebastian w jednej chwili zapomniał o tym, że jeszcze niedawno podejrzewał siebie o szaleństwo. Zdawało mu się, że ma przed sobą najpiękniejszy i najbardziej kojący obraz, jaki widział w życiu. Włosy dziewczyny falowały, a szerokie rękawy jej białej bluzki unosiły się na wietrze niczym skrzydła. Uśmiechnął się tylko i patrzył oniemiały.

– Właściwie nie wiem – odparł i stanął na pierwszym stopniu schodów, tuż nad głowami trzech gapiących się na niego bobasów, które zaczęły wykonywać dziwne gesty, machając przed nim pulchnymi rączkami. Ale zbytnio go to nie zdziwiło. Otworzył usta, po czym ostrożnie i powoli powiedział: – Przepuście mnie, chcę wyjść.

Nie jąkał się! Mówił, a wszystkie słowa łączyły się w całość i nie rozrywały po drodze na strzępy. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale też nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Golasy siedzące na schodach chwyciły się za ręce i zaczęły dosyć głośno szeptać:

– Czas się rozchodzi... niektórym zaszkodzi.

Miał ich dosyć! Uniósł nogę, tak by przeskoczyć nad ich głowami, ale zatrzymał ją w powietrzu, a potem cofnął stopę na schody. Myślał, że na przystanku zobaczy innych ludzi, tak jak wcześniej, ale czekała tam tylko Luna. Patrzył przed siebie, a za plecami Luny widział poruszający się budynek. Zobaczył

skrzydlatego stwora o ciele lwa i wijącą się jaszczurkę z wielkim biustem. Nad nią wyrastało potężne drzewo. Jego gałęzie kołysały się majestatycznie. Gdzieś obok na błoniastych skrzydłach unosiły się cztery tarcze, przebierając w powietrzu nogami. Zza tarcz wychylały się dziwne głowy. Sebastian jęknął z bezsilności i przerażenia. Jednak oszalał.

– Chłopaku z daleka, dlaczego robisz taką zdziwioną minę? – zapytała Luna i zaśmiała się perliście.

Sebastian milczał, choć wiedział, że gdy otworzy usta, nie będzie się jąkać. Nie potrafił powiedzieć na głos, że nad jej głową widzi właśnie anioła z rozpostartymi skrzydłami, na którego czole błyska coś przypominającego lusterko i rzuca odbłask na jej włosy. Obok zaś fruwa potężny lew, trzepocząc w powietrzu skrzydłami, które wyglądają jak płomienie. Chłopak uniósł głowę jeszcze wyżej, bo dojrzał wielkiego ptaka, który zaczął nurkować w kierunku Luny. Nie zdążył jej nawet przed tym ostrzec, bo wszystko rozegrało się w mgnieniu oka.

Był pewny, że usłyszał, jak ptak głośno zaskrzeczał w locie i spadł prosto na Lunę.

– Uważaj!

Spojrzała w górę. Sebastian dostrzegł przerażenie na jej twarzy. Szybko zrobiła unik, oglądając się za siebie. Wtedy zza jej pleców wyłoniła się postać. Sebastian nie wierzył własnym oczom. Widział, i to bardzo wyraźnie, swojego ojca! Jego ręce skierowane były na Lunę. Ojciec patrzył na dziewczynę w niesamowitym skupieniu i poruszał palcami, jakby usiłował coś rozgonić. Z wielu stron napływały przedziwne strumienie światła. Sebastianowi zdawało się, że wszystko zaczęło się toczyć w zwolnionym tempie. Nagle zrobiło się cicho. Zobaczył granatowy płaszcz spływający z głowy nurkującego wcześniej ptaka. Ptak zastygł w powietrzu naprzeciwko lwa ze złotymi skrzydłami, który również wisiał nieruchomo. Przestrzeń wokół Luny zaczęła się rozrzedzać. Luna patrzyła błagalnie. W jej oczach Sebastian ujrzał strach, a we wzroku ojca beznamienne skupienie. Ojciec wpatrywał się w dziewczynę i stał nieruchomo, a ona bardzo wolno osuwała się na ziemię. Usiadła w końcu, ręce

opadły jej na kolana. I przestała się poruszać, tylko jej włosy lekko falowały. Sebastian nie miał pojęcia, co się dzieje. Patrzył oniemiały na strumienie światła, które rozchodziły się między palcami wyciągniętych rąk ojca. Strumienie zaczęły wirować, aż w końcu uformowały kulę. W jej środku znalazła się Luna. Splątane snopy światła oderwały się od rąk ojca i utworzyły wielką bańkę, która wyglądała jak mydlana, a Luna zastygła w niej z rozwianymi włosami. Sebastian nie wiedział, co się stało, ale był pewny, że to nic dobrego.

Po chwili zmienił się rytm, jakby czas przyspieszył. Znowu wszystko zaczęło się poruszać, a właściwie szaleć. We wszystkich kierunkach naraz. Powróciły dźwięki. Wiał przeraźliwy wiatr. Różne stwory przylatywały i odlatywały. Chłopak nawet ich nie zauważał. Widział tylko Lunę zatopioną w jakiejś kuli, która unosiła się w powietrzu. Ptak w granatowym płaszczu sfrunął, rozłożył skrzydła tuż nad ziemią i wleciał pod kulę. Uniósł ją na skrzydłach, jakby była piórkiem, i wzbił się do lotu. Gdy znajdował się już wysoko, zaskrzeczał w kierunku skrzydlatego lwa i ojca Sebastiana:

– Nie daruję wam tego! Nigdy!

Chłopakowi zdawało się, że to „nigdy” jeszcze dźwięczy mu w uszach, choć ptaka z zamkniętą w kuli Luną już nie widział.

– Sebastianie...

Dopiero teraz spojrzał na skulonego ojca, który wpatrywał się w niego przerażony.

– Co ty zrobiłeś? – wrzasnął Sebastian, wychylając się przez drzwi tramwaju. – O co tu chodzi? Dlaczego zamknąłeś ją w tym czymś?! – krzyczał łamiącym się głosem.

– Tak trzeba było... Kiedyś zrozumiesz... Musiałem.

Sebastian nie chciał na niego patrzeć. Znowu zrobił krok nad głowami przerażonych bobasów, które ciągle tarasowały wyjście. Próbował postawić nogę dwa stopnie niżej. Jedną ręką złapał się drążka, a drugą wysunął przed siebie. Wtedy ojciec wyciągnął dłoń. Drżała, lecz udało mu się chwycić syna. Próbował mocno go ścisnąć, ale Sebastian wyszarpnął rękę ze złością. Nie zdążył nawet wykrzyknąć: „Zostaw mnie!”, gdy ojciec stracił równowagę

i przewrócił się na ziemię. Sebastian nie zdawał sobie sprawy z siły, z jaką go odepchnął.

– Spadać! – wrzasnął jeszcze na płaczące mu się pod nogami bobasy i przeskoczył nad ich głowami.

Upadając, przewrócił się i fiknął kozła wprost pod nogi jakiejś kobiety. Zatrzymał się, uderzając głową w siatkę wypchaną pomidorami.

– Uważaj, jak chodzisz! – krzyknęła oburzona kobieta. – Pomidory mi poobija... – burknęła, zaglądając do siatki.

Chłopak wstał, otrzepał spodnie i z niedowierzaniem rozejrzał się wokół siebie. Na przystanku tramwajowym stało parę osób. Nikt nie zwrócił na niego większej uwagi. Ktoś telefonował, ktoś czytał gazetę, ktoś pisał esemesa. Tylko mała dziewczynka, którą matka trzymała za rękę, stała i gapiała się na niego z otwartymi ustami. Sebastian bał się, że mała zacznie krzyczeć, poczekał więc na zielone światło i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zobaczył przed sobą znajomą kamienicę, ale teraz nie chciał się jej przyglądać. Opuścił głowę i ruszył naprzód ze wzrokiem wbitym w czubki butów.

Nie miał pojęcia, dokąd go nogi niosą, wiedział tylko tyle, że musi dojść do miejsca, w którym się obudzi. A to wszystko, co widział, okaże się złym snem.

ROZDZIAŁ 3

PO KTÓREJ JESTEŚ STRONIE, SEBASTIANIE?

– Czekaj tam na niego – usłyszał w telefonie dwumetrowy osiłek. – Na pewno przyjedzie.

– Dobrze, Mistrzu – odpowiedział, odkładając telefon na siedzenie. Wyrzucił niedopałek papierosa przez okno, zasunął szybę w czarnym samochodzie terenowym i ruszył.



Wściekły Sokół przelatywał tuż nad biało-czarną szachownicą posadzki z kamiennych kafli w wielkiej sali zamkowej. Od czasu do czasu sunący za nim granatowy płaszcz muskał unoszącą się w powietrzu kulę z zatopioną w środku Luną.

Mizar stał obok. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Robienie wiatru nic tu nie pomoże – powiedział w końcu, beznamiętnie patrząc na trzepoczącego się tam i z powrotem Sokoła. – W ten sposób jej nie uwolnisz – dodał, widząc, jak Sokół wlatuje pod kulę, która uniosła się lekko, a potem opadła i znowu zawisała tuż nad ziemią.

– Dlaczego tego nie przewidziałem? – zasyczał Sokół i wylądował obok Mizara. – Dlaczego nikt tego nie przewidział?! – zapytał, składając skrzydła i z wściekłością wysuwając rozdwojony czarny jęzor.

Mizar podrapał się owłosioną małpią łapą po wielkim dziobie i westchnął.

– Cóż, poziom gry, który wyznaczyliście, zmusił ich do takiego działania. Najpierw wyeliminowanie dziadka, a potem sprowadzenie wnuka... Źle ich ocenieś! Gdyby do tego nie doszło, nie sądzę... – zaczął Mizar, unosząc wysoko swój małpi dziób.

– Nie ty jesteś tutaj od sądenia! – wycodził Sokół. – Robert wie, że syn go zabije. Razem z Gryfem rozpoczęli procedurę

uwięzienia...

– A czy którykolwiek z twoich szpiegów – przerwał mu Mizar – powiedział kiedykolwiek, że dotyczy ona Sebastiana? Może śmierć nie jest dla Roberta tak straszna, jak ci się wydaje? – zapytał, przęając tors.

Sokół już chciał odpowiedzieć, gdy do sali wpadły dwa bazyliuszki o kogucich pyskach. Biegły jak zwykle na dwóch nogach, jeden po białych, drugi po czarnych kaflach, ciągnąc za sobą turkusowe ogony.

Sokół odwrócił się ku nim, czekając, aż do niego podejda, ale ominęły go, uniosły się i sycząc, zaczęły fruwać wokół głowy Mizara. Wirowały bardzo szybko, a potem nagle usiadły tuż przy jego nogach.

– Dobrze – przemówił do nich Mizar, kłaniając się. – Przekażcie, że zaraz tam będę – dodał i bez słowa wyjaśnienia ruszył do wyjścia.

Bazyliuszki natychmiast uciekły. Sokół został sam na środku sali. Żółte obwódki wokół jego oczu zwężyły się tak, że widać było tylko małe szkliste szparki skierowane na plecy odchodzącego Mizara. Potem spojrzął jeszcze na kulę z tkwiącą w niej bez ruchu Luną i wyfrunął przez okno.



Sebastian nie zdążył oddalić się od kamienicy przy Grunwaldzkiej 20 nawet na dziesięć metrów, gdy usłyszał, że ktoś za nim biegnie, ciężko dysząc. Odwrócił się i zobaczył Eryka, który zatrzymał się, próbując uspokoić oddech.

– Już myślałem... że cię nie dogonię – wysapał rudzielec.

– A po-o-o-o co mnie-e-e gonisz? – zapytał Sebastian poirytowany, znowu czując, jak głos więźnie mu w gardle.

Miał dosyć tego gówniarza.

– No bo mówiłeś tej dziewczynie, że tu będziesz... i ja czekałem po drugiej stronie ulicy. Powiedziałaś przecież, że spotkamy się później... – jęknął Eryk takim tonem, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Widziałeś coś? – przerwał mu Sebastian.

– Ale co? – zapytał Eryk, ze zdziwienia otwierając szerzej małe okrągłe oczka.

Sebastian nie miał pojęcia, o co zapytać najpierw.

– Widziałeś tę-ę-ę-ę dziewczynę?

– Tę, z którą się umówiłeś? – zapytał Eryk, a Sebastian bez słowa przytaknął. – Mignęła mi przed oczami – odpowiedział, drapiąc się pulchnymi palcami po głowie – ale może mi się tylko zdawało – dokończył, rozkładając ręce.

– A widziałe-e-eś ta-a-aki czerwony stary tramwaj? Jechały nim ta-a-akie... – Sebastian pokazał ręką wysokość od ziemi i już miał na końcu języka słowo „bobasy”, ale powiedział: – ...dzieciaki – choć sam się przestraszył absurdalności tych słów.

Przecież ludzie mogą pomyśleć, że oszalał i za chwilę wyląduje na policji albo w wariatkowie, jeśli dalej będzie wypytywał o małe golasy jadące tramwajem.

– Nie, ale może to była jakaś wycieczka. Starym tramwajem po Poznaniu. Spytam moją mamę, powinna wiedzieć. Bo tu są bardzo piękne przedwojenne kamienice... – Eryk zaczął paplać, a Sebastian na słowo „wycieczka” odruchowo chwycił się za kieszeń i wyciągnął z niej bilet, który dostał od stryja Oskara. – Każda ma swoją historię i to by było ciekawe... – Eryk przerwał na chwilę i odwrócił głowę, by lepiej przyjrzeć się trzymanej przez Sebastiana tekturce. – Fajne! Coś mi to chyba przypomina...

– Co? – zapytał Sebastian i w tym momencie przestał go słuchać, bo nagle na środku torowiska, prawie naprzeciwko niego, zatrzymał się czerwony tramwaj. – Wiesz co, to na-a-a razie. Muszę odnaleźć jednego ptaka! – krzyknął do Eryka i pobiegł w stronę tramwaju.

– Ale kiedy się spotkamy?! – zawołał za nim Eryk. – Ten tramwaj to z kamienicy przy Słowackiego... chyba numer dwadzieścia – krzyknął jeszcze, a potem mruknął pod nosem: – Dom Tramwajarza.

Sebastian już tego nie słyszał, bo drzwi się otworzyły, a ze środka wychyliło się kilka tysiąch główek upiornych bobasów. Na wszelki wypadek przetarł oczy, ale one nie zniknęły, tylko łapiąc

się za głowy, kiwały się na boki i robiły zmartwione miny, po czym zaczęły do niego machać i wołać:

– Popsuły się sprawy, lecz nie koniec zabawy... Biletu użycie... tramwaju przybycie...

Sebastian stał i patrzył na maluchy, przez chwilę wahając się, czy wsiąść do środka, gdy jeden z bobasów wyciągnął coś na kształt rogu i zadał w niego, a potem wszystkie naraz zaczęły wrzeszczeć:

– Powiedz, gdzie jedziemy... to cię zawieziemy... Nie czekamy... odjeżdżamy...

– Zawieziecie mnie tam, gdzie wsiadłem pierwszy raz? – zapytał po chwili, bo już wcześniej pomyślał, że ponowna wizyta u stryja Oskara to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Wszystkie bobasy stanęły w drzwiach, klaszcząc radośnie.

– Ułożą się sprawy... nie koniec zabawy... – zaśpiewały i zaczęły podskakiwać, a jeden z maluchów śmiał się tak bardzo, że prawie sturlał się ze schodów tramwaju.

Sebastian stracił pewność, czy chce powtórnie wsiadać do tego dziwnego pojazdu.

– Wiemy, gdzie jedziemy... czasu nie marnujemy... – zawołały nieomal jednocześnie bobasy, kiwając rączkami i zapraszając go do środka.

Wsiadł.



Poobgryzane paznokcie z trudem rozdzielały posklejane papiery z teczki opatrzonej napisem LATA 1920–1930. W końcu drżąca ręka wyszarpała jedną kartkę i położyła ją na małym biurku.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1924

W sprawie Janiny Pakościńskiej

Dołączone do Akt 23/4324/24

Po kolejnej wizycie Janiny Pakościńskiej na komisariacie dzielnicowy Dariusz Wieczorek udał się w końcu pod wskazany przez Janinę Pakościńską adres. I tak jak przypuszczano, starsza kobieta fantazjuje, starając się uprzykrzyć życie mieszkającym nad nią sąsiadom. Pod tym adresem ma swoją pracownię architektoniczną szanowany w Poznaniu obywatel – Adam Ballenstaedt, prezes Stowarzyszenia Techników Polskich, który aktualnie wspólnie z rzeźbiarzem Mieczysławem Lubelskim pracuje nad projektem Domu Tramwajarza, mającego mieścić się przy ulicy Słowackiego 19/21.

Być może stąd biorą się wymysły pani Pakościńskiej dotyczące przejeżdżających nad nią tramwajów (na czwartym piętrze!). Jako że pod tym adresem mieści się tylko pracownia, wykluczone jest również, żeby hałasowały jej nad głową jakieś dzieci, co wielokrotnie zgłaszała policji Janina Pakościńska. Kobieta zeznawała, że jej sąsiedzi przetrzymują w pracowni małe bobasy i nazywają je swoimi Pupilami. Jedyne „Pupile”, jakie zobaczył dzielnicowy Wieczorek, to pokazane mu przez rzeźbiarza Mieczysława Lubelskiego projekty dziecięcych neobarokowych figurek. Jak wyjaśnił dzielnicowemu artyście, mają one zdobić fasadę kamienicy.

Kobieta zapewne podsłuchuje, co się dzieje w pracowni, i następnie wymyśla niestworzone historie.

Nie ma potrzeby posyłać do pracowni Adama Ballenstaedta kolejnych patroli. Należy też pouczyć kobietę o

konsekwencjach składania fałszywych zeznań, zakłócania miru domowego i uprzykrzania życia sąsiadom.



Pryszczaty chłopak stał pod oknami kamienicy przy ulicy Kilińskiego 5 i podrzucał trzymane w ręku kamyki. Miał jeszcze dwa i rozważał, co dalej robić. Trzema trafił już w okno mieszkania na drugim piętrze, z którego wyrzała jego dziewczyna. Krzyknęła, że jak rzuci jeszcze raz, to łeb mu urwie, i z powrotem zamknęła okno. Chłopak nie bardzo wiedział, czy to znaczyło, że wyjdzie do niego, czy nie. Już chciał rzucić po raz kolejny, by się upewnić, gdy dokładnie naprzeciwko niego zaparkował wielki czarny samochód terenowy. Nie znał tej marki, więc zaczął się zastanawiać, czy łatwo odkręcić w nim boczne lustro... Podrzucał kamyki i czekał. Silnik w samochodzie zgasł. Drzwi się otworzyły, a pryszczaty chłopak z wrażenia zrobił krok do tyłu. Z samochodu wysiadł największy gość, jakiego w życiu widział. Miał na pewno ponad dwa metry wzrostu, był łysy, potężny i kwadratowy, nawet na twarzy. Szedł w jego kierunku i rzucił mu takie spojrzenie, że chłopak natychmiast zapomniał o lustrze. Odwrócił się i zaczął wolno przechodzić na drugą stronę ulicy, udając, że patrzy na swoje buty. Zatrzymał się dopiero, gdy usłyszał znajome skrzywienie otwieranych drzwi kamienicy przy Kilińskiego 5. Zastanawiał się, do kogo osiłek mógł przyjść. Wrócił pod okna mieszkania dziewczyny i z całej siły rzucił dwoma kamykami naraz. Zaczął szukać trzeciego, gdy zobaczył idącego w jego stronę nastolatka w bluzie z kapturem i koszulce z napisem w języku angielskim. Zauważył podbite oko i już był pewien, że to ten sam, przez którego pokłócił się ostatnio z dziewczyną.



Sebastian zatrzymał się pod drzwiami mieszkania stryja Oskara. Idąc tu, wspominał podróż tramwajem, która za drugim razem

przebiegła szybko i mniej dramatycznie. Bobasy bawiły się ze sobą, od czasu do czasu coś przeleciało za oknem, ale od momentu, w którym postanowił wrócić do stryja i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, przestało mu to nawet przeszkadzać. Przemknęło mu przez głowę, że to może jakaś dziedziczna skłonność do halucynacji. Nie chciał, by to, co zobaczył... to, co się stało z Luną, okazało się prawdą. Musiał to wyjaśnić, choć jeszcze nie wiedział, jak to zrobić.

Przed wejściem do kamienicy miał krótkie spięcie z pryszczatym typkiem, ale szybko zakończyła je dziewczyna, która wyrzała przez okno i zaczęła wrzeszczeć na swojego chłopaka. Sebastian miał wrażenie, że do tej pory słyszy jej krzyk.

A teraz, gdy stał pod drzwiami, zastanawiał się, jak właściwie stryj Oskar miałby mu je otworzyć, jeśli nie ma tam tej kobiety. Był zły na siebie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Stuknął się ręką w głowę, a potem zapukał, skoro już tu przyszedł. Nic. Zapukał jeszcze raz i znowu nic. Chwilę postał, nim usłyszał, jak ktoś zbiega z góry. Po sekundzie zobaczył dziewczynę w różowych trampkach.

– Przepraszam cię za tego tłuka – powiedziała, gdy znalazła się przy Sebastianie. – Zaraz sobie z nim porozmawiam, a do niego – pokazała na drzwi – możesz spróbować wejść, czasami jest otwarte. Nikt tam nie wchodzi, bo podobno straszy – dodała, gdy była już na półpiętrze, i pobiegła na dół.

Po chwili Sebastian usłyszał trzask zamykanych na dole drzwi. Chwilę pomyślał, nim chwycił za klamkę. Nacisnął. Drzwi się otworzyły. Wszedł do środka.

– Dzień dobry – powiedział niepewnie, stawiając pierwszy krok.
– Dzień dobry, stryju – powtórzył głośniejszym głosem, gdy znalazł się w połowie korytarza, tak by starszy pan mógł go usłyszeć.

Szedł dalej, a właściwie skradał się tak, jakby ktoś miał za chwilę na niego krzyknąć, choć wiedział, że raczej nikt krzyknąć nie powinien. Im bardziej zagłębiał się w korytarz, tym mocniejszy czuł powiew powietrza. W końcu znalazł się przed drzwiami pokoju, w którym był już wcześniej. Drewniany fotel stryja Oskara stał naprzeciwko otwartego na oścież okna.

Sebastian widział tylko unoszące się wysoko w powietrzu firanki. Ostrożnie i powoli ruszył w stronę fotela. Najpierw zobaczył pomarszczone stare ręce leżące bezwładnie na drewnianych podłokietnikach.

- Przyszedłem... - odezwał się, stając naprzeciwko stryja Oskara.

Głos uwiązał mu w gardle, gdy znowu zobaczył przechyloną na bok głowę, opadającą brodę i kąciki ust, z których chyba ciekła ślina. Stryj Oskar tępo patrzył przed siebie, chłopakowi zdawało się, że nawet go nie widzi. Sebastian włożył rękę do kieszeni, chciał wyciągnąć bilet, ale po sekundzie poczuł to samo co wcześniej. Niepotrzebnie tu przyszedł. Zrobił krok do tyłu, znowu chciał uciec, ale nagle stryj Oskar dwa razy mrugnął powiekami.

Widział to wyraźnie - nie! Ale co nie? Co to mogło znaczyć? - zastanawiał się gorączkowo, kiedy poczuł, że firanka otarła mu się o plecy. Pomyślał, że może chodzi o okno. Rzeczywiście, mocno wiało. Stryj mrugnął dwa razy. A potem jeszcze raz. „Nie! Nie! Nie!”. To musiało być okno.

Sebastian zaczął odsuwać rozwiane firanki, gdy nagle usłyszał dziwny dźwięk. Znieruchomiał. Ktoś szedł w jego kierunku! Słyszał to wyraźnie. Odwrócił się i zamarł ze strachu. Zbliżył się do niego olbrzymi człowiek. Był łysy i potężnie zbudowany.

Sebastian zrobił krok w tył. Wymacał za sobą parapet. To była jedyna droga ucieczki. Nie mógł przesunąć się w bok. Wielki człowiek z kwadratową twarzą pchnął ręką drewniany fotel stryja Oskara, który stanął mu na drodze. Fotel okręcił się z taką mocą, że odbił się od stojącego obok biurka. Stryj uderzył głową w półkę z książkami. Kilka z nich spadło. Nim Sebastian zdążył pomyśleć o czymkolwiek, łysy olbrzym załapał już sobą całą przestrzeń przed chłopakiem. Sebastian był w pułapce. Spojrzał przez okno i zobaczył, że znajduje się co najmniej dziesięć metrów nad ziemią.

W tej samej chwili poczuł, jak ten wielki typ chwyta go w pasie i unosi wysoko niby piórko. Sebastian pomyślałby, że śni, ale czuł niemiłosierny ból zgniatanych żeber. Miał wrażenie, że jeśli

olbrzym będzie go dalej ścisnął, to za chwilę wszystkie połamią się jak zapałki. Chłopak próbował go uderzyć, ale nie mógł nawet dosięgnąć wielkoluda. Młócił rękami powietrze. Nie miał pojęcia, czy zdążył krzyknąć, gdy zorientował się, że całym ciałem znajduje się już w otwartym oknie. Usiłował chwycić się futryny, ale nie zdążył. Łysy olbrzym niczym jakieś mechaniczne monstrum, bez żadnych emocji na kwadratowej twarzy, rzucił nim jak piłką w otwarte okno. Przez ułamek sekundy Sebastian czuł jeszcze pod nogami parapet, a potem już tylko bezradnie machał nimi w powietrzu.



– Widzisz, Mizarze? – powiedział Asmuss, trzymając laskę, z której rączki wylewała się obrzydliwa maź i zaraz chowała się z powrotem.

– Mógł się zabić – odrzekł Mizar, patrząc na substancję.

Zdawało mu się, że zaraz wycieknie z muszli i śluzowatą breją rozbryzgnie się po ziemi.

– Ale się nie zabił – rzucił Asmuss, z przesadną uprzejmością pochylając głowę w stronę Mizara, po czym zamachał laską, aż cała maź schowała się w muszli.

– Tak, widzę – mruknął Mizar, marszcząc czoło. – Jak na pierwszy raz poszło mu nadspodziewanie dobrze – stwierdził, głaszcząc włochatą łapą swój wielki dziób. – Cóż, Luna też była bardzo zdolna...



Sebastian leżał na ziemi, na podwórku kamienicy, i nie mógł się ruszyć. Patrzył na otwarte okno drugiego piętra, z którego przed chwilą został wyrzucony, i nie wierzył w to, co się stało. W ustach czuł smak krwi i ból przygryzionego języka, a mimo to zastanawiał się, czy żyje. Powinien być trupem. Pomyślał, że to bardzo prawdopodobne. Być może za chwilę wyjdzie ze swego ciała i stanie obok, patrząc na siebie z góry. Podniósł rękę i zerkał

na nią, sprawdzając, czy nie jest przypadkiem przezroczystym cieniem, a jego zwłoki nie leżą na ziemi. Ręka wyglądała normalnie. Miał tylko brudną bluzę i otarty nadgarstek. Zaczął się rozglądać dookoła. Ściemniało się już, ale mimo to wydało mu się bardzo dziwne, że nikt nie zauważył jego upadku z drugiego piętra, choć w wielu oknach paliły się światła. Ruszył jedną nogą, potem drugą. Zdziwił się. Nie były połamane. Podniósł się powoli. Nie powinien tak leżeć na środku podwórka, za chwilę mógł się tu pojawić ten, kto wyrzucił go przez okno. Gdy zobaczy, że chłopak żyje, będzie chciał go dobić. Poza tym zaczynało kropić. Sebastian był obolały, miał dziurę w spodniach na kolanie, przez którą widać było starty do krwi naskórek. Dotknął ręką twarzy i syknął z bólu. Nie wiedział, jak wygląda jego policzek, który strasznie go zapiekł, ale na ręku zobaczył krew wypływającą z rozciętej na palcach skóry. Dokładnie w linii prostej. Wstał i jeszcze raz popatrzył do góry. Zobaczył przekreślony talerz anteny satelitarnej. Znowu spojrzął na swoją dłoń. Powoli zaczął sobie wszystko przypominać. Najpierw chwycił się tego talerza i trzymał go mocno. Po chwili puścił. Potem dojrzał wygiętą blachę parapetu w oknie poniżej. Pamiętał, że postawił tam nogę. Ale teraz, gdy widział odległość pomiędzy talerzem a parapetem, uznał, że to raczej niemożliwe. Później chyba zawisł na drutach, które były przypięte hakami do ściany budynku. Potem zdaje się wyciągnął daleko rękę i chwycił się rynny. Wtedy dostrzegł jaskółkę, która zawisała w powietrzu na tej samej wysokości co on. Przypomniał sobie, że nawet zdążył pomyśleć, że nisko lata, więc pewnie będzie padać. Teraz zaczął się zastanawiać, jak to wszystko było możliwe, gdy nagle obok niego pojawił się starszy elegancki pan z laseczką. Uśmiechnął się życzliwie. Sebastian spojrzął na mężczyznę, który miał sięgające do ramion siwe proste włosy, rozdzielone przedziałkiem na środku głowy, małe oczy i dobrotliwy wyraz twarzy.

– Nic ci się nie stało? – zapytał i znowu się uśmiechnął.

– Nie – odpowiedział szybko Sebastian, otrzepując bluzę.

Kątem oka dostrzegł grubasa w białym podkoszulku

wyglądającego z okna, do którego przytwierdzona była antena. Grubas popatrzył na przekręcony talerz, a potem gniewnie potoczył wzrokiem dookoła. Sebastian spojrział jeszcze na okno powyżej. Wciąż było otwarte.

– Na pewno? – zapytał starszy pan.

– Na-na-na pewno! – rzucił wściekle Sebastian i ruszył do wyjścia.

Nie miał zamiaru czekać, aż gruby facet zacznie się awanturować. A tym bardziej aż przyjdzie tu łysy olbrzym i rzuci nim o ścianę. Chciał już tylko znaleźć się jak najdalej stąd. Przyspieszył kroku.

– Zaczekaj, Sebastianie – usłyszał, gdy był już prawie na końcu podwórka, kilka metrów od wyjścia na ulicę.

Zatrzymał się i odwrócił. Starszy pan szedł wolno ku niemu, przy każdym kroku opierając się na srebrnej rączce lśniącej czarnej laski.

– Skąd pan wie-e-e, jak mam na imię? – zapytał Sebastian i rozejrzał się niepewnie.

Teraz był zadowolony, że mężczyzna z pierwszego piętra ich obserwuje.

– Wszyscy wiedzą, Sebastianie. Wielu na ciebie czekało, choć niektórzy się nie doczekali... – powiedział starszy pan i westchnął głęboko. – Przyjaźniłem się z twoim dziadkiem. Bardzo mi przykro. Straszna śmierć – dodał, spuszczać głowę.

Chłopak znieruchomiał. Właściwie nikogo nie zapytał, jak umarł dziadek. Był stary, więc Sebastian myślał, że umarł i już. Teraz dopiero, patrząc na ciągle otwarte okno mieszkania na drugim piętrze, przypomniał sobie rozmowę dwóch kobiet z cmentarza: „biegł jak szalony... machał rękami... potem padł...”. Wtedy nie zwrócił na to uwagi. Ale teraz... Przecież jego też ktoś chciał zabić.

– Przejdźmy się – zaproponował starszy mężczyzna i poszedł przodem w kierunku bramy.

Idąc, stukał o ziemię czarną laseczką.

Sebastian stał jak wmurowany.

Z bramy wyłonił się łysy olbrzym. Stanął obok starszego

mężczyzny, pustym wzrokiem patrząc na Sebastiana. Starszy pan odwrócił się i uśmiechnął.



– Jesteś pewien, że wysiadł właśnie tutaj? – zapytał po raz kolejny Robert Pitt, choć wiedział, że to już niepotrzebne.

Pragnął po prostu znowu zobaczyć syna.

Ankaa, potężny anioł, wyższy od niego pewnie o metr, jak zwykle bez słów rozłożył wielkie pierzaste skrzydła, tak że stykały się ze sobą u góry. Pochylił się. Gdyby tego nie zrobił, Robert nie mógłby dojrzeć, co zapamiętał lustrzany kamień, przytwierdzony do przepaski oplatającej głowę anioła. Kamień idealnie odbijał światło, którego było już coraz mniej, i pokazywał, co zobaczył.

Robert widział bardzo wyraźnie, jak jego syn wysiadał z tramwaju w tym samym miejscu, w którym teraz stali. Patrzył na Sebastiana i wiedział jedno – syn nie był na Kilińskiego pierwszy raz ani nawet drugi. Był przygaszony, niechętnie wysiadał z tramwaju, ale pokiwał ręką bobasom, które piszcząc, machały do niego jeszcze długo po tym, jak ruszył przed siebie. Robert miał już pewność, że jego syn nieprzypadkowo znalazł się dokładnie tam, gdzie uwięziono Lunę Richelieu. Przypadkowy nie był również kierunek, w którym teraz poszedł. Kamień nic już nie pokazywał, moc tramwaju nie sięgała tak daleko. Sebastian znalazł się w czasie rzeczywistym i zmierzał prosto do domu stryja Oskara.

Mężczyzna podziękował aniołowi, a ten odfrunął. Miał dalej szukać Sebastiana, jeśli jakimś sposobem znowu znalazłby się po ich stronie. Robert wniknął w przestrzeń miasta. Rozejrzał się po przystanku i po chodnikach dookoła. Robiło się ciemno, po ulicach jeździło coraz mniej samochodów. Wybrał najkrótszą drogę prowadzącą do domu stryja i szedł, zastanawiając się, jak to wszystko możliwe. Był złym ojcem, dobrze to wiedział, ale że nie potrafił go upilnować... To był tylko jeden dzień. Zaraz po uwięzieniu Luny miał go odwiedzić na pociąg, samolot, cokolwiek,

byle chłopak znalazł się jak najdalej stąd. Nie zdążył. Lavian miał rację. Nie ochronił Sebastiana i ktoś to wykorzystał. Nie rozpoznał Luny, gdy wieczorem rozmawiała z jego synem. Właściwie nie za bardzo interesował się tym, jak ona wygląda. Wiedział, że gdy będzie trzeba, Ankaa mu ją pokaże. Nie pilnował Sebastiana po pogrzebie. Zbyt ważne było to, żeby ubiec Sokoła i nie dopuścić do próby otwarcia Smoczego Portalu. Śmierć ojca zmieniła reguły. Wprowadziła zamęt. Ktoś właśnie na to liczył. Robert przetarł czoło ze zmęczenia. Wiedział na pewno, że sam temu nie podoła, za duży ciężar dźwiga na swoich barkach. Teraz pragnął już tylko odnaleźć Sebastiana i opowiedzieć mu wszystko bez względu na konsekwencje. Może syn jest tak samo silny jak jego matka i poradzi sobie – mimo wszystko. Mimo tego, czego się dowie.

Robert zaczął się zastanawiać, co powie Sebastianowi, gdy go spotka. Jak zacznie tę rozmowę... Zamyślił się. Był słaby. Wystarczyło, że jeden z przechodniów go potrącił, a Robert się zachwiał. Prawie przejechał mu po nogach duży czarny samochód terenowy, który z impetem wyjeżdżał z ulicy prowadzącej do domu stryja Oskara.



Sebastian siedział w samochodzie obok starszego pana. Nie odzywał się, czekał, co ten jeszcze mu powie. Wracał pamięcią do tego, co się zdarzyło. Próbował uciec z podwórka. Potknął się i nim zdążył się podnieść, olbrzym stał już przy nim. Podniósł go z ziemi – dosłownie. I prawie niosąc pod pachą, przyproceedził do mężczyzny z laseczką, po czym postawił przed nim, cały czas trzymając go za ramiona w kleszczowym uścisku.

– Sebastianie, wszystko ci wyjaśnię, tylko przejedź się ze mną. Coś ci pokażę – obiecał starszy pan.

– A-a-a mam inne wyjście!? – krzyknął Sebastian, który szamotał się, bezskutecznie próbując się wyrwać z rąk olbrzyma.

Liczył na to, że ktoś w końcu będzie przechodził przez podwórko, choć było ciemno, a deszcz padał coraz mocniej.

– Wolałbym tego nie sprawdzać – powiedział starszy pan i uśmiechnął się szeroko, obracając w rękę czarną laseczkę.

– O-o-on wyrzucił mnie z drugiego piętra... i ja-ja... – Sebastian poczuł, jak głos więźnie mu w gardle.

– Och... – westchnął mężczyzna. – W dzisiejszym budownictwie to by mogło być prawie czwarte.

Sebastian zacisnął zęby i znowu próbował się wyszarpnąć, choć wiedział, że to nic nie da.

– Uspokój się i spójrz na to okno.

Sebastian odruchowo popatrzył do góry.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Nic ci się przecież nie stało.

W oknie stryja Oskara było ciemno, za to w innych świeciły się światła. Sebastian doskonale widział, z jakiej wysokości spadł.

– Nie-e-e do-o-o-o końca! – burknął, patrząc wymownie na swoje kolano i wyciągając przed siebie rękę brudną od zakrzepłej krwi.

Mężczyzna uśmiechnął się z politowaniem.

– Coś takiego mogło ci się stać, gdybyś spadł z tego. – Starszy pan pokazał laską stojący na środku podwórka trzepak. – A ty leciałeś prawie z dziesięciu metrów. Sebastianie, posłuchaj mnie uważnie. Wytłumaczę ci to tak: są dwie techniki uczenia ludzi pływania. Powoli, spokojnie, z nadmuchanym kółeczkiem, po kostki w wodzie – powiedział z uśmiechem. – I druga metoda, szybsza, polegająca na wrzuceniu od razu na głęboką wodę. W twoim przypadku nie było czasu na brodzenie w sadzawce. Jesteś kimś wyjątkowym, a jeśli do tej pory tego nie zauważyłeś, to należało ci to pokazać – wyjaśnił, rozkładając ręce. – I musisz w to uwierzyć znacznie szybciej niż ktokolwiek inny do tej pory. – Starszy pan na chwilę zawiesił głos. – Teraz tylko ty możesz uratować Lunę... oczywiście, jeśli tego chcesz.

Nawet gdyby chłopak wiedział, co właściwie powinien na to odrzec, nie potrafiłby wydusić z siebie słowa. Stojący przed nim człowiek mówił o tym, co zdawało się nieprawdopodobne.

– I nikt, Sebastianie, nie może cię do tego zmusić, nawet on. – Starszy pan wskazał laską stojącego za chłopakiem olbrzyma. – Marcinie, puść w końcu tego młodzieńca!

Sebastian poczuł, jakby ktoś zdjął imadła z jego ramion. Obejrzał się za siebie. Olbrzym ukłonił się i odszedł kilka kroków w bok.

– Zanim zdecydujesz, czy chcesz ze mną pojechać, spójrz jeszcze raz w górę. – Starszy pan wyciągnął przed siebie laseczkę. – Popatrz – zaczął wodzić nią po ścianie – wypadłeś z tego okna, następnie dwa metry obok chwyciłeś się tej anteny, słusznie zdecydowałeś, że długo cię nie utrzyma, zrobiłeś więc trzy kroki w powietrzu i stanąłeś na tym parapecie. On też nie jest przeznaczony do tego, żeby ktoś na nim stawał, więc się ugiął, a ty zobaczyłeś nieco niżej wystającą cegłę. Skoczyłeś na nią, potem na tamtą, potem znowu na ten drugi parapet poniżej. I gdyby nie ta jaskółka, na którą zbyt długo patrzyłeś, przemieszczając się na sąsiednie okno, po prostu byś z niego zeskoczył. To był już parter. Spadłeś z wysokości półtora metra i odrobinę za długo trzymałeś się tego talerza, a on miał zbyt ostre brzegi. Ale jak na początek to i tak bardzo dobry wynik – ocenił starszy pan, opuścił laseczkę i ponownie się uśmiechnął.

– A-a-ale jak ja-ja-ja... – chciał jeszcze zapytać Sebastian, ale ze zdenerwowania nie udało mu się dokończyć.

– Jesteś kimś bardzo, bardzo wyjątkowym. Jeśli ze mną pojedziesz, sam będziesz mógł się o tym przekonać – powiedział starszy pan.

Odwrócił się i ruszył w stronę ulicy, z towarzyszącym mu u boku osiłkiem. Sebastian chwilę stał w miejscu, po czym pospieszył za nimi.

Teraz siedział w samochodzie i jechał w nieznanym kierunku. Bał się spytać o cokolwiek. Dopiero gdy przejechali dłuższy odcinek drogi, odważył się odezwać.

– Ki-i-im pan jest?

– Nazywam się Asmuss i jestem mistrzem, choć nie tutaj. – Zaśmiał się.

– A gdzie? – zapytał Sebastian.

– Popatrz... – Asmuss narysował palcem poziomą prostą linię na zaparowanej od deszczu szybie samochodu. – To czas, w którym teraz jesteśmy – powiedział i spojrzął na Sebastiana. – Stąd nie

wszystko widać. Jest jeszcze inny czas, który płynie obok, ale inaczej. – Nad pierwszą linią narysował drugą, wijącą się meandrami jak rzeka. – Ty widziałeś już ten świat. Czasami są bardzo blisko siebie – wyjaśnił i pokazał na punkt, w którym grzbiet linii falistej stykał się prawie z linią prostą.

– A gdzie jest tramwaj? – wyrzucił z siebie jednym tchem Sebastian.

– Tramwaj rządzi się swoimi prawami. – Asmuss znów się zaśmiał. – To nieudane dziecko młodych architektów. O tym kiedy indziej... Bo jest jeszcze coś ważniejszego – oświadczył i zaznaczył palcem na szybie małą kropkę pomiędzy dwiema liniami. – To jest taki bąbelek, taka bańka, tylko nie mydlana – powiedział smutnym głosem. – Płynie jakby równoległe do tych dwóch czasów. Tam chwila może trwać latami. Zdajesz sobie sprawę, jaki to koszmar...

Sebastian niezbyt wiele z tego wszystkiego pojmował, ale kiwnął głową.

– W tej bańce uwięziono Lunę... Tylko ty możesz ją uratować. Musisz się znaleźć w tej rzece czasu – oznajmił i pokazał na linię falistą.

– Ale ja-ja-jak? – zapytał Sebastian.

– Tego powinieneś się dowiedzieć sam. I mam nadzieję, że dowiesz się za chwilę... Marcinie! – Asmuss stuknął laseczką w ramię prowadzącego samochód osiłka. – Zatrzymaj się tu, na rogu Chełmońskiego i Wyspiańskiego. Wsiadamy.

Po chwili Sebastian stał już przed kamienicą u zbiegu dwóch ulic. Przypominała zamek z bajki. Była biała z ciemnymi strzelistymi dachami, przynajmniej tak mu się wydawało, gdy patrzył na nią w świetle ulicznych latarni.

– Tam jest Luna. – Asmuss pokazał laseczką na ostatnie piętro kamienicy. – Na zamku... uwięziona. Cóż, nie udało się jej uchronić. Musisz się tam dostać i jej pomóc. Tylko ty możesz to zrobić, bo inaczej zostanie w tej bańce na wieki.

– Ja-a-a-jak? – zapytał.

– Mówiłem ci – odrzekł Asmuss, rozkładając ręce. – Tego musisz dowiedzieć się sam. Pamiętaj, że jesteś wyjątkowy, Sebastianie –

dodał i rozplynął się w powietrzu.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył chłopak, była rozmazująca mu się przed oczami srebrna rączka czarnej laseczki. Dopiero teraz zauważył, że ma kształt półotwartej muszli. Ona też zniknęła.



Robert Pitt od dwudziestu minut patrzył na więzienie, w którym był przetrzymywany Oskar. Jeszcze nie poprosił o pozwolenie na wejście. Obchodził je tylko w bezpiecznej odległości, tak by nie uruchomić jakimś nieprzemyślanym ruchem wszystkich zabezpieczeń. Wiedział, że coś mu się tu nie podoba, tylko nie wiedział co. Wszystko zdawało się wyglądać tak samo jak dzień wcześniej. Profos beznamiętnie wodził za nim wzrokiem, Amfibiosy nerwowo na niego zerkały, machając ostrzegawczo ogonami. Nie mógł zrobić kroku, by tego nie zauważyły. Jednak coś było nie tak. Robert znów starał się skupić na każdym elemencie, który oglądał. Było pewne, że do więzienia nie można podejść niezauważonym, ale czy można dostać się tam w jakiś inny sposób?

Robert zadawał sobie to pytanie po raz kolejny, patrząc na nieaktywnego Profosa, gdy nagle zdał sobie sprawę, że on nie łśni. Wyglądał tak samo, ale nie łśnił. Teraz był matowy! I to nie przez tłący się nad nim znicz. Przypomniał sobie kapiącą z nosa Strażnika kroplę. Gdy wychodził, ta kropla była takiej samej wielkości. Nie skapnęła. Nie była to uchodząca z Profosa energia. Bo nie była częścią jego ciała! Mężczyzna zamarł. Już wiedział jak to się odbyło. Maż podpełzła niezauważalną cienką warstwą, potem oblaża Strażnika i wniknęła przez jego nos do wnętrza więzienia. Musiał to czuć, ale nie miał już energii potrzebnej do tego, by zareagować. Nie mógł krzyknąć, bo nie miał już nawet ust! A Amfibiosy z przyzwyczajenia nie chodziły mu po twarzy.

Strażników było dwóch. Jeden wystarczył, by reagować na tych, którzy próbują podejść, ale nikt nie pomyślał, że drugi – z założenia niepotrzebny – może stanowić tylną furtkę do więzienia.

Tylko co to było? Kto mógł mieć na usługach takie zmiennokształtne, maziste stworzenie? Robert zrobił krok i czekał, aż uspokoją się wiatry Anemo i Anemo. Stał nieruchomo, gdy chodziły po nim Amfibiosy. Dopiero po tym, jak Profos ponownie kiwnął głową, mężczyzna podszedł do niego i się uklonił.

– Salve, Strażniku.

– Witaj, Robercie – przemówił Profos, spoglądając na przybysza podejrzliwie. – Nie sądzisz, że za często się ostatnio widzimy?

– Nie sądzę. Potężny Profosie – zaczął Robert i zobaczył, jak stroszą się ogony Amfibiosów. Widział również, że nabrzmiały ich pełne jadu tulipanowe końcówki. – Gdy byłem tu wczoraj, głowa twojego współtowarzysza lśniła. Dziś jest matowa. Coś musiało go oblepić i wnikać...

– Jak śmiesz! – krzyknął Profos, a Robert musiał zakryć twarz rękami, bo rozszalałe wiatry niemal zepchnęły go na drugą stronę ulicy.

Przez palce widział jednak, że Amfibiosy zastygły na głowie odchodzącego w niebyt Profosa. Cokolwiek to było, znalazły ślad. Wiatry ucichły tak samo szybko, jak się zerwały.

– Coś jeszcze? – zapytał Profos z pochyloną głową.

Robert rozumiał, jak silne wrażenie musiała zrobić na Strażniku ta informacja. Na pewno strasznie cierpiał, gdy patrzył na uchodzącą ze współtowarzysza energię. A teraz dowiedział się, że ktoś wykorzystuje niemoc umierającego Profosa – jednego z ostatnich wielkich Strażników.

– Muszę jeszcze raz się z nim spotkać – oznajmił Robert.

– Wejdz – zezwolił Strażnik, z trudem podnosząc głowę. – I wiedz, że to, co się stało, już się nie powtórzy...

– Wiem, potężny Strażniku – przerwał mu Robert i szybko ruszył do wejścia, odwracając głowę, tak by nie spojrzeć na umierającego Profosa.

Mógł się tylko domyślać, jak wielkie męczarnie musiał przeżywać potężny niegdyś Strażnik, gdy czuł, że przez jego słabnące ciało ktoś lub coś przenika do więzienia. A on nie ma już sił, by się temu przeciwstawić. Nawet jednym słowem.

To okrutne i pasowałoby do niego, pomyślał Robert, patrząc, jak stryj Oskar z zadowoleniem spaceruje po swoim pokoju z Pilnijkami owiniętymi wokół nóg. Teraz zdawały mu się nie przeszkadzać. Mężczyzna miał wrażenie, że brat jego ojca podskakuje z radości, idąc w jego kierunku.

– Witaj, bratanku, choć już ci powiedziałem, że nie zamierzam z tobą rozmawiać, i wiedz, że nie będę.

Robert obserwował, jak stryj Oskar demonstracyjnie zaciska usta, choć ich kąciki podnoszą się w słabo skrywanym uśmiechu. Wiedział, że staruszka coś przeokrutnie ucieszyło, wiedział też, że nie wyjawi mu przyczyny tej radości.

– Wiedz zatem również, stryju, że nie porozmawiasz już z nikim. Dowiedziałem się, jak za pośrednictwem ciała umierającego Profosa... – Robert zająknął się na sekundę, nie chciał bowiem zdradzać się ze swoją niewiedzą na temat tajemniczej istoty lub substancji – ...przeniknęły do ciebie informacje. – Przerwał na chwilę. – Możesz być pewny, że nie przybędą – dokończył, patrząc, jak zmienia się twarz stryja Oskara, który próbował ukryć ogarniającą go wściekłość, ale bezskutecznie.

– Nie masz pojęcia, z czym próbujesz się zmierzyć! – wykrzyczał stryj, a szczęki drżały mu ze złości.

– Spróbuję, a ty nie będziesz już mi w tym przeszkadzał – odpowiedział Robert spokojnym głosem. – Do samej śmierci – dodał, czekając na reakcję stryja.

– O ile nam obu wiadomo, twoja może nastąpić szybciej! – wysyczał z satysfakcją Oskar.

Robert udał, że się zmartwił, opuścił głowę i ruszył do wyjścia.

– A wtedy to ja... – usłyszał jeszcze za sobą, nim trzasnęły drzwiami.

Tylko to chciał sprawdzić. Do tej pory nie miał pojęcia, jak daleko sięga wiedza stryja Oskara. Teraz już zyskał pewność, że sięga w jego przyszłość. Ale o tym, co ma się zdarzyć, wiedzieli tylko on, Lavian, Irene i... Edwin. Z nich wszystkich tylko ojciec mógł mu to powiedzieć. Odwiedził stryja Oskara. Pozostawało pytanie: dlaczego? Dlaczego to zrobił? Oskar był ich wrogiem. Taka informacja nigdy nie powinna do niego trafić. A trafiła.

Robert pragnął jak najszybciej podzielić się tą wiadomością z Lavianem, ale postanowił sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Chciał się upewnić, czy nic się nie zmieniło po drugiej stronie. Przeniknął i nie czekał długo. Stojąc na schodach przed mieszkaniem stryja Oskara, zobaczył zbliżającą się do jego drzwi otyłą kobietę.

– Przepraszam, a kim pani jest? – zapytał, gdy postawiła dwie siatki na schodach.

– A panu co do tego!? – zachnęła się, chwytając się pulchnymi rękami pod boki.

– Co się stało z panią Teresą?

– A, z Teresą... To moja sąsiadka, dostała śpiączki. Chyba miała cukrzycę, choć nigdy o tym nie mówiła. Człowiek to może mieć różne choroby i nawet o nich nie wie. – Kobieta zrobiła zatroskaną minę.

– A panią kto zatrudnił? – zapytał Robert, przyglądając się bardzo uważnie stojącej przed nim kobiecie z siwofioletowymi włosami.

– Kim pan jest, że mnie pan wypytuje? – odcięła się podniesionym głosem.

– Jestem bratankiem stryja Oskara, jego jedyną rodziną. I pozwolił mi, że od dziś zajmę się nim osobiście.

Kobieta podejrzliwie mu się przyglądała.

– Nie sądzę, że jest pan jedyny, był tu jeszcze jego wnuk... Znaczący się chyba jego brata – oznajmiła z zadowoleniem.

– Tak, to mój syn. Jest zbyt młody, żeby zajmować się schorowanym człowiekiem. Poza tym jest jeszcze nieodpowiedzialny. Czy stryj dał mu coś? – zapytał i zauważył, że kobieta zerka na niego nieufnie. – Posiada wiele cennych rzeczy, niektóre z nich zaś wcale na takie nie wyglądają. A mój syn... przykro mi to mówić, może to sprzedać poniżej wartości albo ktoś mu to ukradnie...

– Oj! Mam jednego takiego zięcia. – Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem. – Szkoda gadać. Ale pański syn dostał tylko taką starą karteczkę z tramwajem. Dużo była warta? – zapytała przerażona.

- Dużo. - Westchnął. - Ale dobrze, że mi pani o tym powiedziała. Pozwoli pani, że ureguluję rachunek za poświęcony czas?

- Ale ja... ja mam już zapłacone - odrzekła ze zdziwieniem.

- Ja pani dopłacę, to ciężka praca... - oznajmił Robert uprzejmie, sięgając po portfel. - I proszę mi zdradzić, który z przyjaciół mojego stryja okazał się tak troskliwy?



Sebastian po raz kolejny obchodził kamienicę na rogu ulic Chełmońskiego i Wyspiańskiego. Patrzył na nią z bliska i z daleka. Widział jednak tylko ładny budynek z szeregami okien do wysokości piątego piętra. Okna miały rozmaite kształty, niektóre wystawały poza budynek, inne były wciśnięte pomiędzy kolumnienki, pod niektórymi dostrzegł nawet główki jakichś zwierzaków z odstającymi uszami. Nie bardzo wiedział, co przedstawiają. Były zbyt małe, żeby mógł obejrzeć je dokładnie przy blasku ulicznych latarni. W żadnym z okien nie paliło się światło. Przede wszystkim jednak do kamienicy nie dało się wejść. Pukał w jedne drzwi otoczone grubymi kolumnami, a potem w drugie, mniejsze, prowadzące do pomieszczeń położonych na dole budynku. Walił też pięścią w wielkie dwuskrzydłowe drewniane wrota, zdobione metalowymi okuciami. Nikt mu nie otwierał. Naciskał guzik dzwonka, ale bez rezultatu. Nikt nie reagował.

Chłopak bardzo chciał się dostać do środka. Tak jak bardzo pragnął wierzyć, że jest kimś wyjątkowym, że komuś na nim zależy. Najbardziej ze wszystkiego jednak chciał uratować Lunę. I być z nią w świecie, w którym słowa lekko płyną mu z ust. W świecie, w którym się nie jąka. I do tego chciał jeszcze pokazać ojcu, ile jest wart! I że nie wszystko musi być tak, jak ojciec chce! Na razie jednak Sebastian chodził tylko wokół budynku i czekał, aż go ktoś przegoni. Z poobcieraną twarzą i brudną bluzą nie wyglądał zbyt dobrze. Już kilka osób będących na wieczornym spacerze z psem przyglądało mu się podejrzliwie. Jedna spytała

go nawet, kogo tu szuka, ale nie odpowiedział. Odwrócił się plecami. Bał się, że spotka ojca. Nie miał pojęcia, gdzie on teraz jest. Wiedział jedynie, że mieszka gdzieś blisko. Okolica wydawała się znajoma.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego Asmuss nie powiedział mu, co konkretnie ma zrobić. W końcu przestał się jednak tym zadręczać. Starszy pan mówił też o wielu rzeczach, których Sebastian nie rozumiał. Pewnie tego też by nie pojął. Nagle przypomniał mu się chłopak rzucający kamykami w okno kamienicy przy Kilińskiego. A gdyby tak rzucić kamieniem w któreś z okien i od razu się schować? Ktoś w końcu musiałby się pojawić, może zostałyby szpara, przez którą dałoby się wejść. Nie był to najmądrzejszy sposób, ale żaden inny nie przychodził mu do głowy.

Na ulicy akurat nikogo nie było. Sebastian znalazł mały kamień. Rozejrzał się dookoła, po czym bez zastanowienia wycelował w okno znajdujące się w suterenie, oddzielone od chodnika niewielkim trawnikiem. Rzucił i szybko schował się za stojący obok samochód. Czekał na jakiś huk albo trzask, ale nic takiego nie usłyszał. Zdziwił się. Nie mógł nie trafić. Okno było duże. Postanowił rzucić ponownie. Tym razem zdecydował się jednak popatrzeć na to, co się dzieje. Nikt nie przechodził obok, Sebastian miał więc czas, by uciec. Wziął większy kamień, przymierzył się, zamachnął, rzucił i stanął z otwartymi z wrażenia ustami. Kamień wpadł w okno, tak jakby wpadał do jeziora. Chłopak patrzył, jak po szybie od środka rozchodzą się coraz większe kręgi łagodniejących fal. W końcu zanikły. Szklana tafła uspokoiła się i znowu wyglądała jak zwyczajna szyba. Po kamieniu nie było ani śladu. Wpadł do środka budynku jak do wody.

Sebastian rozejrzał się nerwowo dookoła. Po drugiej stronie ulicy szła jakaś pani z małym białym pieskiem na rękach. Patrzyła na niego. Sebastian rozpoznał kobietę z cmentarza. Odniósł wrażenie, że ona też go poznała. Tym razem wyglądał jeszcze gorzej. Miał nie tylko podbite oko, ale też startą skórę na policzku i spodnie rozdarte na kolanie. Kobieta zaczęła się

rozglądać, jakby szukała kogoś do pomocy. Chłopak był pewny, że nawet jeśli nikogo nie znajdzie, to i tak podejdzie do niego i zacznie go wypytywać. Nie miał najmniejszej ochoty z nią rozmawiać. Postanowił spróbować. Sam nie wiedział czego.

Przeszedł przez niewysoki żywopłot. Wyciągnął ręce przed siebie. Złożył dłonie jak do skoku i rzucił się w kierunku szyby. Gdy tylko jego palce zaczęły się w nią zatapiać, oślepił go blask, a potem czuł już tylko, jak wiotczeją mu ręce. Całe ciało zagłębiało się w nieznaną przestrzeń, jakby się przez nią przesączało. Sebastianowi wydawało się, że trwa to strasznie długo, a jego ciało przelewa się w kilku kierunkach naraz. Po jakimś czasie poczuł boleśnie, że turla się po kamiennej posadzce, robiąc fikołki. Upadł twarzą do ziemi. Chwilę później usłyszał groźny pomruk. Gdy podniósł głowę, ujrzał stojącego nad sobą małego lwa. Zaraz potem coś uderzyło go w potylicę. Odwrócił się i zobaczył, jak mała z odstającymi uszami podrzuca w łapie niewielki kamień.



Eleonora Ramke chwyciła się za głowę. Po chwili odwróciła się przerażona, słysząc, że ktoś biegnie w jej kierunku, dysząc ciężko. Na szczęście zobaczyła tylko rudego grubaska, który podobnie jak ona wpatrywał się w okno, gdzie przed chwilą zniknął jej z oczu chłopak z podbitym okiem. Zasapany rudzielec usiadł na krawężniku i jęknął, chowając twarz w dłoniach.

– Zabierz mnie ze sobą – wyszeptał. – Dlaczego mnie ze sobą nie zabrałeś?



Robert bezradnie rozłożył ręce, choć zdołał je tylko lekko unieść. Opierał się całym ciałem o ścianę tarasu i wyglądał, jakby miał się zaraz po niej osunąć. Był bladoszary i śpiący. Otwierał i zamykał oczy w zwolnionym tempie.

– Lavianie, to ponad moje siły – powiedział prawie

niesłyszalnym głosem.

Słuchający go Gryf Płomienny zmrużył lwie oczy, tak że wyglądały jak dwie małe szparki, w których ledwo odbijał się blask księżyca oświetlającego balkon. Wąsy drżały mu lekko, za to kita ogona nerwowo omiatała powietrze z lewa na prawo.

– Wiesz co? – odezwał się Gryf i poczekał, aż Robert spojrzy na niego. – Pamiętasz, jak opowiadałem ci o asyryjskim pałacu w Dur-Szarrukin z czasów Sargona II? – zapytał.

Robert jęknął, przymykając powieki.

Niezrażony tym Lavian kontynuował opowieść:

– Jeden ze strażników, lamassu, czyli pięcionogi skrzydlaty byk z ludzką głową, wyznał mi, że bardzo ją sobie chwali, to znaczy ludzką głowę. Powtarzał, że ma ją nie od parady! Prawie mnie przekonał... – powiedział Gryf i pokręcił głową na boki. – Więc lepiej mnie nie rozczaruj! – ryknął tak głośno, że Robert szeroko otworzył oczy ze zdziwienia i stanął przed Lavianem niemal na baczność. – Strumień odwrócił swój bieg! Nadchodzą zmiany! To nie pora na użalanie się nad sobą! – ryknął raz jeszcze Gryf, choć tym razem nieco ciszej. – Powtórz mi to, czego się dowiedziałeś – dodał już spokojnie.

– Kobieta, która opiekowała się stryjem Oskarem, rzeczywiście jest w śpiączce – zaczął powoli tłumaczyć Robert. – I zapadła w nią w dniu śmierci mojego ojca. Byłem u niej. Nie wiem, co jej podano, ale wydaje mi się, że będzie jeszcze długo spała. Tak czy inaczej, ta, która ją zastąpiła, nie miała o niczym pojęcia. Dlatego wpuściła Sebastiana...

– Którego ty nie upilnowałeś! – ryknął znowu Gryf Płomienny tak głośno, że zatrzęśły mu się skrzydła.

– Nie ja go tu sprowadziłem! – odparował mężczyzna, opierając głowę o ścianę, jakby niemiłosiernie mu ciążyła.

– Ja też nie. To bez znaczenia. – Lavian lekko obniżył głos. – Ktoś zabił twego ojca i sprowadził tutaj Sebastiana. Zapewne po to, żeby zabił ciebie – dodał, unosząc lwie brwi. – Oskarowi udało się wprowadzić go do tego świata.

– Nie pomyślałem o tym tramwaju z Pupilami...

– Ja też nie, a powinienem – przyznał Gryf, strosząc pióra. – Od

początku nie podobała mi się ta zabawka. Cóż, Sebastian i tak wcześniej czy później trafiłby do tego świata, problem w tym, że trafił za wcześnie... – powiedział i zamyślił się. – Wiesz już, jaką siłę ma Sebastian? – zapytał po chwili.

Robert skinął głową.

– Poczułem ją, gdy mnie odepchnął.

– Ktoś może chcieć to wykorzystać – ciągnął Lavian. – I to ktoś z obozu wroga! – dodał, wbijając łwie ślepią w Roberta. – Weź się więc w garść, bo to nie koniec nieszczęść, jestem tego pewien! – zakończył dosadnie, strosząc pióra tak, że zaczęły szeleścić.

– To co mam robić? – odezwał się po dłuższej chwili Robert, z nadzieją spoglądając na Gryfa.

– Musimy ustalić, co się stało przedtem, i zapanować nad tym, co dzieje się teraz! – oznajmił Gryf i złożył skrzydła, które miękko opadły mu na grzbiet. – Opis człowieka, który wynajął kobietę opiekującą się Oskarem, pasuje do Asmussa. Asmuss i Sokół to groźne połączenie. Jednak ani jeden, ani drugi nie mieliby tyle siły, by zabić twojego ojca. Ktoś lub coś musiało im w tym pomóc. Wcześniej czy później się tego dowiemy... Grunt, żeby dowiedzieć się wcześniej.

– Nie mam już siły... – zaczął Robert, opierając się o ścianę.

– Masz! Tyle jeszcze masz! Pozostaje tylko do wyjaśnienia kwestia, dlaczego Edwin powiedział Oskarowi o tym, co zobaczyłeś... w przyszłości. Moim zdaniem to jest klucz, jak mawiał jeden klucznik z Notre Dame.

– Jak mam się tego dowiedzieć? – Robert bezradnie wzruszył ramionami, po czym powoli osunął się po ścianie i podkuliwszy nogi, usiadł na ziemi, opierając głowę na kolanach.

– Myślenie nie jest teraz twoją najmocniejszą stroną. – Lavian westchnął. – Odpoczniesz tu jakiś czas. Pod żadnym pozorem nie wychodź stąd. Na to jesteś za słaby!

– Ale ja muszę go odnaleźć, zanim...

– Przede wszystkim musisz odzyskać siły. Ja zdobędę potrzebne informacje – oświadczył Gryf rozkazującym tonem. – Powiedz mi tylko jeszcze, czy zobaczyłeś coś dziwnego w mieszkaniu Edwina?

– Mówiłem ci – jęknął Robert. – Zniknęła teczka z projektami maszyny...

– To nie jest najważniejsze.

– To cię nie martwi? – zapytał Robert ze zdziwieniem, ledwo podnosząc powieki, by spojrzeć na Gryfa.

– Nie! – odpowiedział spokojnie Lavian. – Nawet jeśli komuś udałoby się coś odczytać z tych starych projektów, to i tak nic z tego nie zrozumie bez kartek, które schowałem już wcześniej.

– Ach tak. – Robert pokiwał głową z uznaniem. – To dobrze. – Westchnął. – Poza tym nic niepokojącego nie zauważyłem. Za dużo wspomnień... i ta muszelka...

– Muszelka? – zdziwił się Lavian i już otworzył pysk, by zapytać o coś jeszcze, gdy nagle spojrzął w górę.

Robert podążył za jego wzrokiem. Nocne niebo zdawało się puste. Dopiero po chwili dojrzał nadlatującego anioła.

– Widziałeś Sebastiana? – zapytał drżącym głosem, gdy anioł w białej powłóczystej szacie spłynął na taras.

Następnie podniósł się, opierając się o ścianę, i stanął chwiejnie na ugiętych kolanach.

Ankaa przytaknął i pochylił głowę. Lavian i Robert w milczeniu spojrzeli na lustrzany kamień. W rozplywającej się szklanej tafli zobaczyli odbicie wnikającego w okno Sebastiana.

– Nie mylę się, Lavianie? – zapytał Robert, patrząc z przerażeniem na Gryfa.

– Nie mylisz się, Robercie – odpowiedział Gryf, wydając groźny pomruk. – To zamek Sokoła – dodał po chwili.

Mężczyzna zakrył rękami twarz.

– Chciałbym, żeby on mi to kiedyś wybaczył – szepnął drżącym głosem. – Choćby po mojej śmierci... – dodał i osunął się po ścianie na ziemię.

ROZDZIAŁ 4 W KTÓRYM SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA

Sebastian stał i spoglądał na kamień, który trzymał w ręku. Wcześniej rzucił nim w okno. Potem patrzył, jak podrzuca go mała z odstającymi uszami, po czym celuje nim prosto w niego. Złapał go w ostatniej chwili, i całe szczęście, bo mógł rozkwasić mu nos. Mała, wyraźnie niepokieszona, podrapała się po głowie, odwróciła i ruszyła w kierunku krętych schodów. Za nią podreptał mały lew.

Chłopak został sam w miejscu, co do którego nie miał pewności, czy istnieje naprawdę. Stał w kamiennej piwnicy z oknami przy samym sklepieniu. Gdyby chciał wyjść stąd, tak jak przyszedł, nie miałby większych szans. Nie doskoczyłby do okien. W pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów. Nic, na czym mógłby stanąć. Zresztą po co miałby wychodzić, skoro dopiero się tu dostał. Chwilę się nad tym zastanawiał. Potem ruszył schodami, na których zniknęli mała i lew. Innego wyjścia z piwnicy nie widział. Nie miał pojęcia, jak długo się wspinał, bo schody były kręcone, nie było okien, wszędzie panował mrok. W końcu zobaczył dochodzące skądś światło. Schody nagle się skończyły i wyprowadziły go wprost na przestronny korytarz. Rozejrzył się dookoła. Nie było tu nikogo. Szedł więc dalej, ale ostrożnie i powoli, choć sam słyszał każdy swój krok rozbrzmiewający głośnym stukotem na kamiennej posadzce. Gdy był w połowie korytarza, dla pewności odwrócił głowę i zamarł. Za nim podążał błękitnoszary kot! Wyglądał jak kot, tylko że był wielkości konia pociągowego. Same czarne wąsy kocura mogły mieć co najmniej po pół metra długości. Sebastian przywarł plecami do ściany i patrzył, jak zwierzę leniwie stawia gigantyczne łapy. Kot przeszedł obok, jakby w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Minął go, kołysząc tuż nad ziemią długim zawiniętym ogonem. Nagle chłopak błyskawicznie się uchylił, bo koniec ogona, którym kocur

poruszał – zdawało się – od niechcienia,omal nie zmiądzzył mu głowy, niespodziewanie machnąwszy w jego stronę. Zdążył tylko ugiąć kolana, nim poczuł, jak sierść z samego koniuszka półtorametrowego ogona omiotła powietrze kilka centymetrów nad jego czołem. Kot jak gdyby nigdy nic poszedł dalej i zniknął za złotą kolumną na końcu korytarza.

Sebastian przez chwilę stał nieruchomo, obawiając się, że każdy stwór, którego tu spotka, będzie chciał mu zrobić krzywdę. Ruszył dalej, już się nie zastanawiając nad tym, czy hałasuje, czy nie. Po spotkaniu z bezszelestnym kotem zdawało się to nie mieć większego znaczenia. Ale gdy był już przy kolumnie, odruchowo zwolnił. Za nią, w głębokiej wnęce, ujrzał wysokie drzwi dekorowane w złote esy-floresy. Były lekko uchylone i z głębi sali usłyszał głosy. Przywarł do kolumny i lekko wychylił zza niej głowę, przysuwając się do szpary w drzwiach. Zerknął, po czym szybko schował się z powrotem, mrugając powiekami. Był prawie pewny, że w sali zobaczył nagą kobietę. Odetchnął głęboko, a potem włożył głowę w lukę między drzwiami. Tym razem jeszcze szerzej otworzył oczy.

Kobieta miała ładną, mocno umalowaną twarz, jakąś chustkę na głowie, duże nagie piersi, a dalej była już lwem, któremu z pleców wyrastały ptasie skrzydła. Nie poruszały się, za to w powietrzu wił się pokryty łuskami węzowy ogon. Obok niej powiewały czerwone szarfy wypływające wprost z białej czaszki jakiegoś zwierzęcia. Sebastian dojrzał jeszcze nietoperza z błoniastymi czarnymi skrzydłami i sokoła odzianego w błękitny płaszcz. Chłopak gapił się z otwartymi ustami, gdy nagle ktoś chwycił go za ramię. Podskoczył ze strachu i krzyknął. Wszystkie stwory spojrzały w jego stronę.

– Zaraz ich poznasz, skoro udało ci się już wejść – usłyszał za plecami głos Mistrza Asmussa.

Sebastian obejrzał się za siebie.

– Ale teraz chciałbym przedstawić ci Mizara – dodał Asmuss i pokazał ręką na stojącego obok stwora.

– Witaj, Sebastianie – kłaniając mu się, przemówiła postać o małej twarzy z wielkim dziobem, ubrana w czerwono-

fioletowy mundur.

– Witaj... – odpowiedział Sebastian.

Zastanawiał się, czy powinien się przedstawić, skoro Mizar już go zna. Na wszelki wypadek uklonił mu się równie nisko.

– Mizar jest nauczycielem. Pokaże ci, jak panować nad drobinami czasu bez rozpraszania się – powiedział, spoglądając wymownie na dziurę w spodniach Sebastiana i wystające z niej otarte kolano. – Ale zanim o tym porozmawiamy, myślę, że chciałbyś zobaczyć Lunę...

Sebastian skinął głową i podążył za Mizarem. Mistrz Asmuss uśmiechnął się łagodnie i stukając laseczką, wszedł do sali, po czym zamknął za sobą drzwi.



– Kim on jest? – zapytała Kobieta-Sfinks, gładząc skrzydła końcówką łuskowatego ogona. – Poczulałam siłę, i to nieokiełznaną – dodała, mrużąc lekko wielkie, obwiedzione grubą czarną kreską oczy.

– Nie mylisz się, Tairo – odrzekł Mistrz Asmuss, z uśmiechem patrząc na stojące w kręgu postacie. – To Sebastian Pitt, wnuk Edwina, syn Roberta – dodał, gładząc srebrną muszlę, z której wypływała lśniąca maź i chowała się do niej z powrotem.

– Co on tu robi? – spytał podejrzliwie nietoperz, składając ręce tak, że przytwierdzone do nich błoniaste skrzydła owinęły całe jego ciało niczym kokon.

– Jest po naszej stronie, Lanksie – zapewnił Sokół. – Wiesz przecież doskonale, że Robert z Gryfem uwięzili Lunę – wyjaśnił, zaciskając dziób. – Ani jemu, ani nam to się nie spodobało. Luna na to nie zasłużyła.

– Asmussie! – zasyczał Lanx, nie patrząc już na Sokoła. – Wiesz, że nas nie interesują wasze rozgrywki. Sokół szkolił Lunę, Gryf ją uwięził. Co w tym dziwnego? Nie przeszkadzaliśmy ani w jednym, ani w drugim.

– Ale mogłeś... – zaczął Sokół, a Lanx rozpostarł skrzydła, rozcapierzając szponiaste palce, jakby chciał chwycić w nie

głowę Sokoła.

- To nie nasza sprawa! - przerwał mu tubalny głos wydobywający się z koziej czaszki. - Lepiej powiedz od razu, Asmussie, po co nas tu wezwałeś - dodał Azarak, a powiewające nad nim czerwone szarfy uniosły się lekko nad podłogą. - Skoro, jak się domyślam, gościsz u siebie młodego Pitta, musisz mieć jakiś plan.

- Cóż... - Asmuss westchnął i postukał laską o posadzkę. - Nie przewidzieliśmy, a raczej nie przewidziałem - poprawił się - że Robert Pitt będzie grał tak nieuczciwie i uwięzi Lunę...

- Ha, ha - zadudniło w pustej czaszce. - On ją uwięził na jakiś czas, a jego ojca ktoś zabił na dłużej - wtrącił Azarak. - Wiesz doskonale, że nas to niewiele obchodzi - zaczął po chwili poważnym tonem. - Jesteśmy Strażnikami Mocy, a każdy z nas ma swoją moc. Nic nam do tego, co kryje Smoczy Portal i kto go pilnuje.

- Wiem, Azaraku, i jestem wdzięczny, że zgodziłeś się przybyć i mnie wysłuchać, mimo że nie musiałeś - powiedział Asmuss, kłaniając się przed koźlą czaszką tak nisko, że niemal dotknął czołem rączki swojej laski. Zastygł tak na chwilę, po czym podniósł głowę. - Wszystkim wam dziękuję. Być może uda nam się przed czasem uwolnić Lunę i to ona otworzy Smoczy Portal. A jeśli tak się stanie, to zgodnie z moją obietnicą wasze wejścia i tak pozostaną zamknięte - dodał, patrząc na ostre kły wysuwające się z pyska Lanksa. - Luna nabyła już wielu umiejętności i być może jest wybrańcem, który tego dokona. Lecz jeśli to się nie uda... - Zawiesił głos, gładząc dłońią muszlę na rączce laski.

- ...To zamierzasz wykorzystać do tego Sebastiana? - dokończyła za niego Kobieta-Sfinks. - On chyba jeszcze nie za wiele potrafi? Może przy tym zginąć. Wiesz o tym - przypomniała, muskając swoją szyję końcem węzowego ogona.

- Myślę, że po odpowiednim przeszkoleniu powinien spróbować. Tairo, sama poczułaś, że może mu się to udać...

- Nie zapominaj o jego ojcu! Został sam, ale ma jeszcze władzę nad Smoczycą - zaszczał Lanx, gniewnie rozprostowując błoniaste skrzydła, w których jak struny naprężyły się wszystkie

ścięgną.

- Liczę na to, że wkrótce przestanie być naszym problemem – odezwał się Sokół, mrużąc czarne szkliste oczy tak mocno, że okalające je złote obwódki prawie się złączyły.

- Nie licz na moją pomoc! – zadudniło echo w koźlej czaszce. – Chcecie przejść Smoczy Portal. Zamierzasz ponowić próbę otwarcia... Jeśli ci się uda, na nic się zdadzą twoje obietnice! Wtedy będziesz mógł robić, co zechcesz. I z kim zechcesz. – Z pustej szczęki i oczodołów zaczął wydobywać się coraz groźniejszy pomruk, a czerwone szarfy zawirowały w powietrzu, ocierając się niemalże o dziób Sokoła.

- Nie unoś się tak, Azaraku – odezwał się Asmuss, groźnie marszcząc czoło, gdy szarfy opadły już na podłogę. – Być może zmienisz zdanie – dodał lekko drwiącym tonem, gładząc muszlę. Znowy wypłynęła z niej lśniąca maź, która następnie schowała się w jego zaciśniętej pięści.

- Nie sądzę! – Dudniący głos Azaraka odbił się echem od ścian kamiennej sali.

Mistrz Asmuss nic nie odpowiedział, tylko lekko poruszał palcami.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 9/36/03-07/1902

Dołączona do akt ekspertyza lekarska z Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach.

Wyłącznie do wglądu ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~

Pacjent [dane utajnione]

Najprawdopodobniej mamy w tym przypadku do czynienia z

opisaną już przez Karla Ludwiga Kahlbauma katatonią. Charakteryzuje się ona zmniejszoną aktywnością ruchową. Obserwowany pacjent wykazuje tak zwaną sztywność katatoniczną polegającą na utrzymywaniu przez dłuższy czas jednej pozycji, choćby niewygodnej. W tym przypadku jest to przysiad na piętach. Pacjent wykazuje opór przy jakiegokolwiek próbie zmiany ułożenia jego ciała.

Zapewne występuje u niego również rodzaj obserwowanego już w psychiatrii tak zwanego przymglenia. Jak sama nazwa wskazuje, osoba w takim stanie zachowuje się podobnie do człowieka znajdującego się w gęstej mgle. Kontakt z nią jest utrudniony bądź wręcz niemożliwy. Ruchy pacjenta są spowolnione, a wszystkie reakcje następują z opóźnieniem. W takim stanie zwykle zaburzona jest również orientacja w miejscu i czasie.

Nie wiem, czy będzie możliwe uzyskanie jakichkolwiek informacji o tym, co właściwie mogło spowodować ten stan u pacjenta, bo jeśli nawet odrętwienie minie, to po przymgleniu pozostaje zwykle niepamięć dotycząca wcześniejszych wydarzeń.

W chwili obecnej niemożliwy jest powrót pacjenta do domu. Zaleca się kontynuowanie leczenia prądem.

Odręczny dopisek:

Sporządzać szczegółowe

cykliczne raporty ze stanu zdrowia ~~XXXXXXXXXX~~ .

Kobieta-Sfinks tak jak wszyscy patrzyła na szalejące krwistoczerwone szarfy rozgniewanego Azaraka. Wkrótce jednak co innego przykuło jej uwagę. W chwili gdy Azarak krzyknął, z opuszczonej pięści Asmussa wypadła biała lśniąca perła, która stuknęła o kamienną posadzkę i potoczyła się w kierunku wirującego Azaraka. Kobiecie zdawało się, że nikt oprócz niej tego nie zauważył. Mistrz Asmuss patrzył w inną

stronę. Perła zaś wturlała się między końcówki szarf Azaraka. Po chwili zaczęły one zmieniać krwisty odcień na bardziej łagodny i delikatnie połyskujący. Potem opadły i snuły się już tylko nad kamienną posadzką. Perła zniknęła, jakby w ogóle jej tam nie było, a koźła czaszka Azaraka zaczęła lekko lśnić.

Taira zerknęła na Mistrza Asmussa. Uśmiechał się łagodnie.



Sebastian Pitt od dłuższego czasu nie potrafił wydusić z siebie słowa. Stał tylko i patrzył. Przed nim, tuż nad ziemią, unosiła się kula. Wyglądała jak szklana, ale gdy wyciągnął do niej rękę, poczuł pod palcami miękko uginającą się powierzchnię. Niemalże mógł dotknąć zamkniętej w niej Luny. Brakowało zaledwie kilku centymetrów, by zdołał pochwycić kosmyki rozwianych włosów czy falbany szerokich, unoszących się w powietrzu rękawów jej białej bluzki. Sebastian spróbował kilka razy, ale choć otaczająca dziewczynę przestrzeń dawała się uginać, ugniatać i przelewać, to nigdy na tyle, by mógł zbliżyć do Luny dłoń. W końcu przestał próbować. Patrzył tylko w przestraszone oczy dziewczyny. Stał tak już bardzo długo, więc nie wiedział, czy ulega złudzeniu. Przysunął twarz do kuli i zaczął przyglądać się uważnie. Zdawało mu się, że gdy spojrział na Lunę pierwszy raz, tuż pod powieką widział całą źrenicę jej oka. Teraz mała czarna plamka otoczona zieloną tęcząwką zaczęła się pod nią chować.

– Tak, nie mylisz się, Sebastianie – usłyszał za sobą głos obserwującego go Mizara. – Jeśli wystarczająco długo będziemy tu ze sobą rozmawiać, zobaczysz jedno mrugnięcie jej powieki.

– Dlaczego? Jak to się... O co tu chodzi? Dlaczego ojciec jej to...? – zaczął Sebastian po długim milczeniu, wylewając z siebie potok słów, które choć nieskładne, przechodziły mu przez gardło równie płynnie jak w tramwaju.

W tym świecie Sebastian się nie jękał i nie obawiał się, że zacznie. Nie wiedział, jak to się dzieje, ale miał co do tego pewność. Mógłby więc pytać dalej, ale zobaczył wyciągniętą przed siebie łapę i umilkł w pół słowa.

– Na które pytanie mam ci odpowiedzieć? – usłyszał spokojny głos Mizara.

Sebastian przez chwilę patrzył w małpie oczy i próbował wydusić z siebie jakieś słowo, ale bez rezultatu. Tyle myśli krążyło mu po głowie, że otworzył usta jedynie po to, by zaraz je zamknąć. Spuścił wzrok i patrzył w milczeniu na czarne oficerskie buty Mizara.

– Każda rzecz i każdy człowiek ma swój strumień czasu – przemówił spokojnie i powoli Mizar, wyraźnie akcentując słowa. – Nie tak łatwo oddzielić go, gdy płynie razem z resztą świata w rzece zdarzeń. Choć są tacy, którzy to potrafią... Jedną z takich osób jest twój ojciec. Spowolnił czas Luny, zamykając ją w tej bańce. – Mizar wskazał kulę, w której znajdowała się Luna.

Sebastian ponownie na nią spojrzął i był już pewien, że powieka rzeczywiście się poruszała, bo rzęsy przysłaniały teraz prawie całą tęczówkę. Widział już tylko białka spod przymkniętych powiek. Zdawało mu się też, że jeden kosmyk brązowych włosów przesunął się bliżej policzka.

– Jak widzisz – kontynuował Mizar – to, co dla niej jest teraz tylko mrugnięciem, dla nas może trwać godzinę. Miną tygodnie, nim zorientuje się, w jakiej jest sytuacji. Na razie przeżywa moment, w którym została zamknięta. I będzie go jeszcze długo przeżywała. Oczywiście z naszego punktu widzenia. – Mizar westchnął. – Tak czy inaczej, nasz czas odpłynie, gdy jej będzie stał w miejscu albo raczej płynął bardzo powoli.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Sebastian, rozkładając ręce, bo wszystko, co się tu działo, wydawało mu się nierealne.

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że zaraz cały ten świat pryśnie razem z unoszącą się przed nim bańką mydlaną, a Luna stanie obok, uśmiechając się, zamaszystym gestem odgarnie rozwiewane przez wiatr włosy, nachyli się nad nim i powie: „Chodź tu, chłopaku z daleka...”.

– Możesz już nigdy się z nią nie spotkać – przerwał jego rozmyślenia Mizar. – Jeśli zostanie tutaj, nigdy już nas nie dogoni. Świat, który znała, z czasem odejdzie...

– Ale w jakiś sposób się tu przecież znalazła! – krzyknął

Sebastian, czując, jak głos więźnie mu w gardle, jakby z tej wściekłej bezsilności miał się zaraz rozplakać – Tak samo musi stąd wyjść!

– To nie takie proste – odpowiedział Mizar i spojrzał ze smutkiem na Lunę.

– Ale jakieś wyjście przecież jest! – wrzasnął Sebastian. – Ktoś musi ją stąd wyciągnąć! – dodał, czując, jak zaciskają mu się pięści na wspomnienie ojca wpatrującego się kamiennym wzrokiem w Lunę. – Ktoś musi ją stąd wyciągnąć! – powtórzył. – Wy nie umiecie?!

– My nie – odrzekł spokojnie Mizar.

– A więc kto?! – krzyknął chłopak, czując wzbierającą nienawiść. Pierwsze, co pomyślał, to że zabije ojca, jeśli szybko nie odwróci tego, co zrobił. Po prostu go zabij! – powtarzał w myślach, zaciskając pięści i wbijając paznokcie w skórę.

– Prawdopodobnie ty, Sebastianie – oznajmił łagodnie Mizar, pochylając głowę.

– Jak to ja? Przecież ja nie potrafię! Nie wiem... Dlaczego ja? – pytał zagubiony Sebastian.

– Bo jesteś wyjątkowy – odpowiedział Mizar i po raz drugi uklonił się przed nim.

Sebastian osłupiał. Dotykał tej bańki i nic się nie działo. W jaki sposób miałyby niby uwolnić Lunę?! Poza tym nigdy nie czuł się kimś wyjątkowym. Był pewny, że wszyscy, którzy tak mówią, są w błędzie.

– Mylisz się – powiedział. – Nie jestem chyba tym, za którego mnie masz. Ja nie potrafię, nie wiem jak...

– Nie myślę się, Sebastianie – odparł Mizar. Podszedł do chłopca, a ten poczuł, jak małpia łapa podnosi jego opuszczony podbródek. – Nie mówiłem, że wiesz, jak to zrobić. Powiedziałem tylko, że prawdopodobnie mógłbyś tego dokonać. Musiałbyś się tylko nauczyć. Choć to... – ciągnął Mizar.

– Nauczysz mnie? – przerwał mu Sebastian.

– Jeśli zechcesz, to tak – stwierdził Mizar, patrząc chłopakowi prosto w oczy. – Ale powinieneś wiedzieć, że...

– Chcę! – przerwał mu w pół słowa.

– Sebastianie! – Mizar podniósł głos. – Pierwsza i najważniejsza rzecz! Nie możesz mi przerywać, gdy usiłuję ci coś wytłumaczyć! – rzekł stanowczo i odsunął się o krok. – Druga to taka, że powinieneś mieć świadomość, iż to jest niezwykle, nieprawdopodobnie wprost niebezpieczne... Może się nie udać.

Sebastian milczał.

– A co będzie, jeśli się nie uda? – zapytał w końcu.

– Możesz nawet zgi...

– A ona? – przerwał mu znowu, pokazując ręką na kulę, w której tkwiła Luna.

– Ostrzegam cię po raz drugi i ostatni! – powiedział Mizar i uniósł małpi palec. – A ona... – Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem westchnął głośno i opuścił głowę. – Zostanie tam na zawsze. Nikt nie umie przewidzieć, co się będzie z nią działo. Nasze strumienie czasu same się nie połączą i pewnie nikt z nas tego nie doczeka. Ani tego nie zobaczy. – Znów umilkł na chwilę. – Dni mijają inaczej niż lata – dokończył, drapiąc się po białej peruce.

– Zatem się uda! – powiedział Sebastian pewnym głosem. – Ona musi do mnie wrócić. Jest jedyną osobą, na której mi zależy... – Głos mu zadrżał i chłopak zawstydził się, gdy spostrzegł, że bezwiednie zaczął gładzić powierzchnię bańki, próbując dotknąć choćby koniuszka włosów Luny. Odsunął rękę i znowu zacisnął ją w pięść. – A na mnie... nie zależy nikomu – dokończył ze smutkiem.



Eleonora Ramke wyszła na spacer z psem. Przechadzkę odbywała niejako przy okazji, ponieważ umówiła się na popołudniową herbatę z koleżanką od zaprzyjaźnionego maltańczyka, mieszkającą niedaleko, przy Wyspiańskiego. W połowie drogi, gdzieś na wysokości skrzyżowania z Siemiradzkiego, dojrzała wstrętnego burego kundla, który już wcześniej śmiał obwąchiwać jej ślicznego białego pieska. Natychmiast wzięła pupila na ręce, przytuliła do obfitych piersi i czekała, aż ohydne psisko sobie pójdzie. Poprawiła czerwoną

kokardkę na czubku psiego łebka i zerknęła na człowieka, który właśnie wychodził z kamienicy. Zmarszczyła czoło i wyduła usta z niesmakiem.

Wstrętne pijaczysko, wstrętne jak ten przebrzydły kundel, pomyślała, patrząc, jak dorosły mężczyzna w środku dnia idzie zygzakiem po chodniku. Przemknęło jej przez myśl, że skądś go zna, ale szybko skarciła samą siebie. Niemożliwe, żeby znała człowieka, który właśnie się potknął, wpadł obiema rękami w kałużę, a następnie z trudem się podniósł. Z rąk ściekało mu błoto. Eleonora patrzyła jeszcze, jak tymi brudnymi rękami przytrzymuje się zaparkowanych samochodów i idzie dalej, a za nim podąża gruby rudy nastolatek.

- I taki to przykład daje młodzieży - mruknęła kobieta z oburzeniem, zasłaniając pieskowi oczy.

Po chwili postawiła pupila na ziemi, bo bury kundel pobiegł za pijakiem i rudzielcem. Nagle coś zaświtało jej w głowie. Czy ten pijak to przypadkiem nie syn tego wariata, na którego pogrzebie była? Pokiwała głową sama do siebie. Wszystko pasowało.



Sebastian z uśmiechem od ucha do ucha sunął na brzuchu po kamiennej biało-czarnej posadzce.

- Udało się! Udało się! - wrzeszczał tak głośno, że w wielkiej sali zadudniło echo.

Gdy już się zatrzymał, spojrzał na Mizara. Ten patrzył w jego stronę i z zadowoleniem kiwał głową.

Mały, nie więcej niż trzydziestocentymetrowy pucołowaty człowieczek, bardziej przypominający lalkę kukiełkę niż człowieka, stał obok kolumny i zwijał długie na dwa metry liny zakończone metalowymi kuleczkami. Miał przy tym obrażoną minę i gdy tylko skończył nawijać liny na łokieć, odwrócił się na pięcie i kołysząc się na krótkich nogach, bez słowa wyszedł z sali.

Sebastian jeszcze przez chwilę leżał na podłodze, masując obolałe od uderzeń ciało, nim wstał i podszedł do Mizara. Ten uśmiechał się do niego, kręcąc nawleczonym na sznurek

czerwonym guzikiem. Tym samym, który pokazał mu, gdy pojawili się razem w tej sali i przygotowywali się do pierwszego ćwiczenia. Wtedy Mizar nawlekł guzik i trzymając końce sznurka w palcach obu rąk, zaczął nim wolno kręcić.

- Patrz, Sebastianie. Co widzisz? - zapytał wówczas.

- Sznurek z guzikiem - odpowiedział Sebastian, obojętnie wzruszając ramionami.

- A teraz? Co widzisz? - spytał Mizar, kręcąc sznurkiem tak szybko, że guzik, zataczając kółka, tworzył niemal ciągłą linię.

- Teraz to nie wiem - odrzekł Sebastian. - Może jakieś czerwone kółko.

- Jakie kółko?! - krzyknął Mizar tak głośno, że Sebastian odskoczył prawie na metr. - Przecież to guzik!

- Wiem, że guzik! Ale widzę kółko! Za szybko nim kręcisz! - odparował Sebastian równie głośno.

- Nie. To ty za wolno patrzysz - rzekł Mizar już spokojnym głosem. - I nie denerwuj się tak - dodał łagodnie. - Nie ma czym. Jeśli nie zobaczysz guzika, to zginiesz.

- Dlaczego zamiast mnie uczyć, nieustannie mnie straszysz?! - zaperzył się chłopak i stanął bokiem do Mizara.

- Bo strach jest dobrym nauczycielem... Nie wiem, czy najlepszym, ale na pewno najszybszym, a my nie mamy zbyt dużo czasu. - Znowu zaczął kręcić sznurkiem, najpierw lekko, potem mocniej. - Patrz!

Sebastian patrzył i ponownie wzruszył ramionami. Wiedział, co jest na sznurku, a i tak widział tylko czerwony okrąg, który wirujący szybko guzik zataczał w powietrzu. W końcu Mizar przestał nim kręcić, zaczekał, aż guzik zawisł na sznurku, i schował go do kieszeni. Sebastian spodziewał się kolejnej mądrości, ale małpi stwór nie wyrzekł ani słowa, tylko klasnął w ręce.

Wtedy do sali weszła ta kukiełka. Sebastian patrzył oniemiały na małego, sięgającego mu najwyżej do łydki człowieka w cielistym, mocno przylegającym do ciała kostiumie. Człowieczek maszerował, ciągnąc za sobą dwumetrowe linki z kulkami na końcach, które wydawały metaliczny dźwięk, odbijając się od

kamiennej podłogi. Sebastian zdążył pomyśleć, że muszą być dosyć ciężkie, bo każda była prawie wielkości głowy człowieczka, gdy nagle mały zaczął nimi kręcić jak kulomiot. Najpierw obrócił się na pięcie. Kulki oderwały się od ziemi, a potem zawirowały nad jego głową, wprawiane w ruch muskularną ręką. Z początku Sebastian tylko stał i się gapił. Ale po chwili musiał zacząć się cofać, bo mały wyraźnie maszerował w jego kierunku. Kulki na długich linkach kręciły się tak szybko, że utworzyły w powietrzu wielką błyskającą stalową obręcz. Byłby to fascynujący widok, gdyby nie fakt, że mały człowieczek uparcie zmierzał do Sebastiana. Gdy ten przesunął się w bok, mały podążył w tę samą stronę, a wraz z nim nieubłagane zbliżała się stalowa wirująca obręcz. Przynajmniej tak się zdawało chłopakowi, gdy błysnęła mu przed oczami. Sebastian chciał spojrzeć na Mizara, by się przekonać, czy nauczyciel zareaguje, gdy kulki rozwalą jego podopiecznemu głowę. Nie zdążył. Poczł ból gdzieś w okolicy ramienia. Siła uderzenia powaliła go na ziemię.

Przez chwilę myślał, że na tym się skończy. Leżał przecież na ziemi. Obręcz zaczęła się jednak kręcić tuż nad nim. Zdążył tylko zobaczyć zawziętą minę małego człowieka. Kimkolwiek był, nie żartował. Sebastian się przestraszył. Prawie zdołał się uchylić. Obręcz dosięgła go jednak, uderzając w mały palec u nogi. Ból, który poczuł Sebastian, zaczął się w małym palcu, a skończył gdzieś w środku głowy. Chłopak był przerażony. Zawył, chciał uciekać, ale nie mógł, wszędzie nad nim wirowała stal. Nie widział Mizara, zresztą nie miał czasu na niego spojrzeć, bo musiał bacznie śledzić kręcącą się linę, a przede wszystkim jej koniec, który zmienił kształt z obręczy na latającą w powietrzu ósemkę. Dostał nią dwa razy, gdzieś w bok i w łydkę. Na szczęście tylko go musnęła, bo zdążył się uchylić.

Nie wiedział, jak długo trwało, nim zaczął śledzić tor kulek. Kształt ósemki sprawił, że widział je dwa razy w tym samym miejscu. To ułatwiło mu zadanie. Najpierw patrzył, które kółko zatacza kulka, by w porę odskoczyć. Potem zaczął dostrzegać, w którym miejscu kulka się znajduje. Gdy człowieczek zorientował się, że ofiara uchyła się w dobrym momencie, zmienił ruch ręki,

tak że kulki zataczały coraz bardziej nieregularne kręgi, urywające się w najmniej spodziewanej chwili. Sebastian zdążył zobaczyć zaciśnięte usta małego człowieka i jego zaciekły wyraz twarzy. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale nagle przestał widzieć rysujące się w powietrzu kształty i obserwował już same metalowe kulki. Udało mu się nawet wstać. Podskakiwał, przesuwał się, uchylał, a one go nie trafiały. Po pewnym czasie zaczęło mu to sprawiać przyjemność, jak dziewczynom skakanie na skakance. Zdał sobie sprawę, że jest w tym dobry, gdy zauważył, że wściekły już człowieczek zaczyna się męczyć i z trudem kręci kółka nad swoją głową. Sebastian skakał nad nimi lekko jak panienka, zmieniając nogi. Raz skakał na prawą, raz na lewą. Zdążył nawet popatrzeć na Mizara, który stał obok z założonymi na piersiach rękami.

– A teraz się pod nimi prześlizgnij – zaproponował Mizar, lekko się uśmiechając.

Sebastian kiwnął głową i odskoczył w bok. Na to mały człowieczek jakby wpadł w furję i znowu zaczął kręcić kółka szybciej, tuż na ziemią.

W pierwszej chwili zadanie wydało się Sebastianowi niemożliwe do wykonania. Odległość kulek od ziemi wynosiła najwyżej dziesięć centymetrów. Jedynym wyjściem było zdążyć w połowie obrotu linki kręcącej się wokół głowy małego. Chłopak przygotował się i rzucił szczupakiem na posadzkę dokładnie za kulkami. Zdążył się prześlizgnąć tak, że nawet nie dotknęły jego stóp. Wtedy wrzasnął:

– Udało się! Udało się!

Wstał z podłogi i otrząpał spodnie. Czuł, że wiele miejsc go boli i pewnie długo będzie bolało, ale miał tak ogromną satysfakcję, że nawet nie chciało mu się o tym myśleć. Nigdy niczego nie zrobił tak dobrze. Nie miał pojęcia, że jest taki sprawny.

– Czy to ze strachu? – zapytał, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Trochę tak – odpowiedział Mizar – choć to nie wystarczy. Pamiętaj tylko, Sebastianie, że tym razem miałeś dużo czasu na przygotowanie się...

– Dużo czasu! – oburzył się chłopak. – Jak to dużo czasu? –

prawie krzyknął.

Miał wrażenie, że dokonał czegoś niezwykłego. Zobaczył kręcące się w pędzie przedmioty, gdy były tuż przed jego nosem, a Mizar mówi, że miał dużo czasu!

– Nie irytuj się. I uspokój się na chwilę. Słyszę, że Faufau nadchodzi. Widocznie ma mi coś do powiedzenia. A on nie lubi krzyków.

Sebastian rozejrzał się dookoła. Nie słyszał, by ktoś szedł, ale gdy się odwrócił, zobaczył za plecami wielkiego kota stojącego na środku sali. Chłopak widział go po raz drugi i drugi raz się zdziwił. Jego własna głowa znajdowała się poniżej półmetrowych białych wąsów kocura.

– Witam cię, Faufau – powiedział Mizar i nisko się uklonił.

– Witam – powtórzył za nim Sebastian, patrząc na kota, który podchodził do nich leniwie.

Zwierzę zatrzymało się i przekręciło głowę, mrużąc oczy.

– A czy my się znamy? – zamruczał Faufau.

Następne, co zobaczył Sebastian, to wysunięte ponaddwudziestocentymetrowe pazury wielkiego kota, który właśnie rzucił się na niego.



Kobieta zatrzymała wózek spacerowy przed drzwiami kamienicy przy Poznańskiej 44. Zerknęła na reklamówkę przewieszoną przez rączki wózka i zaczęła się zastanawiać, czy za chwilę folia się nie rozerwie. Róg kartonika z mlekiem przedarł ją w jednym miejscu.

– Lew frunie! Lew frunie! – wrzasnęło nagle dziecko.

Zdziwiła się, bo była pewna, że spało. Zajrzała do niego, a ono wyciągało rączki przed siebie.

– Lwy nie fruują – odpowiedziała, poprawiając kocyk, którym było przykryte.

– Ja chcę lwa, co fruwa! Ja chcę lwa, co fruwa! – krzyknęło dziecko jeszcze głośniej, wychylając się z wózka.

Znowu trzeba będzie kupić jakiegoś nowego stwora, pomyślała

kobieta i popchnęła wózek.

– Konie ze skrzydłami już były, to teraz lwy wymyślili! – burknęła do siebie pod nosem.



Gryf zawisł w powietrzu, czekając, aż spektakl się zacznie. Miał spotkanie z Clou. Zanim jednak Clou poświęci komukolwiek czas, należało najpierw wysłuchać koncertu. Lavian szukał informacji i podejrzewał, że tu może coś znaleźć.

Słońc było wiele. Potężne i słabsze. Pogodne i pochmurne. Wszystkie, bez względu na to, co robiły, wiedziały, co się wokół nich kręci. Zawsze roznosiły wiadomości, oferując je na wymianę. Jedne lubiły optymistyczne wieści, inne pesymistyczne. Ale Clou było wyjątkowym, nieprzewidywalnym słońcem. Nie było zabawne ani naburmuszone. Miało krzywouste oblicze. Oprócz tego było Strażnikiem Portalu, który miał dwa wejścia i wyjścia. Nigdy nie było do końca wiadomo, którego Clou użyje, wpuszczając bądź wypuszczając kogoś.

Gryf był przekonany, że to słońce nie kieruje się żadną logiką, tylko kaprysem. Jako Strażnik Portalu Clou było nieobliczalne, ale miało jedną zaletę – wiedziało lub przeczuwało więcej niż inni. Lavian nie miał pojęcia, na jakiej zasadzie Clou obraca informacjami i jak je pozyskuje, ale prawie zawsze można się było od niego dowiedzieć czegoś, na co inni nie zwrócili uwagi. Miało szczególną intuicję, której Gryf nigdy nie lekceważył. A teraz właśnie takiej informacji potrzebował, wisiał więc w powietrzu, leniwie machając skrzydłami, i patrzył na to, co rozgrywało się przed nim.

Obserwował, jak lew, przyobleczony w wieńce i kwiaty, z groźną miną odsłania kurtynę, a jego ryk wraz z dźwiękiem dzwoneczków wiszących na długiej girlandzie obwieszcza początek przedstawienia. Lavianowi lekko zadrżały wąsy, gdy obserwował tę lwią maskaradę, i liczył na to, że słońce tego nie zauważyło. Clou jak zwykle nastroszyło promienie i dodatkowo wplotło kilka z nich w wijące się wokół niego pnącza, którymi

potrząsały dwa putta. Rozległa się cicha muzyka podobna do szumu i szmeru. Nagle sześć kul zawieszonych u szyj dwóch znajdujących się poniżej śpiewaków uderzyło z hukiem o siebie. Basso i Altus zaczęli koncert. Rozbrzmiały głosy. Jeden wysoki, drugi niski. Jeden przejmująco zawodził, drugi grzmiał groźnie. Gryf wyprężył pierś, czując, jak oplatają go dźwięki. Spływały po nim, ale wiedział też, jak bardzo potrafią być niebezpieczne. Głosy śpiewaków mogły się z nich wydostać i utkwić, w kimkolwiek chciały i na jak długo chciały, stale rozbrzmiewając rozpaczą bądź wściekłością. Lavian wiedział, że ich powrót zależy wyłącznie od Clou – kapryśnego słońca, które bardzo długo mogło nie chcieć rozmawiać.

Teraz było tylko teatralnie skrzywione. W końcu westchnęło, unosząc brwi. Wszystko momentalnie ucichło.

– Salve, Lavianie. Moja muzyka cię nie wzrusza? – zapytało Clou, robiąc obrażoną minę.

– Witaj. – Gryf się uklonił. – Twój spektakl potrafi oczarować każdego – odpowiedział powoli, podnosząc głowę.

– Nawet takie stare byty jak ty? – zapytało słońce, robiąc podejrzliwą minę i przekornie przekreśliło głowę, poruszając promieniami tak, że poplątały się wszystkie pnącza obejmujące podwójny portal.

– Owszem – odrzekł Gryf i zamilkł.

– Sokół był bardziej wylewny... – oznajmiło po chwili Clou, z niesmakiem wykrzywiając usta.

– Być może miał więcej czasu – powiedział Lavian, czując, jak mimowolnie zaciskają mu się kły.

– O! – zainteresowało się słońce. – A ciebie co tak goni?

– Cóż... Miałem nadzieję, że ty mi powiesz, czy powinienem przed czymś uciekać... – zaczął się przekomarzać Lavian, pamiętając, jak bardzo Clou lubi słyszeć, że dysponuje większą wiedzą niż inni.

– Możesz więc mieć nadzieję... – przerwało mu słońce, rozbłyskując promieniami znajdującymi się nad jego głową. – Ale cóż, prawda jest taka, że nie wiem, kto zabił Edwina – oznajmiło i wykrzywiło usta. – Zapewne podejrzewam tych samych

osobników co ty – dokończyło i ziewnęło widowiskowo, przewracając oczami.

– Cóż. Dziękuję zatem – powiedział Lavian, schylając głowę najniżej, jak się dało, by Clou nie dojrzało jego miny.

Wcale nie zamierzał jeszcze odchodzić, ale dziś nie miał czasu na zbyt długą wymianę zdań. Udał więc, że składa skrzydła do lotu.

– Nie musisz dziękować. Zbliża się Saros. Miały być jakieś atrakcje... – usłyszał Gryf i podniósł pysk, wpatrując się w skrzywione słońce – ...ale nie na takim poziomie. Do tej pory nikt z zainteresowanych nie zginął.

– Jak się domyślasz, to mnie niepokoi – przytaknął Lavian i czekał.

– Według mnie – Clou zamachało promieniami i wpatrzyło się w niebo – skoro postaci dramatu są właściwie takie same co osiemnaście lat temu i trzydzieści sześć, i tak dalej... A poziom gry tak znacznie się podniósł... – Clou teatralnie zawiesiło głos, zerkając na Gryfa. – Musiał pojawić się ktoś nowy, kto ten poziom zawyżył – dokończyło, przewracając oczami z prawa na lewo.

– Mistrz Asmuss znowu gości na zamku Sokoła, więc... – zaczął z namysłem Gryf.

– Ach, Lavianie, chyba jesteś zmęczony? Może potrzebujesz relaksu? – zapytało słońce, krzywiąc usta, i spojrzało na lwa znajdującego się pod nimi.

– Nie dziś! – zaproponował szybko Gryf, widząc, jak lew zaczyna potrząsać girlandą z kwiatami, a śpiewacy nabierają powietrza.

– A więc uważaj. Sam użyłeś zwrotu „znowu gości”. Mnie się zdaje, że to nie on. – Słońce westchnęło. – Ale co ja tam wiem...

Gryf otworzył szeroko lwie oczy i słuchał, obserwując, jak zaczynają falować promienie nad oczami słońca.

– Ale... – zaczęło znowu Clou, robiąc zakłopotaną minę – ...wiem jedno i wiem drugie. Jedno, to że Azarak zachowuje się co najmniej dziwnie. A drugie... – Słońce zawiesiło głos, wpatrując się w Gryfa. – Cóż... jaskółki donoszą, że kolejny z Pittów jest podobno niezwykle uzdolniony.

Lavian opuścił lwi pysk. Nie chciał, żeby słońce widziało, jak

drżą mu wąsy.

- To może być bardzo interesujący Saros. - Clou głośno westchnęło. - Masz jakąś ciekawą informację na wymianę? - zapytało po chwili z przekąsem.

- Sebastian Pitt zabije Roberta Pitta - powiedział Gryf spokojnie, patrząc, jak otwierają się krzywe usta Clou.



Sebastian wpatrywał się w Lunę. Znał już na pamięć niemalże każdą kropkę na jej skórze. Kształt jej ucha. Prawie policzył rzęsy na jej przymkniętych powiekach. Widział włos, który opadł na policzek i bardzo powoli, prawie niezauważalnie, się z niego osuwał. Zastanawiał się, czy ją łaskocze. Po raz któryś z rzędu odruchowo wyciągnął rękę, aby go odgarnąć, ale za każdym razem jego dłoń tylko miękko ugniatała bańkę. Nie udawało mu się dotknąć Luny, odczuwał za to ból porozcinanej na ramieniu skóry. Rozcięcia nie były głębokie, ale długie, prawie na dziesięć centymetrów. Cztery w równych odstępach. I takie same były dziury w bluzie, która wyglądała, jakby ją ktoś przeciął bardzo ostrymi nożyczkami. Ranki na skórze, choć cienkie, boleśnie rozłaziły się na nowo przy każdym ruchu. Syknął więc po raz kolejny, gdy zapominając o nich, znowu próbował wyciągnąć rękę i dotknąć włosów Luny.

- Aż tak cię boli? - usłyszał za plecami dobiegający z oddali głos.

Przestraszył się. Myślał, że jest tu sam. Odwrócił głowę. W drzwiach wejściowych stał Mistrz Asmuss, opierając się na czarnej laseczce. Towarzyszył mu Mizar, który trzymał się małpią łapą za złoty guzik od swojego munduru.

- Aż tak mocno nie - odpowiedział i chwycił się za ramię. - Nie zdążyłem się uchylić... Gdybym... - zaczął się tłumaczyć.

- Nie zdążyłbyś zauważyć, że nie żyjesz, gdyby tylko Faufau tego chciał - przerwał mu Mizar.

- A nie chciał? - zapytał z wściekłością w głosie Sebastian i wzdrygnął się znowu na wspomnienie ponaddwudziestocentymetrowych pazurów.

Wielki kot, przeskakując nad nim, musnął przednimi łapami jego włosy. Sebastianowi zdawało się, że zdążył się uchylić i uniknąć spotkania z atakującym go znieścacka rozwścieczonym zwierzęciem. Nie miał pojęcia, o co mu chodzi i dlaczego się na niego rzuca. Prawie udało mu się odchylić w bok, gdy poczuł kocie pazury na ramieniu. Myślał, że tylko się o niego otarł. Dopiero po chwili, gdy kot przeskoczył nad nim i bez oglądania się leniwie ruszył do wyjścia, zdał sobie sprawę z tego, że ma poprzecinaną bluzę, a krew sączy się z ledwo zarysowanych ran.

– Nie, nie chciałem – odparł ze spokojem Mizar.

Sebastian zagryzł wargi, próbując przemilczeć to, co cisnęło mu się na usta.

– Choć jak to kot chodzi własnymi ścieżkami, więc nigdy z nim nic nie wiadomo. Ale na pocieszenie powiem ci – kontynuował Mizar – że nie tobie pierwszemu chciałem zrobić pagony. Tylko tym razem mi się nie udało – dodał z uśmiechem. – Pazury drugiej łapy były o milimetry od ramienia, ale Sebastian zdążył się uchylić – powiedział Mizar, patrząc na Asmussa.

– Gratuluję! – odezwał się Mistrz. – Faufau jest bardzo szybki. Zapewniam cię, że nie każdy zdołał mu umknąć.

Sebastian już chciał się wyprężyć z dumą i zacząć opowiadać, jak zbliżała się do niego potężna kocia łapa z wyciągniętymi, ostrymi jak brzytwa pazurami, gdy przechwycił spojrzenie Asmussa skierowane na Lunę. Odwrócił głowę. Nie miał pojęcia, czy to była sugestia, czy już wcześniej dostrzegł cienką jak nitka czerwoną kreskę na obojczyku Luny. Nie widział, czy ma ich więcej i czy takie same są na drugim ramieniu. Zasłaniała je bluzka, która zsuwała się tylko z jednej strony.

– Ona też...? – zapytał i spostrzegł, że Mizar zamierza mu odpowiedzieć, ale uprzedził go Mistrz Asmuss, jednocześnie ruszając w jego kierunku.

– A czy nie wydało ci się dziwne, że ojciec odesłał cię na drugi koniec świata, a ją tu zamknął? – zapytał, pokazując laską na bańkę czasu. – Albo to, że zginął twój dziadek...? – dorzucił, zanim wpatrzony w niego Sebastian zdążył otworzyć usta.

– A mój dziadek miał z tym wszystkim coś wspólnego? – zapytał

chłopak po dłuższej chwili, spoglądając to na Asmussa, to na Mizara.

– Gdyby nie nadludzki wysiłek twojego stryja Oskara, widziałeś przecież, w jakim jest stanie – Sebastian tylko kiwnął głową – to nie wiedziałbyś nawet o jego śmierci. Ani o tym, że był Strażnikiem Smoczego Portalu, ani że ty jesteś jednym z jego spadkobierców – zakończył Asmuss i przełożył czarną laseczkę z jednej ręki do drugiej.

Chłopak stał nieruchomo i nic nie mówił. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Chodź, Sebastianie – odezwał się po chwili Mistrz, wyciągając rękę. – Nim Mizar przygotowuje kolejne ćwiczenie, coś ci pokażę. – Podszedł, stukając laską o podłogę, i chwycił go pod ramię.

Sebastian spojrział na srebrną muszlę, odwrócił głowę jeszcze raz, żeby popatrzeć na zastygłą w bezruchu Lunę, i pomyślał, że pierwszy raz w życiu naprawdę wie, czego chce, i że osiągnie to za wszelką cenę.



Mężczyzna wyszedł na balkon kamienicy przy Mickiewicza – idealne miejsce do palenia. Nawet wijący się w górę dym nie mógł nikomu przeszkadzać. Było to ostatnie piętro. Popatrzył na ulicę. Nic ciekawego się nie działo. Do szpitala Raszei jechała karetka, a przez Krasińskiego mknął radiowóz. Mężczyzna oparł się o barierkę i odwrócił tyłem, zapalił papierosa, uniósł głowę i odruchowo spojrział na odnowioną sztukaterię. Zaciągnął się głęboko i zamarł. Pewnie ze sto razy widział wcześniej skrzydlatego pucołowatego chłopca z rozłożonymi rękami, wyrzeźbionego na ścianie. Zwykle patrzył bezmyślnie, odruchowo, nie zastanawiając się nad nim. Tym razem jednak coś było inaczej niż zwykle. Nie miał pojęcia, czy spowodował to wygląd figurki, nagły sygnał karetki, czy za głęboko wciągnięty dym z papierosa, a może wszystko razem, ale nagle chwycił się za serce, a potem za krtań. Miał wrażenie, że zaczyna się dusić. Natychmiast wyrzucił papierosa i ze ściśniętym gardłem,

trzymając się za serce, wrócił do mieszkania.



Lavian wiedział, że Clou nie obraca nieważnymi informacjami. Jeśli coś zaniepokoiło kapryśne słońce, nie można było tego lekceważyć. Przeczynał, że będzie musiał długo rozmawiać z przebiegłym Azarakiem, by zorientować się, co dokładnie Clou miał na myśli. Koźła czaszka strzegła potężnego pustynnego miejsca mocy i nie bez powodu straszyla skostniałymi pustymi oczodołami. Wejście tam groziło śmiercią i było to powszechnie wiadome, nawet bez przykutego do ściany Tanatosa, ale to, co zobaczył Gryf, zadziwiło go znacznie bardziej, niż był na to przygotowany.

Czerwone szarfy spływające z głowy Azaraka z reguły falowały w powietrzu, układając się w przedziwne kształty, w zależności od jego nastroju. Mogły miękko powiewać w różnych kierunkach, mogły naprężyć się jak struny i precyzyjnie przecinać wszystko, co napotkały na swojej drodze, mogły opleść i zadusić coś, jeśli tylko to coś musiało oddychać – ale na pewno nigdy nie były w takim stanie, w jakim znajdowały się teraz. Wyglądały jak wymiętolone, pogniecione, pozbawione życia bure szmaty zawieszane na ścianie, a do nich przytwierdzona była zszarzała zwierzęca twarzoczaszka.

– Witaj, Azaraku – powiedział Gryf, zawisając w powietrzu dokładnie naprzeciwko pustych oczodołów.

Nie miał pojęcia, czy odpowiedziało mu burknięcie, czy głuchy bulgot.

– Nie będzie z tobą rozmawiał! Z nikim nie chce rozmawiać! – usłyszał drwiący głos Tanatosa.

Lavian jeszcze przez chwilę patrzył na Azaraka. Zdawało mu się, że oczodoły są bardziej puste niż zwykle. Nie czekał już na odpowiedź. Uniósł się wyżej. Nad koźlą czaszką znajdował się niosący śmierć Tanatos – upiorny młodzieniec o twarzy rubasznego puciołowatego dziecka z blond lokami. Tanatos radośnie machał przytwierdzonymi do ramion małymi białymi

skrzydełkami. Pokiwał do niego ręką. Gryf patrzył zdziwiony. Wisiał tu od zawsze jako postrach, przytwierdzony obiema rękami do ściany. Ale teraz jedną miał wolną. Druga, opleciona pnączem, wciąż była przytwierdzona za nadgarstek do ściany. Lavian zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa. Obserwował z niepokojem, jak Tanatos całym tułowiem odchyła się od ściany. Na szczęście jego stopy mocno więziły liście akantu, oplatając nogi do połowy łydki. Chociaż tyle, pomyślał Lavian. Wiedział, że patrzy na mordercę o niewinnej twarzy dziecka.

– Salve, Lavianie! – zawołał wesoło Tanatos, gdy Gryf był już naprzeciwko niego.

– Wybacz, że się z tobą nie przywitam – zamruczał spod lwiego wąsa, patrząc Tanatosowi prosto w oczy.

– A może już powinienes! – zaśmiał się młokos, kołysząc całym ciałem na boki.

– Nie mam na to ochoty – odparł Lavian.

Nigdy nie podobał mu się ten byt. Potrafił przywołać śmierć jednym podmuchem wydobytym z puciołowatych policzków. Pod różnymi postaciami istniał od zawsze i był wszędzie, tak samo jak gryfy, ale zdaniem Laviana nie zasługiwał na szacunek.

– Co się stało Azarakowi? Wydaje się jakiś markotny – zapytał po chwili.

– Cóż – prychnął Tanatos, uwolnioną ręką odgarniając blond loki znad czoła. – Najpierw tak perliście się śmiał... – powiedział i zaczął skrzeczeć.

Lavian nic nie mówił, czekał spokojnie, aż Tanatosowi znudzi się wyginanie ciała i wydawanie z siebie przedziwnych dźwięków.

– A potem... posmutniał – dokończył młokos, wzruszając ramionami. – A ja wraz z nim – dodał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Gryf zmarszczył lwie czoło. Nie miał pojęcia, o co tu chodzi. Jedno było pewne – pojawił się ktoś, kto miał dość siły, by zabić Edwina i pozbawić mocy Azaraka. Clou miało rację. W jednym się tylko z nim nie zgadzał. Asmuss rzeczywiście nie był nową postacią, ale pojawił się w rozgrywce właśnie teraz, gdy to

wszystko się zaczęło. Być może władał czymś, co pozbawiało woli. Lavian postanowił jak najszybciej się tego dowiedzieć. Nie zamierzał marnować więcej czasu na rozmowy z roznoszącym śmierć rozbestwionym młokosem.

– Vive la vida loca!¹ – krzyknął Gryf, rozkładając skrzydła do lotu.

– Niedługo się spotkamy! – wrzasnął za nim Tanatos i odchylił ciało od ściany na długość przytwierdzonej ręki, tak że jego chłopięca twarz wykrzywiła się z bólu.

– Nie mam na to ochoty! – odparł Gryf, wzruszając skrzydłami.



Sebastian już niemal nie zwracał uwagi na prowadzącego samochód Marcina. Z początku, gdy ruszył z Asmussem na przejażdżkę po Poznaniu, nie mógł oderwać od niego wzroku. Z tylnego siedzenia przez cały czas patrzył z niepokojem na kierującego osiłka. Zastanawiał się nawet, czy ten nagle się nie odwróci i nie wyrzuci go z auta przy dużej prędkości, ale on patrzył tylko przed siebie i zawoził ich pod wymieniane kolejno adresy. Z każdym przystankiem Sebastian miał coraz większy mętlik w głowie. Nie był już w stanie spamiętać tych wszystkich postaci, ich roli, umiejętności czy znaczenia. Najlepiej zapamiętał Strażników Mocy, bo o nich Asmuss opowiadał mu najdłużej.

Najpierw zatrzymali się przy rynku, który nazywał się Jeżycki, gdzie na jednej z kamienic znajdowała się postać muskularnego nietoperza z rozpostartymi olbrzymimi skrzydłami. Nosił imię Lanx. Z tego, co Sebastian zrozumiał, strzegł on ciemności, w której można widzieć, słysząc – cokolwiek to znaczyło. Asmuss trochę mu o tym opowiadał, ale chłopak i tak nie potrafił tego w pełni pojąć. Z perspektywy chodnika, po którym chodziły babcie z zakupami, i uliczki pełnej samochodów dostawczych, z których ciągle ktoś wynosił pomidory, kalafiora i inne warzywa, trudno mu było uwierzyć, że jest to miejsce mocy. Mimo że był już w

¹ Niech żyje szalone życie! (hiszp.)

tamtym świecie, to i tak nie umiał sobie wyobrazić, że brodatowąsate głowy z otwartymi ustami bronią tego miejsca i są gotowe w każdej chwili połknąć każdego, kto zbliży się nieproszony. Podobno jeszcze bardziej niebezpieczna była kobieta z włosami niczym łodygi kwiatów. Nie zapamiętał jej imienia.

Wysiadł również na ulicy Gajowej, gdzie między drzewami, przy zwieńczeniu dachu, w trójkątnej wnęce, zobaczył postać z liściastym wieńcem na głowie, w towarzystwie dwóch końskich głów. Nazywał się Quercus. Miał rozwścieczoną minę, więc łatwiej było uwierzyć w to, że ten ktoś bywa porywczy i choleryczny oraz że często używa widocznych obok niego piorunów, zajeżdżając swoje konie do nieprzytomności. Strzegł miejsca, które Asmuss nazwał zdziczałymi szańcami. Sebastian nie miał pojęcia, co to znaczy, ale też nie zdążył zapytać.

Wystraszyła go natomiast opowieść z ulicy Mickiewicza. Podejrzał, że groźnie wyglądająca czaszka z rogami może być śmiertelnie niebezpieczna po tamtej stronie. Asmuss odpowiedział mu z uśmiechem na twarzy, że już nie jest groźna, choć w dalszym ciągu pozostaje strażnikiem bezkresnego piasku i pyłu. Sebastian zapytał więc jeszcze Mistrza, kim jest ten pocieszny pucołowaty młokos z rozłożonymi rękami. Zdawał mu się lekko pulchny. Rozbawiły go małe skrzydełka sterczące u jego ramion, ale Asmuss, patrząc na niego, zachował powagę. Wyjaśnił, że to roznoszący śmierć Tanatos i lepiej dla wszystkich, że uwiązano go do ściany, bo to niebezpieczny byt. Stworzony ku przestrodze tych wszystkich, którzy chcieliby znaleźć się w samym środku niczego.

Asmuss pokazał Sebastianowi jeszcze kilka słońc, w tym jedno skrzywione, kilka lwów i wiele innych postaci, których ten nie mógł spamiętać. Zresztą stracił dla nich zainteresowanie, gdy Mistrz oświadczył, że za chwilę chłopak ujrzy najważniejsze miejsce dla historii jego samego, rodziny Pittów, jak również przodków Luny. Ku zdziwieniu Sebastiana wysiedli przed kamienicą, przed którą ostatni raz widział falujące na wietrze włosy Luny.

– Pamiętam, jak ca-a-a-łkiem niedawno pomyślałem, że muszę się do-o-o-owiedzieć, co to za postacie – mruknął pod nosem, patrząc na Smoczycę z dużym biustem.

Był zły, że znowu zaczął się jąkać. Wolał przebywać w tamtym świecie, gdzie stawał się kimś wyjątkowym, a nie tu, gdzie nikt go nie chciał i gdzie słowa więzły mu w gardle.

– Nie dziwi mnie to, Sebastianie – odpowiedział stojący obok Asmuss. – To twoja historia i powinienes ją znać.

Chłopak nie przyznał się, że chciał się dowiedzieć tego tylko po to, aby zaimponować Lunie. W milczeniu słuchał Asmussa, patrząc na budynek przy Grunwaldzkiej 20.

– Kamienicę tę zaprojektował twój prapradziadek architekt Paul Pitt – oznajmił Asmuss, stukając czarną laseczką o ziemię.

Sebastian otworzył usta ze zdziwienia.

– Wiem, że nie ja powinienem ci o tym wszystkim opowiadać i nie ja powinienem oprowadzać cię po tym świecie. Ale niestety twój dziadek nie żyje. Jego brat... – Mężczyzna opuścił głowę. – Sam widziałeś, w jakim jest stanie. – Westchnął głęboko. – A twój ojciec... No cóż. Widać chce być jedynym, który ma prawo do władzy nad Smoczym Portalem.

– Ale dla-a-a-aczego? – wykrztusił Sebastian.

– Przykro mi, ale nie wiem – powiedział Asmuss, obejmując Sebastiana ramieniem. – A teraz, zanim opowiem ci, kim są postacie z tego przedstawienia, myślę, że mam dla ciebie pocieszającą wiadomość.

Sebastian spojrział na Mistrza bez przekonania. Chociaż Asmuss przyciągnął go do siebie całym ciałem, czuł się strasznie samotny. Z całej rodziny pozostał mu tylko ojciec, a z nim akurat nie chciał mieć już nigdy do czynienia.

– To nie przypadek – odezwał się po chwili Asmuss – że tak wiele łączy cię z Luną...

Sebastian poczuł falę gorąca, która uderzyła mu do głowy. Miał wrażenie, że nawet uszy mu poczerwieniały. Zaczął patrzeć pod nogi.

– Prapradziadek Luny, Bolesław Richelieu – ciągnął Asmuss – stworzył te wszystkie sztukaterie, jak się je nazywa w tutejszym

świecie.

Sebastian najpierw ze zdziwieniem popatrzył na Asmussa, a później po raz kolejny spojrzął na postacie z kamienicy. To dlatego Luna je fotografowała, pomyślał.

– Paul Pitt i Bolesław Richelieu to był niesamowity duet. Sztukmistrzowie rzeczy pierwszych w stopniu doskonałym – powiedział Asmuss z uznaniem w głosie.

Sebastian poczuł dumę, choć po raz pierwszy usłyszał o człowieku, którego był potomkiem. Dopiero po chwili dotarła do niego informacja, że dla Luny nie jest pierwszym lepszym z brzegu chłopakiem, którego odstawia się na bok. Że rzeczywiście może być dla niej kimś wyjątkowym. Że mają wspólną historię, mają o czym rozmawiać w świecie, w którym się nie jąka. Że oboje do niego należą. Chciał jak najszybciej porozmawiać z nią o tym wszystkim, usłyszeć znowu, jak mówi do niego „chłopaku z daleka”.

– Kiedy będę mógł ją-ą-ą uwolnić? – zapytał po chwili.

Mistrz Asmuss zaśmiał się serdecznie i poklepał go po ramieniu.

– Myślę, że niedługo już będziesz gotowy... Szybciej, niż ci się wydaje – powiedział, po czym obrócił laseczkę, trzymając ją za uchwyt w kształcie muszli, i skierował jej szpikulec na fasadę kamienicy. – Nie chcesz się teraz dowiedzieć, co takiego stworzyli wasi dziadowie? – zapytał.

Chłopak zawstydził się trochę i tylko kiwnął głową.

– A więc, Sebastianie, przyjrzyj się uważnie wszystkim figurom na fasadzie tej kamienicy. Spójrz na gryfa ponad drzwiami. Zapewne niedługo go zobaczysz, to Gryf Błękitny. Trochę flegmatyczny mimo rozdziawionej paszczy. Szkoda tylko, że nie wszystkie gryfy są takie... – dodał już pod nosem. – Nad nim widnieje wijąca się Smoczyca – kontynuował. – W bajkach smoki strzegą skarbów, ta ma ważniejsze zadanie. Nie ma skrzydeł chyba tylko dlatego, aby nie mogła odlecieć zbyt daleko. Ona pilnuje tego drzewa, które znajduje się powyżej. Widzisz ten mały okrągły otwór?

Sebastian spojrzął na niewielką dziurę pomiędzy konarami wyrzeźbionego drzewa sięgającego dachu budynku.

– To jest wejście do Smoczego Portalu. Patrz też tam. – Asmuss pokazał na róg budynku. – Tam jest gniazdo pelikana, który żywi swoje pisklęta własną krwią. Kiedy wszystkie wylecą z gniazda, rozpocznie się Saros – oznajmił z powagą w głosie. – Pitt i Richelieu stworzyli rzecz doskonałą. Na tyle doskonałą, że sami się przestraszyli tego, co zrobili... – powiedział i zamyślił się na chwilę.

Chłopak popatrzył na Asmussa i zdawało mu się, że na czole mężczyzny pojawiły się dwie grube zmarszczki pomiędzy brwiami. Zdziwił się, bo jeszcze nie widział go tak zachmurzonego. Chciał zapytać, co go tak zmartwiło, ale nie odezwał się, czekał, aż Asmuss podejmie swą opowieść. Po chwili Mistrz głęboko westchnął i spoglądając na chłopca, mówił dalej:

– Cóż... Pokróćce rzecz biorąc, jeśli panujesz nad tym przejściem, możesz wejść do wielu miejsc mocy, omijając strażników. Mówiąc bardziej obrazowo: jakby tylnymi drzwiami. Uwierz mi, ma to swoje zalety – dodał i znowu szeroko się uśmiechnął. – Widziałeś już niektórych z nich, potrafią być męczący. Jeszcze ich poznasz. – Przerwał na chwilę, a Sebastian zapatrzył się na cztery postacie z błoniastymi skrzydłami trzymające tarcze. Miały różne dziwne głowy. Już chciał zapytać, kim są, gdy Mistrz Asmuss ponownie zaczął opowiadać: – To przejście ma jeszcze inne możliwości... ale nie będę cię teraz tym zanudzał, bo i tak już pewnie masz mętlik w głowie, prawda?

Sebastian przytaknął.

– Opowiem ci więcej przy kolejnej okazji – dodał z uśmiechem. – Ale musisz wiedzieć, że Pitt i Richelieu mieli do siebie olbrzymie zaufanie i podzielili się władzą nad smoczym przejściem. Potem przeznaczyci ją dla swoich następców, licząc, że będą jej godni – oznajmił Asmuss, patrząc Sebastianowi prosto w oczy. – Skoro Edwin Pitt nie żyje, ta władza należy się tobie albo Lunie.

Chłopak długo nic nie mówił. Słuchał, jednak wciąż nie do końca docierało do niego to, co mówi Asmuss. Ktoś mu daje jakąś władzę, nie za bardzo wiadomo nad czym. Z powodu tej władzy jego ojciec uwięził Lunę! Tylko dlatego nie mógł się z nią normalnie spotkać? – zdziwił się. Poczł narastającą złość.

Patrzył na białe rzeźbione sztukaterie na żółtym budynku. Wszystko to wydawało mu się niepojęte i bezsensowne.

– Jak już ją uwo-o-olnię, to niech sobie rządzi tymi smokami, jeśli tego chce. Ja nie chcę! – niemalże krzyknął.

– Oczywiście, Sebastianie – powiedział Mistrz Asmuss i objął go ramieniem.

– Byle znowu tu-u-u była... Jakoś się dogadamy – dodał, zadowolony już nie tylko z tego, że ją uratuje, ale że będzie mógł także coś jej ofiarować.

Coś, na czym jej pewnie zależy, skoro również miała spotkanie z drapieżnym kotem wielkości konia.

– Naturalnie – przytaknął Mistrz Asmuss, patrząc na wyrzeźbione drzewo.

Przez chwilę stali w milczeniu. To wystarczyło, żeby entuzjazm, który na moment ogarnął Sebastiana, zaczął powoli zniknąć. Chłopak patrzył, a przecież i tak nie miał pojęcia, czemu się przygląda. Przestraszył się.

– Czy ja naprawdę potrafię ją uwolnić? – zapytał, spoglądając Asmussowi prosto w oczy.

– Potrafisz – odpowiedział Mistrz spokojnym i pewnym siebie głosem, obracając w dłoni srebrną rączkę czarnej laseczki. – Doskonale panujesz nad czasem. Patrz, pokażę ci coś, co ułatwi ci następne zadanie. Potem będziesz gotowy.

Zrobili kilka kroków, oddalając się od budynku. Mistrz Asmuss zatrzymał się przy pieńku po ściętym drzewie, które kiedyś wyrastało z chodnika. Z pieńka przebijała się cieniutka zielona, pełna drobnych listków gałązka.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1902

Akta nr 14/36/08-01/1902

Notatka usunięta z akt sprawy o kryptonimie „ARS DRAGONIA”

(...) Fragment ostatniej informacji dostarczonej przez ██████████ z rozpracowywania grupy Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Strona 2

Nie wiem jeszcze, na czym polega zasada działania Smoczego Portalu. Wiem tylko tyle, że Pitt i Richelieu podzielili się władzą nad nim, i wiem, w jaki sposób. Mianowicie umieszczą przy nim dwa księżycy, które będą odmierzać smocze miesiące. W tamtym świecie mają one nieco inną długość. W naszym czasie smoczy miesiąc trwa 27 dni, 5 godzin, 5 minut i 35,9 sekundy. U nas Saros następuje co osiemnaście lat, jednaście dni i jedną trzecią dnia. Ile dokładnie u nich, tego nie wiem. Podobno z wraku zatopionego nieopodal greckiej wyspy Antykithiry wydobyto właśnie urządzenie, które już dwa tysiące lat temu obliczało dokładnie, kiedy następuje Saros, w obu czasach jednocześnie.

Tylko w tym momencie będzie mogła nastąpić zmiana kogoś w rodzaju opiekuna Smoczycy. Pojawią się też jakieś znaki roślinne, ale nie znam szczegółów. Najważniejsze jest jednak to, że każdorazowo opiekunem ma być ktoś z ich potomków. Nikt inny! I to tylko ten, który posiada wystarczający talent i moc, by sprostać wszystkim mogącym się pojawić niebezpieczeństwom.

Dlatego umówili się, że gdy Polska odzyska niepodległość, co według nich nastąpi dokładnie za szesnaście lat (dlaczego akurat szesnaście, tego nie udało mi się ustalić), to żaden nie może opuścić Poznania, który znajdzie się wtedy poza granicami Niemiec. Muszą stać na straży Portalu! Albo jeden, albo drugi. Lub ich potomkowie.

Dopisek:

Należy dalej inwigilować grupę Ars Dragonia Architektów Wschodu. Zdaje się, że pod przykrywką dziwnych rytuałów kryje się wywrotowa organizacja polityczna, dążąca do rozbicia jedności Cesarstwa Niemieckiego. Zezwala się na użycie wszelkich środków, by zdusić w zarodku jakiegokolwiek niepodległościowe mrzonki obywateli niemieckich polskiego pochodzenia. Zaleca się dyskretne przeszukanie całej kamienicy przy Kaiserin Victoria Strasse 20a* pod kątem ukrycia tam spiskowych materiałów. Może się tam mieścić siedziba organizacji.

Podczas dalszego rozpracowywania grupy zabrania się powoływać na informacje zebrane przez informatora ██████████, przebywającego aktualnie w szpitalu psychiatrycznym.

* Grunwaldzka 20a

– Patrz, Sebastianie. Wszystko ma swój strumień czasu. Już ci to mówiłem. Trzeba się tylko z nim zjednoczyć, wtedy można nadać mu inny bieg.

Chłopak znowu nie miał pojęcia, o czym Mistrz mówi. Stał i spoglądał na wpatrującego się w roślinę Asmussa. Nic się nie działo, jedynie kilka listków kiwało się od podmuchów wywoływanych przez przejeżdżające ulicą samochody. Przynajmniej tak się z początku wydawało. Lekko znudzony prawie odwrócił już wzrok, gdy nagle gałązka zaczęła rosnać i w okamgnieniu stała się prawie trzymetrowym drzewem. Sebastian oniemiał. Potoczył wzrokiem dookoła, ciekawy, czy ktoś to zauważył. Ale nikt na nich nie patrzył. Samochody przejeżdżały, a ludzie przechodzili, nie rozglądając się na boki. Sebastian z wrażenia nie mógł wydusić słowa. Asmuss tylko się uśmiechał.

– Mistrzu! – odezwał się w końcu. – Ja tego nie-e-e potrafię. Dlaczego ty sam jej nie-e-e uwolnisz?

– Sebastianie! – zagrzemiał Asmuss, obiema rękami chwytając go za ramiona. – Ty potrafisz inne rzeczy. Roślina to prosty organizm – dodał, urwał listek z drzewa i zaczął obracać go w palcach, a potem go zgniótł. – Przede wszystkim... – na sekundę zawiesił głos – ...tylko człowiek może poczuć przepływ czasu drugiego człowieka.

– A ty nim nie je-e-esteś? – wydukał chłopak.

– Nie do końca – odrzekł Asmuss z uśmiechem.



Kobieta przekręciła kluczyk w stacyjce samochodu. Ruszyła i nagle usłyszała dźwięk wgniatanej blachy. Zahamowała. Spojrzała przez szybę samochodu. Nie wierzyła własnym oczom. Mogłaby przysiąc, że gdy parkowała, nie było tu żadnego drzewa.

I była pewna, że nikt jej w to nie uwierzy.



– Mamo, tylko nie mów mi, że zwariowałem...

Robert Pitt uniósł powieki i ze zdziwieniem patrzył na rudego grubaska, który przed chwilą pomógł mu usiąść na krawężniku, po tym jak chwycił się drzewa, by znów się nie przewrócić. Miał do przebycia niewielki dystans, ale zdawało mu się, że przejście stu metrów zajmie mu wieczność. Wiedział, że gdy tylko przeniknie do tamtego świata, poczuje się trochę lepiej, ale zależało mu, aby podejść ulicami jak najbliżej zamku Sokoła. Po tamtej stronie mógł zostać zbyt szybko zauważony – przez samego Sokoła, który był w stanie wypatrzeć go z każdej niemal odległości, albo przez któregokolwiek z jego szpiegów. Również Lavian mógł wrócić wcześniej. A jemu na pewno nie spodobałoby się to, co Robert zamierzał. Nie pozwoliliby mu nawet podejść w pobliże zamku Sokoła. Przeszkodziłby mu w tym bez trudu. Dlatego mimo wycieńczenia i braku sił mężczyzna podążył w kierunku skrzyżowania. Myślał, że nikt nie zwróci na niego uwagi. Zdziwił się, że dzieciak nie tylko pomógł mu usiąść, ale

teraz stał nad nim i wyglądało na to, że nie zamierza odejść. Nie miał siły zareagować. Musiał odpocząć. Uwięzienie Luny kosztowało go znacznie więcej energii, niż przypuszczał. Podparł więc głowę rękami i bezwiednie patrzył na rozemocjonowanego rudzielca, który chodził wokół niego z telefonem w pulchnych palcach.

– Mamo, pamiętasz, chodzi o tego pana, o którym rozmawialiśmy, on się ślania na nogach...

Jakby na dowód tego Robert zachwiał się jeszcze bardziej. Wydawało mu się, że drzewo jest trochę bliżej, i próbował się o nie oprzeć. Wtedy chłopak ukląkł przy nim, przełączył przycisk w telefonie, który położył na krawężniku, po czym przytrzymał mężczyznę za ramię.

– Jesteś tam, Eryku? – Robert usłyszał w telefonie zdenerwowany kobiecy głos. – Wiem, że nie zwariowałaś, wiem...

– To dobrze, mamo, ale co ja mam robić? – zapytał Eryk, podpierając ramię osłabionego mężczyzny i krzycząc w kierunku telefonu.

Robert z przerażeniem stwierdził, że przechodnie odwracają głowy i zaczynają im się przyglądać. Niepotrzebne mu było całe to zamieszanie.

– Eryku! – Z leżącego na krawężniku telefonu ponownie dobiegł kobiecy głos. – Zatrzymaj tego pana, jeśli się źle czuje... Nie pozwól, żeby się ruszył z miejsca! Już do was jadę!

– Mamo, a jeśli on zniknie? – zapytał Eryk, wyciągając głowę w kierunku telefonu.

– Mam nadzieję, że nie ma tyle siły! – usłyszał Robert i nie był pewien, czy dobrze wszystko zrozumiał.

Wokół nich zbierała się coraz większa grupa ludzi.



– Sebastianie, skup się! – wrzasnął Mizar i kłapanął dziobem tak głośno, że echo rozniosło się po całej sali.

Chłopak momentalnie odwrócił głowę od unoszącej się nad kamienną posadzką bańki, na którą co rusz zerkał.

– Wciąż nie mówisz mi, jak właściwie mam ją stamtąd wyciągnąć – jęknął, patrząc na wniesioną przez Mizara ponadmetrową czarę, w której przelewała się biała substancja o konsystencji emulsji.

– Mówię ci! Tylko ty nie słuchasz! Radzę ci, zacznij! Bo jeśli nie, to za chwilę się udusisz.

Sebastian spojrział ze zdziwieniem w małe oczy. Były wyjątkowo poważne.

Mizar odczekał chwilę, nie odrywając wzroku od chłopca.

– Skoncentruj się i poczuj, jak różne są stany skupienia. Włóż rękę do środka tej czary. Ostrożnie i powoli – nakazał Mizar, delikatnie zanurzając jeden mały palec w białej brei.

Sebastian powtórzył jego gest. Powoli i ostrożnie włożył koniuszek palca, potem całą rękę. Trochę się bał. Patrząc, jak zanurzona dłoń znika w białej emulsji, przestraszył się, że za chwilę coś go wciągnie do środka. Co prawda Mizar mówił, że może się udusić, a nie utopić, ale tutaj wszystko przecież było możliwe. Z niepokojem spojrział na małe.

– Możesz ją wyciągnąć. Tylko powoli – polecił Mizar i Sebastian wyjął dłoń. Po palcach wolno ściekały mu białe krople.

– Teraz uderz w powierzchnię z całej siły. Otwartą dłonią.

Sebastian popatrzył na stwora ze zdziwieniem. Takie uderzenie gwarantowało rozbryzg na kilka metrów, a Mizar w sztywnym purpurowym mundurze nie przesunął się nawet o krok. Chłopak nie wiedział, czego się spodziewać. Ale też nie potrafił sobie tego odmówić. Naprężył palce i uniósł rękę. Zamierzył się. Odruchowo zamknął oczy. I walnął. Poczul ból, który przeszedł od nadgarstka aż po bark. Powierzchnia, w którą uderzył, była twarda jak blacha. Skrzywił się, chwycił drugą ręką za przedramię i patrzył, jak Mizar ponownie zanurza palec i tworzy na powierzchni rozchodzące się falami kółeczka.

– To jest albikantra, po waszej stronie nazywa się to ciecz nienewtonowska. Traktując ją delikatnie, możesz w niej brodzić, a używając odpowiedniego nacisku, możesz po niej iść. Wszystko zależy od tego, czy chcesz w danym momencie płynąć, czy biec – oznajmił, patrząc na Sebastiana, który ostrożnie włożył palec do

środku.

– Fajne! Super, przyda się to do czegoś? – zapytał chłopak, maczając całą dłoń w cieczy, po czym lekko w nią plasnął, a ręka odbiła mu się jak od gumy.

Już chciał zrobić to ponownie, tylko z nieco większą siłą, ale zauważył, że Mizar nic nie mówi. Patrzył na niego gniewnie, marszcząc czoło.

– Czy ty uważasz, że się bawimy? – zapytał i złożył ręce na piersiach. – Czy ja ci nie powiedziałem, że to wszystko jest bardzo niebezpieczne? Za chwilę będziesz miał spotkanie z Kukłą. Możesz go nie przeżyć! Nie mówiąc o tym, co będzie dalej!

– Skoro mogę nie przeżyć... – zaczął chłopak – to może mógłbym się dowiedzieć, do czego to służy? – dokończył cichym głosem, czekając na wybuch Mizara.

Ku jego zdziwieniu Mizar spojrział na niego przyjaźnie i podszedł do bańki, w której była uwięziona Luna.

– Podejdź tu i dotknij jej całymi dłońmi.

Sebastian podszedł i ułożył obie ręce na bańce, lekko ją ugniatając. Popatrzył również na Lunę, która miała już prawie otwarte oczy.

– To taki sam rodzaj substancji. Jeśli uda ci się dostosować do czasu, w którym ona jest, to będziesz mógł tam spokojnie wejść. – Sebastian spojrział na niego z zaciekawieniem. – To nie jest kłopotliwe, może nawet już to potrafisz, tylko jeszcze o tym nie wiesz. Ale znacznie trudniej jest stamtąd wyjść. Trzeba najpierw siebie spowolnić, potem w odpowiedniej chwili przyspieszyć i jeszcze pociągnąć Lunę za sobą. Tego wszystkiego nie da się nauczyć, mogę ci to tylko pokazać, a zasadę musisz zrozumieć sam. Nawet nie zrozumieć, tylko poczuć. Jasne? – zapytał Mizar i zaczął gładzić dziób małpią łapą.

Sebastian przytaknął.

– To dobrze – oznajmił Mizar. – A teraz idę po Kukłę. Spróbuj się skupić. Przynajmniej na chwilę – dodał, pokręcił głową i wyszedł.

Gdy tylko Sebastian został sam, zaczął macać bańkę na wszystkie sposoby. Rzeczywiście, im mocniej ją naciskał, tym stawała się twardsza. Spróbował dotykać jej lekko, a ona się

wtedy ugięła. Przystał prawie poruszać rękami i zaczął wpatrywać się w Lunę. Chciał ją poczuć. Patrzył, nawet nie mrugając. I przez moment mu się zdawało, że powierzchnia bańki staje się jakby żelowata. Jeszcze chwila, a rozejdzie mu się pod palcami. Pomyślał, że właśnie tak powinna się ta przestrzeń zachować. Zadrżał z wrażenia. Dreszcz sprawił, że moc, którą miał pod palcami, zniknęła, ale zaczynał rozumieć, o co chodzi. Chciał to powtórzyć, gdy do kamiennej sali wrócił Mizar. Obok niego szła postać ni to szklana, ni to nadmuchana. Była od niego dwa razy większa. Wyglądała jak zabawkowy stary, wąsaty żołnierz. Miała na sobie zieloną marynarkę i czerwone spodnie. W twarzy wyróżniały się sumiaste rude wąsy i wyłupiaste martwe oczy, białe z czarną kropką pośrodku. Materia, z której zrobiona była Kukła, zdawała się półprzezroczysta. I właściwie to coś nie tyle szło, ile krok za krokiem się przelewało.

Stwór nie wydawał się niebezpieczny, ale poważna mina Mizara kazała Sebastianowi zachować czujność. Kukła wyciągnęła do niego rękę.

Sebastian spojrział na Mizara. Ten zaś pokiwał głową i powiedział:

– Wierzę w ciebie, Sebastianie.

Chłopak podniósł dłoń ku wyciągniętej ręce Kukły.



Lavian zamierzał jeszcze porozmawiać z Tairą lub Atair. Coś mu mówiło, że od którejś z nich również może się czegoś dowiedzieć. Obie kobiety-sfinksy były na niego od dawna obrażone, ale miały też do niego słabość. Nie tylko ze względu na wspólną im lwią część ciała. Tairy z reguły nie omijało żadne przedsięwzięcie. Liczył więc na to, że powie mu, co się stało z koźlą czaszką. Azarak często zamykał się we wnętrzu swojej kościstej pustki, ale tym razem Gryfa zdziwiło nie jego milczenie, tylko wygląd. Tanatos go przeraził.

Szybował więc w kierunku kobiet-sfinksów z myślą, by znaleźć

się tam jak najszybciej, a potem wrócić i sprawdzić, co się dzieje u Roberta Pitta. Mężczyzna zmarnował na uwięzienie Luni znacznie więcej energii, niż to było przewidziane, i z każdą chwilą tracił ją coraz bardziej. Śmierć Edwina i przybycie Sebastiana musiały go rozproszyć. Lavian nie dziwił się temu, miał tylko nadzieję, że teraz odpoczywa i szybko odzyska siły. Wiedział, że bez względu na to, co się stanie, będą mu bardzo potrzebne.

Leciał, rozmyślając o tym, gdy nagle kątem oka zobaczył dziwny ruch wokół Smoczego Portalu. Obniżył lot. I dojrzał coś, czego bardzo się obawiał.

Czas zaczął się kurczyć. Rozpoczyna się Saros.

Cztery tarcze ruszyły w tany. Machały podwójnymi błoniastymi zielonymi skrzydłami. Ich głowy w kształcie Fauna, Maski, Diabła i Lwa kiwały się miarowo nad stalowymi pancerzami. Pod nogami zaczęły im się rozrastać drzewa, jeszcze bezkształtne. Drobne listki na cienkich gałązkach.

Lavian wiedział, że za chwilę urosną i oplotą wszystko, a Smoczyca będzie szaleć pomiędzy miłorzębem, dębem, lipą i duszącą winoroślą. Przejście się otworzy i ktoś nad nim zapanuje. Tylko nie wiadomo kto!



Sebastian miał wrażenie, że zaraz się udusi. Brakowało mu powietrza. Tracił siły, nie był w stanie wykonywać nawet powolnych ruchów.

Od momentu gdy podał rękę Kukle i poczuł zimny dotyk, wiedział, że to nie będzie łatwe zadanie. Odruchowo próbował wyszarpnąć swoją dłoń ze szklanego uścisku, ale to nie było już możliwe. Postać zaczęła się rozlewać. Rozlewał się jej kształt. Kolory się rozplływały, mieszając się ze sobą. To wszystko ściekało najpierw na rękę Sebastiana, potem na niego. Nie miał pojęcia, ile to trwało. Musiało trwać jednak bardzo krótko, bo nie zdążył obejrzeć się na Mizara, by krzyknąć, że się boi, że tego nie chce. Ale równie dobrze mogło to trwać znacznie dłużej, tylko on

z przerażenia nie potrafił wykonać żadnego ruchu i sparaliżowany strachem pozwolił, by szklista substancja zalała go całego, zamykając go w przedziwnej formie. Jak w szklanej trumnie. Zaczął się szamotać, próbując się wydostać, ale wokół niego była ściana rozmazanych kolorów, dająca mu jedynie kilka centymetrów przestrzeni. Nie do przebicia. Jak skała. Mizar ostrzegał go, że może zginąć, ale wtedy mu nie wierzył. Myślał, że straszy go jak dzieciaka. Dotarło to do niego dopiero teraz, gdy zaczynał się dusić. Zrezygnowany oparł głowę o ścianę, bo nie był w stanie już dłużej trzymać jej w pionie. Czuł, że brakuje mu powietrza.

I nagle jego głowa zaczęła się zagłębiać w materię. Prawie niezauważalnie, ale był pewien, że może na milimetr, może dwa, wnikała w ścianę.

Tak jak ta ciecz, pomyślał i spróbował opuścić tkwiącą w górze rękę. Najpierw powoli. Gdy nią ruszał, nic się nie działo. Ręka tkwiła wyciągnięta do przodu. Ciągłe miał napięte mięśnie. Rozluźnił je i pozwolił ręce zsuwać się bezwładnie pod własnym ciężarem. Zdziałało! Powoli opadała. W końcu miał ją przy sobie. Oparł się całym ciałem o otaczającą go szklaną przestrzeń. I zaczął się w niej zatapiać. Górna część ciała wnikała w ścianę znacznie szybciej niż dolna. Przestraszył się. Nie wyczołga się stąd, jeśli upadnie. Spocony i coraz bardziej osłabiony zmienił taktykę. Zaczął się obracać wokół własnej osi. Wiążąca go materia rozciągała się, gdy tylko bezwładnie na nią naciskał. Bez użycia siły, bez ruchu. Zdawało mu się, że w tych miejscach przestrzeń zaczyna się rozrzedzać, że ma przed sobą coraz więcej światła, że widzi nawet rozmazany kształt stojącej gdzieś postaci, niczym za grubą szybą. Napierał, obracając się już prawie tak wolno, że zdawało mu się, iż nie rusza się wcale. Coraz wyraźniejsza sylwetka Mizara świadczyła o tym, że to dobry sposób. Tylko że w środku Sebastian miał już coraz mniej powietrza. Przed oczami pojawiły mu się jakieś obrazy. Widział ojca, który się czołga, Lunę, która teraz stała się jakaś mniejsza, jakby była małą dziewczynką. I właśnie w tym momencie uświadomił sobie, że już ją kiedyś trzymał za rękę. Chciał znowu

ją chwycić. Luna powoli wyciągała do niego dłoń. Niemalże dotykał jej koniuszkami palców. Ale coś ją odciągało. Potem zdawało mu się, że jej ręka zrobiła się czarna i owłosiona.

Prawie nie zauważył, jak cienka niczym folia substancja rozrzedza się pod jego palcami, a w końcu się pod nimi rozplywa. Chwilę później poczuł szarpnięcie. Mizar chwycił go za ramię i wyciągnął. Sebastianowi kręciło się w głowie. Zdawało mu się, że małpi dziób trzęsie nią na różne strony. Patrzył na Kukłę. Smugi kolorów jakby same wracały na swoje miejsce. Po chwili cała postać znieruchomiła. Odwróciła się i odeszła, z każdym krokiem balansując przelewającą się masą.

Sebastian zaczął oddychać spokojniej. Spojrzał na Mizara. Potem zobaczył pochylającego się z troską Asmussa.

– Mówiłem, że to za szybko! – krzyczał Mizar, a po sali rozchodził się klekot kłapiącego z wściekłością dzioba. – O mały włos nie zginął!

– Ale nie zginął – odpowiedział Asmuss spokojnym głosem. – Nie mamy czasu. Rozpoczął się Saros. Musimy podjąć próbę. Sebastian musi ją podjąć!

– Jest za słaby. Nie widzisz? – awanturował się Mizar.

– Nie ty będziesz o tym decydował – odrzekł Asmuss. – Chłopak spróbuje.

– A Luna? – zapytał Sebastian, ale nie mając pewności, czy go usłyszeli, powtórzył raz jeszcze: – A Luna?

– Nie martw się, Lunę uwolnisz później – uspokoił go Asmuss, po czym szybko wstał.

– Ale ja nie chcę – powiedział Sebastian, patrząc w małpie oczy Mizara.

– Wiem – odrzekł Mizar.

– Porozmawiamy o tym za chwilę – zdecydował Asmuss.

Dopiero wtedy Sebastian dojrzał latające nad jego głową dziwne ptaki o turkusowych skrzydłach.

– Mizarze, czy nic mu już nie grozi?

– Teraz nie! – odparł Mizar, zaciskając dziób.

– Więc pozwól, proszę, ze mną – powiedział Mistrz, obracając w rękach czarną laseczkę. – Zdaje się, że mamy niezapowiedzianego

gościa.



Robert Pitt wniknął w przestrzeń zamku Sokoła. Schował się za kamiennym filarem. Przywarł do ściany i głęboko oddychał. Po tej stronie czuł się znacznie lepiej, ale musiał się uspokoić. Nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu szarpał się z rudym młokosem, który na siłę go zatrzymywał. Nie pamiętał już, co do niego krzyczał ani co tamten próbował mu powiedzieć. Chciał się jak najszybciej tu znaleźć, więc uciekł, nie oglądając się za siebie. Bał się coraz większej grupki podejrzliwie obserwujących go przechodniów. Udało mu się schować w jednej z bram, wyjść drugim podwórkiem i niepostrzeżenie przeniknąć do tego świata. Po tej stronie też chyba nikt go nie zauważył, choć nie był tego pewien.

Tym bardziej że teraz słyszał jakieś kroki. Wstrzymał oddech. Kroki zmieniły się w odgłosy gonitwy. Po chwili kątem oka dojrzał biegnącą małą, a za nią młodego lwa. Popędzili dalej. Już miał się znowu wychylić, lecz w ostatniej chwili schował się głębiej za filar. Mała zawróciła. Przystanęła i zaczęła drapać się po głowie, lwiątko zaś gapiło się na nią.

Robert zastanawiał się, co robi, gdy mała zorientuje się, że on ukrywa się za filarem. Mógł jednym gestem tak spowolnić ich ruchy, że zdążyłyby trzy razy obejść zamek w poszukiwaniu Sebastiana, nim one dotarłyby do Sokoła. Ale było to zbyt niebezpieczne. Jeżeli Asmuss jest na terenie zamku, bez problemu wyczuje manipulację czasem, a na to było za wcześnie. Na szczęście zwierzęta pognały gdzieś i na razie nie wracały. Robert powoli wyszedł z ukrycia. Rozejrzał się. Nie było nikogo. Ruszył.

Idąc długim korytarzem, nie oglądał się za siebie. Nie było po co. Nie mógł się za niczym schować i coraz bardziej zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w której się znalazł. Nie miał żadnego planu. Zresztą Gryf bezlitośnie obśmiałyby każdy plan. Żaden nie mógł się powieść. Robert znalazł się w siedzibie wroga.

W tym miejscu nie miał najmniejszych szans na zwycięski pojedynek z Sokołem. Może i poradziłby sobie z Asmussem, ale ze względu na słaby czas reakcji i tego nie był pewien. Miał też niewielkie szanse na znalezienie Sebastiana, nim on sam zostanie odkryty, a jeszcze mniejsze na przekonanie go, by mu zaufał i uciekał stąd najszybciej, jak się da. Robert wiedział, że nie odrobi kilku straconych lat i nie wytłumaczy synowi tego wszystkiego w jednej chwili. Nie liczył na to. Pragnął tylko za wszelką cenę pokazać, że mu na nim zależy, że dla niego zrobi wszystko. Chciał, żeby takim go zapamiętał. Bardzo tego chciał.

Szedł więc, nie oglądając się za siebie. Wtedy poczuł na szyi dotyk sprężynującego pręta.



Sebastian się podniósł. Mógł już stać o własnych siłach, choć ciągle jeszcze na miękkich nogach. Rozejrzał się wokół siebie. Był sam. Tylko on i bańka, w której unosiła się Luna.

Był pewny, że dobrze ich zrozumiał. Saros się zaczął, cokolwiek to znaczyło. Asmuss spisał już Lunę na straty. Chce, żeby to on został Strażnikiem, a jej nawet nie pozwoli spróbować. I to przez ojca! Niedoczekanie!

Według słów Mizara Sebastian już powinien wiedzieć, jak ją stamtąd wyciągnąć. Wejdzie tam, szarpnie ją i wyjdzie. W końcu przecież udało mu się wyjść z przestrzeni stworzonej przez szklaną Kukłę, choć trochę to trwało. Teraz już wie, na czym to polega. A poza tym jest wyjątkowy! Powtórzył sobie to w duchu kilka razy.



Z archiwum tajnych akt pruskich

Poznań 1901

Notatka robocza sporządzona z przesłuchania doktora Kaysera

Według zeznań dr. Kaysera informator ██████████ w nieznanych okolicznościach zniknął z Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach.

Doktor Kayser utrzymuje, że pacjent widziany był rano w ogólnie dobrym stanie zdrowia, a jego nieobecność stwierdzono jeszcze przed południem. W tym czasie nikt nie miał wstępu do izolatki. Nie stwierdzono śladów włamania.

Pacjent od dłuższego czasu nie wykazywał chęci do oddalania się z terenu szpitala. Utrzymywał nawet, że pogodził się ze swoim losem. Podobno kilkakrotnie podkreślał, że między zamknięciem tu a uwięzieniem w bańce czasu nie ma większej różnicy. Uważał, że zarówno w tym, jak i w tamtym świecie wydano na niego wyrok.

Doktor Kayser uznał to za stan pokatatoniczny i podjął stosowne leczenie.

Dopisek:

Prowadzić dalsze poszukiwania informatora ██████████.

Przesłuchać cały personel szpitala. Podać szczególnej obserwacji pracowników pochodzenia polskiego. Monitorować pod kątem powiązań z grupą Ars Dragonia Architektów Wschodu.

Z takim nastawieniem podszedł do Luni. Najpierw chwilę się jej przypatrywał. Potem ostrożnie położył jedną dłoń na powierzchni bańki. Patrzył na nią. Przestał oddychać, przestał mrugać powiekami. Czuł, że wiotkie ciało jest tym razem jego sprzymierzeńcem. Nie napręzał się. Nie napinał mięśni. Pod jego palcami powierzchnia kuli zaczynała się zachowywać prawie tak samo jak wcześniej ta, którą wytworzyła szklana Kukła. Rozrzedzała się i rozłaziła. Wydawało mu się, że wyczuwa fakturę, a potem strukturę materii, z której kulę zbudowano.

Robiła się rzadka jak sieć, przez którą za chwilę będzie mógł włożyć rękę do środka. Potem ją rozgarnie. Sebastian nie miał pojęcia, czy to złudzenie, ale zaczęło mu się wydawać, że Luna przekręca głowę i na niego patrzy. Po chwili był już prawie pewny, że widzi, jak zaczyna się do niego uśmiechać. I jak wyciąga dłoń w jego stronę.



Robert szedł za kotem. Nie miał innego wyjścia. Faufau pojawił się jakby znikąd, bezszelestnie, właściwie musnął go tylko wąsem, co mężczyzna dotkliwie poczuł na swojej szyi, potem przeszedł obok bez słowa, leniwie przekładając łapę za łapą. Gdy go minął, Robert zatrzymał się, rozważając, co robić i czego się spodziewać. Wtedy kocur odwrócił się, zerknął na intruza, zamruczał i podążył dalej. Mężczyzna domyślił się, że ma iść za nim. Nie mógł odmówić, bo ten rozszarpałby go albo w najlepszym razie dotkliwie poranił. Nie potrafiłby sobie z nim poradzić, nawet gdyby był w pełni sił. Kot jako jedyne zwierzę był całkowicie odporny na jakąkolwiek próbę zatrzymania go w czasie, choćby na chwilę. Gdyby nawet spróbował, kot i tak zostawiłby ciało w miejscu zatrzymania, a sam zwyczajnie z niego wyszedł. Nikt nie wiedział, ile koty mają wcieleń. Nikt też do końca nie rozumiał ich postępowania. Chodziły własnymi ścieżkami i nie dawały się oswoić. Faufau był na zamku Sokoła, ale mógł mieć też własne plany. Robert szedł więc teraz za kocurem, nie wiedząc, dokąd go prowadzi. Miał tylko przeczucie, że wiezie go do czegoś, co i tak musi się stać. Co do tego nie miał wątpliwości.

Kot zatrzymał się jedynie raz, gdy zbliżyli się do miejsca, w którym korytarz zakręcał. Robert nie miał pojęcia, co zwierzę tam zobaczyło, ale Faufau, szczerząc zęby, prychnął tak, że mężczyzna odruchowo przywarł plecami do ściany. W oddali usłyszał tylko tupot istoty, która czmychnęła przed kotem. Potem nie spotkali już nikogo. Gdy przechodzili obok wielkich drzwi, Robert chciał je minąć, ale dostrzegł, że koniec kociego ogona

wędruje w kierunku klamki. Owinął się wokół niej. Potem nacisnął ją bezgłośnie. Mężczyzna się zatrzymał. Kot zrobił jeszcze kilka kroków, po czym odwrócił głowę.

– Proszę – powiedział, uchylając ogonem drzwi. – Przecież po to przyszedłeś.

– Przyszedłem po syna – spreycyzował Robert.

– A nie po śmierć? – zamruczał Faufau.



Lavian łopotał w powietrzu skrzydłami, nie mając pojęcia, co jeszcze może wymyślić. Widząc znudzoną minę Asmussa, zmarszczone czoło Sokoła i przenikliwie patrzącego na niego Mizara, wiedział, że długo tak nie pociągnie. Wygadywał bzdury, chcąc jak najdłużej utrzymać ich na balkonie.

Był pewny, że Robert Pitt jest w środku. Nie posłuchał go. Nie został w domu. A powinien! Lavian nie wiedział, co się wydarzy, ale czuł, że nic dobrego. Ale mimo to chciał mu dać jak najwięcej czasu. Dlatego wywabił ich na zewnątrz.

– Lavianie, daruj sobie! – Asmuss westchnął i zaczął kręcić czarną laseczką.

Gryf dopiero teraz ją zauważył. Nie mógł oderwać od niej oczu. Szczególnie zainteresowała go jej rączka, a jeszcze bardziej mina Mizara, kiedy pochwycił wzrok Gryfa i również spojrzał na srebrną lśniącą muszlę, którą Asmuss zaczął pieśczośliwie gładzić.

Muszla, muszelka... Lavian gorączkowo przetrząsał pamięć. Kto ostatnio wspominał o jakiejś muszli?

– Powiedz wreszcie, czego tu szukasz?! – wykrzyknął Sokół, brutalnie przerywając mu rozmyślenia.

– Jak mawiał Pablo Picasso – oświadczył Lavian, patrząc na dłoń Asmussa, która teraz zasłaniała rączkę czarnej laseczki – ja nie szukam... ja znajduję! – Chciał dodać coś jeszcze, gdy w głębi zamku rozległ się krzyk.

Koniec maskarady, pomyślał Gryf, rozpoznając głos Roberta.



– Nie! Nie wchodź tam! – krzyknął Robert, widząc Sebastiana rozgarniającego rękami substancję, z której była stworzona bańka czasu.

Nie miał pojęcia, jak mu się udało ją otworzyć. Ale przecież Sebastian nic nie wiedział o konsekwencjach tego, co w tej chwili robi. Przez szczelinę, którą właśnie próbował wejść, razem z nim wpadał strumień czasu terażniejszego. Był on znacznie szybszy od tego, który płynął w środku bańki.

Było więcej niż pewne, że lada moment czas zakręci kulą tak, że rozerwie ją od środka. A ktokolwiek znajdzie się wewnątrz, nie wytrzyma tempa wydarzeń. Poza tym bańka czasu nie była przeznaczona dla dwóch strumieni. Pętla dwóch czasów, która znalazłaby się w środku, mogłaby ich zadusić albo rozerwać wszystko, co się w niej znalazło.

– Zamknij to! – wrzasnął Robert, biegnąc do syna.

– Zostaw mnieeee w spokojuuuu! – odpowiedział Sebastian, odwracając głowę i patrząc z nienawiścią na ojca.

Robert nie wiedział, czy Sebastian zdaje sobie sprawę z tego, że zaczyna mówić coraz wolniej. Szczelina była wąska, ale już zaczęła go wciągać. Zwłaszcza że włożył do niej rękę, a Luna po nią sięgnęła.

Czas na rozmowy się skończył. Sebastian odwrócił się do ojca plecami i wnikał w kulistą przestrzeń. Nie było już sensu go wołać.

Mężczyzna zaczął działać bez zgody Er Rai. Nie powinien tego robić. Wystarczyło, aby rzuciła wstęgą, nie chciał nawet myśleć o tym, co mogłoby się wtedy stać. Nie powinien rozdzielać czasów bez jej wiedzy. Ale nie widział innego wyjścia. Tym bardziej że kątem oka zobaczył wchodzących do sali Asmussa i Sokoła. Teraz już się ich nie bał. Nie odważyliby się podejść, gdy wyciągał już rękę i rozgarniał przestrzeń, formując kolejną bańkę. Tym razem większą.



Sebastian nie wierzył własnym oczom. Skąd tu się wziął ojciec?! Był pewien, że zamierza pozbyć się zarówno jego, jak i Luny.

Z początku chłopak nie rozpoznawał tego, co zaczęło się dziać. Gdy się odwrócił, zobaczył, jak ojciec rozpaczliwie macha rękami. Po chwili przypomniał sobie, skąd zna te gesty i to ogromne skupienie na twarzy. Zrozumiał to, jeszcze zanim dostrzegł, że wokół niego i Luny tworzy się nowa bańka.

Nie zniechęci mnie! Tą drugą później się zajmę. Rozgarnę ją tak samo jak tę, pomyślał Sebastian i wszedł do wnętrza, w którym znajdowała się Luna. Nie wniknął jednak do końca. Jedną ręką ścisnął krawędź kuli, która zdawała się teraz twarda i stabilna. Drugą dłoń wyciągnął do Luny, chwycił ją za nadgarstek i mocno przytrzymał. Mówiła coś do niego, ale nic z tego nie rozumiał. Dźwięki wydawały się sztucznie rozciągnięte, jakby odtwarzano je ze starej, puszczonej wolno taśmy. Chciał coś odpowiedzieć, ale jego głos stał się serią piskliwych, szybkich i komicznych dźwięków. Nie wiedział, co się dzieje, ale był przekonany, że to nic dobrego. Świat na zewnątrz wydawał się rozmazany, pełen poziomych linii. Po jakimś czasie przyszło mu do głowy, że być może wszystko dookoła wiruje, bo coraz trudniej mu było utrzymać Lunę za rękę. On przywarł całym ciałem do powierzchni bańki z jednej strony, ona – z drugiej. Miała rozwichrzone włosy, które jak promienie układały się wokół jej głowy, a szerokie rękawy białej bluzki rozłożyły się na ścianach bańki niczym skrzydła motyla.

Kręcimy się w kółko! – pomyślał Sebastian. Nie wiedział, ile czasu to trwało, zdawało mu się, że długo, lecz z drugiej strony miał wrażenie, że nim zdążył o tym pomyśleć, wszystko zwolniło.

Niezbyt wyraźnie widział świat na zewnątrz, ale na pewno przestał się on składać z poziomych kolorowych linii. Teraz był rozmazany.

Za to bardzo wyraźnie zobaczył ojca!



Robert mógłby odetchnąć teraz z ulgą, gdyby tylko miał na to czas. Udało się! Przynajmniej to! Zdążył, nim bańką czasu zakręciło tak, że żadna siła na świecie nie dałaby rady powstrzymać tego wiru. Patrzył na Lunę i Sebastiana zamkniętych w środku wewnętrznej kuli. W samą porę! Gdyby nie zdążył, w ich głowach tliłoby się jeszcze pytanie, co się stało, a oni już by nie żyli, nawet o tym nie wiedząc.

Teraz musiał się spieszyć. Druga bańka, którą stworzył, by spowolnić przepływ czasu, działała jak bufor, ale była słaba. Jej rozciągnięta powierzchnia była zbyt cienka i falowała. Oprócz tego, gdy był jeszcze na zewnątrz, kątem oka zauważył rzuconą przez Er Rai wstęgę. Zrobiła to, by uporządkować zakłócony bieg czasu. Wcześniej nikt nie odważył się na taki czyn bez jej zgody. Robert nie miał pojęcia, jakie będą tego konsekwencje, ale teraz nie było już czasu, by się nad tym zastanawiać.

Chwycił Sebastiana za palce, które kurczowo przywarły do krawędzi przedziurawionej bańki.

– Wychodź! Ostrożnie i powoli! – powiedział i czekał, aż do syna dotrze sens jego słów.

Sebastian zaczął powoli odwracać głowę, potem jakby zmienił zdanie. Po jakimś czasie Robert usłyszał krzyk Luny, który dało się zrozumieć, choć brzmiał jak w zwolnionym tempie.

– Wyyypuuuść mnieeeeeeeeeee stąąąąąąąąąąd!

– Choooooodź – usłyszał głos Sebastiana i zobaczył, jak syn przyciąga dziewczynę do siebie.

– Nie! – krzyknął ojciec, zasłaniając ciałem szczelinę, w której Sebastian cały czas trzymał rękę. – Ty pierwszy! – wrzasnął jeszcze głośniej, chwytając syna za nadgarstek.

Wiedział, że gdy tylko Luna wydostanie się ze swojej bańki, będzie chciała i tę warstwę przejść jak najszybciej. Jest zagubiona, może się nie opanować i nie wytrzymać napięcia, a wtedy im wszystkim będzie grozić śmierć. Robert liczył na to, że uda mu się przekonać Sebastiana. Być może nawet zdąży mu

wytłumaczyć, że musi zamknąć tę wewnętrzną bańkę, nim rozwarstwi zewnętrzną, inaczej zginą.

Teraz jednak nie mógł mu tego wyjaśnić. Sens jego słów mógł nie dotrzeć na czas. Chwycił więc mocniej syna i próbował wyciągnąć go na siłę.

On jednak zaparł się całym ciałem o wewnętrzną stronę bańki.

– Neeeeeee! Onaaaaaaa! – krzyczał Sebastian.

Robert zrozumiał, że w ten sposób nie zdoła go wyciągnąć. Zobaczył, jak Luna powoli zbliża się do rozwarstwionej szczeliny. Nie miał wyjścia. Wszedł do środka, patrząc, jak struktura, w którą wniknął, niebezpiecznie się rozciąga. Obejrzał się za siebie, zerkając na zewnętrzną bańkę. Cienka ścianka robiła się coraz bardziej sflaczała. W niektórych miejscach falowała, zbliżając się niebezpiecznie do tej już za mocno rozciągniętej w środku. Dotknięcie jednej i drugiej mogło spowodować prysnięcie obu jednocześnie. Zostało niewiele czasu, a w środku płynął on wolniej. Wewnątrz było jak w oku cyklonu. Spokojnie i stabilnie. Bez szaleństwa, które działo się na zewnątrz.

Sebastian trzymał Lunę za rękę.

– Wyjdź, Sebastianie. Ty pierwszy, a potem Luna – powtórzył najłagodniej, jak potrafił.

– Gdzie ja jestem? Chcę się stąd wydostać! Co się stało? – jęknęła rozpaczliwie dziewczyna.

– Ty ją tu zamknąłeś, więc teraz ją wypuść – powiedział Sebastian do ojca i mocniej ścisnął Lunę za rękę.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Najpierw ty. Potem ja. Na końcu ona – oznajmił łagodnie Robert. – To jedyna możliwość, aby wszyscy przeżyli.

– Ale beze mnie. Tak? – zapytała Luna z rozpaczą w głosie. – Ja nie chcę tu zostać!

– Nie bój się. No, idź – powiedział do dziewczyny Sebastian. – To jest jedyna możliwość! – dodał przez zaciśnięte zęby, patrząc Robertowi w oczy.

– Nie! – zaprotestował ojciec i spróbował chwycić Sebastiana za ramiona.

Myślał, że da radę się obrócić i przerzucić go na drugą stronę.

Sądził, że uda mu się zrobić to z zaskoczenia. Zdziwił się jednak. Sebastian był szybki. I to bardzo. Robert nie spodziewał się, że aż tak. Nim udało mu się dotknąć jego barków, Sebastian zdążył puścić Lunę i chwycić obie ręce ojca, ściskając je w nadgarstkach. Następnie rzucił się na niego. Jedno było pewne, to on wykorzystał efekt zaskoczenia, a Luna – sytuację. Szybko znalazła się przy wyjściu. Robert próbował wykonać jakiś ruch w jej kierunku, ale Sebastian blokował go całym ciałem.

– Puść mnie! Zaraz zginiemy! – krzyknął do syna.

Używając całej siły, jaką dysponował, odepchnął go nieznacznie od siebie.

– Trudno! – odpowiedział Sebastian, z uśmiechem patrząc na wychodzącą z bańki Lunę.

Robert zdołał na chwilę odwrócić głowę. Z przerażeniem zobaczył, że Luna już wyciąga ręce i dotyka palcami zewnętrznej bańki, by z niej wyjść. Wiedział, że bańka zaraz pryśnie.

Sebastian spojrział na ojca z triumfem.

Robert milczał. Patrzył na syna i przypomniał sobie ten uśmiech i sytuację. Wtedy nie zaobserwował Luny ani baniek, ale pamiętał ten grymas na twarzy Sebastiana, widział, jak się z nim szamocze. Wiedział już doskonale, co teraz się stanie. I wtedy ogarnął go spokój.

– To zginiemy – odezwał się Sebastian, cały czas trzymając ojca w uścisku.

– Nie – rzekł Robert z łagodnym uśmiechem. – Tylko ja zginę – dodał i poczuł, że palce Sebastiana rozluźniają się mimowolnie. – Wróć do domu i odnajdź Gryfa Płomiennego, który ma na imię Lavian. On ci wszystko wyjaśni. Ja już nie zdążę – dodał, patrząc, jak Luna rozgarnia strukturę zewnętrznej bańki.

Tu czas płynął wolniej, Robert miał więc jeszcze chwilę, choć widział już koniec wstęgi rzuconej przez Er Rai. Wpadała przez szczelinę, którą zrobiła Luna. Domyślał się, że wstęga zaraz zawiruje, chcąc jak najszybciej wyrównać poziomy w strumieniach czasu. Przede wszystkim jednak wiedział, co ma zrobić. Wiedział, bo już raz to zobaczył.

– I pamiętaj. Nic się nie stało. Nie miej do siebie pretensji –

mówił, patrząc na zdezorientowanego Sebastiana. – Tak musiało być. Wybacz mi. A teraz... – kontynuował, przygotowując się na to, co ma się stać. – Wiedz, że jestem z ciebie dumny. – Poczul, że głos więźnie mu w gardle. – Jesteś... taki, jaki chciałem, żebyś był – dodał. Uśmiechnął się, patrząc po raz ostatni na syna. – Żegnaj.

Tym razem to ojciec wykorzystał efekt zaskoczenia. Sebastian nie zdążył wykonać żadnego ruchu ani gestu. Robert szarpnął ciałem syna, chwytając go z całej siły obiema rękami. Potem przekreślił się i pchnął go z impetem w szczelinę. Upewnił się, że chłopak przedarł się przez nią, i szybko rzucił się w sam środek bańki, próbując jednocześnie spowolnić i zatrzymać samego siebie – na tyle, na ile było to możliwe. Udało się, pomyślał, czując, jak na jego ciele skupia się kierowany wstęgą wir szybszego tempa, który obraca nim do nieprzytomności.

Wiedział też, że jeszcze myśli, a już nie żyje.

ROZDZIAŁ 5

EXPERIMENTUM PERICULOSUM

Sebastian jechał karetką pogotowia na sygnale i patrzył na ojca podłączonego do całej masy rurek i kabelków. Wychodziły mu nawet z nosa. Jedną miał wetkniętą do gardła. Ratownik pogotowia zapewniał go, że choć stan jest bardzo ciężki, to jego ojciec jeszcze żyje. Chłopak nie był tego taki pewny. Widział, co się stało. Teraz nie odrywał wzroku od maszyny pompującej powietrze. Nie chciał się rozglądać. Musiałby patrzeć na Eryka i jego matkę, którzy razem z nim jechali karetką. Pomogli mu, ale nie był w stanie z nimi rozmawiać. Jąkał się tak, że sam by nie zrozumiał, co mówi. Ilekroć przypominał sobie, co się wydarzyło, wszystko zaczynało się w nim trząść. Nogi, ręce i szczęka.

Patrzył na ojca i ciągle nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Gdy tylko Luna, a potem on znaleźli się na zewnątrz, bańki prysły. Sebastianowi zdawało się, że towarzyszący temu huk wstrząsnął całą salą. Zadrżały okna i żyrandole, a jego ojciec wirował, kręcąc się w kółko. Wyglądał jak spłaszczona wstęga wijąca się wokół własnej osi. Jakby każdy kawałek jego ciała, każda jego cząsteczka przemieszczała się w innym czasie i sama nie mogła nadążyć za tym wirowym ruchem. Zdawało się to nie mieć końca. Sebastian z przerażeniem zaczął się rozglądać, szukając wzrokiem pomocy. Nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Asmuss patrzył tylko na wirujące bezwładnie ciało, szepcząc coś do ucha stojącej obok niego Lunie. Sokół zawisł w powietrzu z rozpostartymi skrzydłami, kręcąc głową, potem gdzieś odfrunął. Mizar stał odwrócony tyłem i patrzył w okno. Sebastian podążył za jego spojrzeniem. Niczego nie dostrzegł. Dopiero gdy ruszył w jego kierunku, chcąc wrzasnąć, żeby ktoś to w końcu zatrzymał, żeby ktoś coś zrobił – zobaczył, że w oknie pojawiła się kobieta. A za jej plecami wielkie kręcące się słońce. Kobieta stała nieruchomo, jej biała suknia mieniła się metalicznym blaskiem.

Włosy rozwiewały się niczym rude płomienie. W końcu wyciągnęła przed siebie rękę, a wtedy na jej dłoń spłynęła srebrna wstęga, wraz z nią zaś błękitna poświata. Po chwili, równie nagle, jak się pojawiła, zniknęła. Kiedy Sebastian się odwrócił, jego ojciec leżał już nieruchomo na ziemi.

AKTA SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA
Poznań 1988

T A J N E

OFICER OPERACYJNY
MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH

W W A R S Z A W I E

DEPESZA SZYFROWA

Notatka służbowa sporządzona z przesłuchania kobiety o nieustalonych personaliach.

W dniu 17 lipca została zatrzymana kobieta w wieku około dwudziestu lat.

Według sierżanta Antoniego Komorka patrol Milicji Obywatelskiej natknął się na błakającą się kobietę w dziwnym stroju. Wyglądała na zagubioną i przestraszoną. Podejrzany wydał im się fakt, że kobieta stała na ulicy Armii Czerwonej i pokazywała na Stalingradzką, pytając otwarcie i donośnym głosem w języku polskim, czy jest na ulicy Święty Marcin i czy ta droga przed nią to Ring Królewski. Gdy milicjanci wykazali zasadne niezrozumienie pytania, kobieta zaczęła posługiwać się nazwami niemieckimi: Koenigsring i St. Martinstrasse.

Za tak otwartą prowokację patrol aresztował kobietę.

W trakcie przesłuchania podejrzana uparcie żądała kontaktu z... komisarzem pruskiej policji kryminalnej. Utrzymywała, że jest ich agentką. Kobieta odwieziona do szpitala psychiatrycznego w Gnieźnie, skąd uciekła. Jej los pozostaje nieznany.

wyk. w 2 egz.

Egz. nr 1 - Kier. SB

Egz. nr 2 - a/a

opr. A.D./I/druk IN

1252 r. - Święty Mardiu
1797 - Sankt Martin Strasse
1919 - Święty Mardiu
1945 - Armii Czerwonej
1989 - Święty Mardiu

1905 - 1919 - KAISERRING
1919 - 1939 - NAŁY LESZCZYŃSKIEGO
1939 - 1945 - OBERNALL
1945 - 1990 - ALEJA STALINGRADZKA
1990 - ALEJA NIEPODLEGŁOŚCI

Chłopak podbiegł do nieprzytomnego. Próbował go ocucić, ale ojciec nie dawał znaku życia. Sebastian nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Co właściwie ojciec tutaj robił i o czym mówił? Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jakiegokolwiek wyjaśnienia. Patrzył na Mizara. Ten opuścił głowę i wbił wzrok w biało-czarne kafle kamiennej posadzki. Spojrzał na Asmussa, ale ten obracał w palcach laseczkę, wpatrując się w srebrną rączkę, z której zaczęła ściekać obrzydliwa lśniąca maź.

W końcu Sebastian popatrzył na Lunę. Stała niedaleko. Odgarniała znad czoła brązowe włosy. Masowała palcami skronie. Żył. Ruszył w jej stronę. Właściwie nie wiedział po co, ale chyba wyciągnął przed siebie ręce. Chciał objąć Lunę, cieszyć się, że oboje żyją. Dziewczyna zrobiła jednak krok do tyłu.

– Spadaj! – powiedziała, marszcząc brwi, i zamaszystym gestem odrzuciła włosy do tyłu.

Zamarł w miejscu. Jej reakcja była tak niespodziewana, że tylko otworzył usta ze zdumienia. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może jest w szoku, że to pewnie jakieś nieporozumienie i za chwilę wszystko się wyjaśni. Że w końcu zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi! Ale wciąż nic z tego nie pojmował. Widział tylko zaciśnięte usta Luny i to, że odwróciła się do niego plecami. Poczuli się jak skończony idiota, dureń i debil w jednym.

Spojrzał na ojca. Wciąż leżał bez życia, z rozłożonymi na bok rękami, z policzkiem przyciśniętym do zimnej posadzki.

Sebastian nie wiedział, ile czasu stał bez ruchu. Mógłby pewnie tak trwać jeszcze bardzo długo, gdyby nagle nie pojawił się przed nim dziwny stwór przypominający lwa, wyposażony w wielkie rozłożyste rudoczerwone skrzydła. Wydał mu się znajomy. Wleciał do sali z głębi korytarza. Nagle zniżył lot, złożył skrzydła i skierował się wprost na chłopaka. Gdy był już na wysokości jego twarzy, Sebastian szybko się uchylił, chcąc uciec, ale usłyszał warknięcie:

– Zabierz go stąd! Natychmiast!

Zanim zrozumiał, że stwór przemawia właśnie do niego, lew

rozwarł paszczę i ryknął tak, że ponownie zatrzęsły się kryształki żyrandola.

Zauważył, że Asmuss cofa się pod ścianę i wypuszcza z ręki laskę, która turla się prawie pod nogi leżącego na ziemi ojca. Mizar stał nieruchomo z takim skupieniem na twarzy, jakiego Sebastian nigdy u niego nie widział. Luna wcisnęła się w jakiś kąt. Wtedy nadleciał Sokół. I zaczął się przedziwny taniec. Dwa stwory kołowały pod sufitem, potem wykonywały ruchy, jakby próbowały się na siebie rzucić, ale za każdym razem zastygały w powietrzu. Sokół z wyciągniętymi przed siebie szponami, a lew z wysuniętymi pazurami. To samo działo się za każdym razem, nie udawało im się nawet do siebie zbliżyć. Sebastian nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje i po co ta gra. Nagle zobaczył odbłask światła połyskującego w skrzydłach lwa. Furia, z jaką stwór kołował, sprawiała, że wyglądały jak płomienie. Wtedy chłopak przypomniał sobie słowa ojca o tym, by odszukał Gryfa Płomiennego.

Może to on? – pomyślał. A jeżeli tak... to może powinienem go posłuchać?

Miał niemal pewność, że tu od nikogo nie uzyska pomocy. Tylko jak ma zabrać stąd ojca? Patrząc po raz kolejny na kołujące pod sufitem stworzenia, Sebastian widział, że ten pojedynek nie ma sensu, więc być może ta gra była obliczona na czas? Jeszcze raz spojrzął na ojca. Ani drgnął, ale w jego kierunku sunęła po posadzce dziwna, szara, połyskująca śluzem rozlazła maź wypływająca z muszli. Poczuł, że nie może dopuścić do tego, aby dotknęła ciała ojca. Rozejrzał się. Wszyscy śledzili pojedynek pod sufitem. Podszedł więc, chwycił ojca pod ramiona i zaczął ciągnąć go po podłodze, byle dalej od przybliżającego się śluzu. Nie wiedział, jak ma się stąd wydostać, ale niestrudzenie ciągnął ojca w stronę okna. Wtedy płomiennoskrzydły stwór zaczął kołować tak szybko, że Sokół zawisł bez ruchu w powietrzu. Nagle lew zniżył lot, gwałtownie zmienił kierunek i podleciał do Sebastiana, który ciągnął ojca po podłodze. Błyskawicznie chwycił w szpony ciało i uniósł je. Sokół zanurkował zaraz za nim, ale lew zerknął tylko na Sebastiana i cisnął trzymanym w pazurach ciałem

Roberta Pitta tak, że poleciało bezwładnie w kierunku okna. Wiedziony niemym nakazem w oczach lwa czy też własną intuicją Sebastian w ułamku sekundy zrozumiał, co ma robić. Rzucił się za ojcem. Zdążył złapać go za rękę... i spadał razem z nim.

Nie mógł sobie przypomnieć, co się działo w powietrzu. Ocknął się dopiero na chodniku. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Eryk. Klepał go z całej siły po policzkach. Kątem oka Sebastian dojrzał leżącego obok ojca. Wciąż trzymał go za rękę. Potem zerknął na kobietę, która chodziła wokół nich z telefonem w rękę. Potrząsała blond lokami, krzycząc coś do słuchawki. Głośno podawała jakiś adres. Domyślił się, że dzwoni po pogotowie. Ucieszył się i zemdłał.

Teraz właśnie jechał karetką, próbując zrozumieć, co się właściwie stało.



– Tak, Mistrzu... odnajdę ich... Zacząć od szpitali. Zrozumiałem – powiedział osiłek do telefonu, patrząc przez zaciemnione szyby.



– Eryku, proszę cię, przestań! Sebastianie, powtórz mu, proszę, jeszcze raz, że tata przewrócił się na chodniku i stracił przytomność.

– Ta-a-a-ak właśnie było-o-o-o – potwierdził chłopak, patrząc na poważną twarz kobiety zerkającej na niego w lusterku wstecznym.

Eryk, który siedział obok Sebastiana z tyłu, nie dawał za wygraną i wciskał się między fotele, zagadując matkę. Sebastian odwrócił głowę i znowu zaczął wyglądać przez okno. Po raz kolejny w jakiejś dziewczynie o brązowych włosach lub w białej bluzce zobaczył Lunę. Gdy tylko o niej myślał, w uszach dźwięczało mu ostre „spadaj”, a w głowie pojawiały się dwa obrazki – ona i leżący na posadzce ojciec. Sebastian chciał jak

najszybciej zostać sam i spróbować ułożyć sobie to wszystko w głowie.

– Ale ja widziałem, jak lecieli – jęknął Eryk.

– Jak mogłeś widzieć, skoro zasłaniałam ci widok? Stałam przecież przed tobą! Już to ustaliliśmy. Za dużo grasz w te gry! Ale dziś gorąco – dodała, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą wachlując się tak mocno, że powiewały falbany jej błękitnej bluzki z dużym dekoltem.

– Ale trochę się wychyliłem...

– Skończ już, Eryku! – powiedziała kobieta, przejeżdżając w ostatniej chwili przez skrzyżowanie. – Gdyby Sebastian i jego tata spadli z takiej wysokości, jak twierdzisz, a nie wiem, skąd ci się to przyśniło, to byłiby teraz strasznie połamani, o ile w ogóle by przeżyli! – mówiła, nerwowo potrząsając lokami i patrząc w lusterko. – A jego tata jest cały, tylko w śpiączce. Niedługo się obudzi, wstanie i wyjdzie... Bez gipsu! – dodała, skręcając nagle, tak że Eryk niemal położył się na Sebastianie.

– Mnie możesz powiedzieć – szepnął mu Eryk do ucha, wykorzystując sytuację.

Sebastian tylko wzruszył ramionami.

– Zamiast gadać bzdury, lepiej wklep Sebastianowi w komórkę mój numer telefonu!

– Mamo, ale ty źle jedziesz – zauważył Eryk, prostując się i spoglądając w okno samochodu.

– Bo mnie rozpraszasz! – wrzasnęła kobieta, a Sebastian aż podskoczył. – Zaraz wjedziemy od innej strony – dodała po chwili, patrząc z niepokojem w lusterko. – Sebastianie, później pojedę do szpitala sprawdzić, co z twoim ojcem. Dam ci znać.

– Pewnie się jej spodobał... – powiedział Eryk z naburmuszoną miną i oparł się o siedzenie.

– Nie-e-e-e trzeba – wydukał Sebastian, chcąc jak najszybciej znaleźć się z dala od tych wariatów, jakkolwiek byli pomocni.

– Twój ojciec jest chyba nieprzytomny, nie może sam o siebie zadbać – oznajmiła matka Eryka, parkując przed kamienicą na Siemiradzkiego. – Masz tu jeszcze jakąś rodzinę, która może kontrolować sytuację? – zapytała, wyłączając silnik samochodu.

– Nie-e-e-e – odrzekł Sebastian i po sekundzie pożałował, że nie skłamał.

– No widzisz! – powiedziała. – Masz tu klucze, były w ubraniu ojca. – Wręczyła Sebastianowi dwa kluczyki spięte kółkiem. – Odpoczywaj. Nie chce mi się wierzyć w opinie tych lekarzy, że zupełnie nic ci się nie stało – dodała i spojrzała chłopakowi prosto w oczy.

– A co miało mu się stać? – zapytał Eryk, robiąc przekornie poważną minę.

– Stres bywa bardzo niebezpieczny! – oświadczyła jego matka i odpaliła silnik. – Czy ty w ogóle coś dziś jadłeś? – zapytała syna. – Czy tylko zajmujesz się zawracaniem mi głowy?

Sebastian szybko otworzył drzwi. Gdy był już jedną nogą na zewnątrz samochodu, usłyszał jeszcze, że kobieta odwraca się i krzyczy:

– Wpadnę do szpitala za kilka godzin.

– Nie-e-e trzeba – odburknął Sebastian.

– No co to za wiek! Nie buntuj się tak przeciwko wszystkim i wszystkiemu.

Kiwnął tylko głową i ruszył w kierunku drzwi kamienicy, nie oglądając się za siebie.



– Mówiłeś, że on jest nieszkodliwy! – Luna wrzeszczała tak, że echo niosło się po całej sali.

Mistrz Asmuss patrzył na dziewczynę i obracał w rękę czarną laseczkę, a Mizar co chwila spoglądał w sufit. Dwa bazyliuszki o turkusowych skrzydłach uciekły.

– Sprowadziłeś mnie tu, pokazałeś mi to wszystko! – krzyczała dalej Luna. – Obiecałeś mi, że zostanę Strażnikiem Smoczego Portalu, a wtedy... wtedy... – Zamilkła w pół słowa. – Mówiłeś, że on mi do pięt nie dorasta! – wrzasnęła znowu. – A on otworzył coś takiego! – dokończyła z wściekłością w głosie, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. – Tak bez problemu?

– Też byś to potrafiła – odezwał się Asmuss spokojnym tonem.

Luna przystanąła i powoli się odwróciła.

– Wybaczam ci, ponieważ masz prawo czuć się niepewnie – powiedział Asmuss, mocno ściskając srebrną rączkę laski. – Choć Mizar stwierdził, że jeszcze nie widział nikogo i nie słyszał o nikim, kto tak szybko jak ty zregenerowałby się po uwięzieniu w czasie.

Dziewczyna uniosła podbródek i spojrzała na Mizara.

– Też bym tak potrafiła? – zapytała.

Mizar się nie odzywał. Zmrużył tylko małpie oczy.

– Luno! Jesteś sztukmistrzem wszechstronnym. Wiesz o tym – powiedział Asmuss, podchodząc do dziewczyny. – A więc wiesz również to, że potrafisz wszystko. I osiągniesz, co tylko zechcesz.

– Dlaczego on w ogóle tu był? Dlaczego Mizar go szkolił? – zapytała z pretensją w głosie.

– Żeby cię uwolnić – odpowiedział jej tym razem Mizar.

– A ty byś nie potrafił? – Popatrzyła prosto w małpie oczy.

– Nie – odrzekł.

Luna spojrzała na niego ze zdziwieniem, a po chwili znowu odwróciła się do Asmussa.

– A po co on w ogóle się tu pojawił? Kto go tu sprowadził? Bo przecież nie ojciec, skoro podobno chciał go zabić... Możecie mi to wyjaśnić? – zapytała, biorąc się pod boki.

– Tego nie wiem. Ale uwierz mi – oświadczył dobitnie Asmuss, stukając laską w podłogę. – Zrobiliśmy wiele, żebyś nie miała żadnej konkurencji!

Powiedział to takim tonem, że Luna opuściła ręce. Otworzyła usta, by jeszcze o coś zapytać, ale do sali wpadły dwa bazyliuszki, skacząc po biało-czarnych kaflach. Po chwili zaczęły fruwać wokół głowy Asmussa.

– Sokół mnie wzywa – powiedział do Luny. – Saros już wkrótce, więc może lepiej będzie, jak poćwiczysz z Mizarem, by odzyskać formę, zamiast tracić czas na niepotrzebne rozmowy – dodał, odwrócić się i ruszył do wyjścia.

– Mizarze, a jakim on jest sztukmistrzem? – zapytała, gdy już zostali sami.

– Moim zdaniem jest buntownikiem – odpowiedział jej po

namyśle.

– Czy to znaczy, że jest lepszy ode mnie? – Luna spuściła głowę i spojrzała pod nogi.

Mizar zbliżył się do niej i małym palcem uniósł jej podbródek.

– Luno – zaczął. – Sebastian postąpił źle, próbując sam otworzyć bańkę czasu. Mogliście wszyscy zginąć. Ale udało mu się do ciebie przejść... – na chwilę zawiesił głos i popatrzył jej prosto w oczy – ...bo najbardziej na świecie zależało mu na tym, aby cię uwolnić. A tobie najbardziej zależy na tym, by zostać Strażnikiem. To droga, która prowadzi do celu.

– Asmuss powiedział... Ja muszę! – wycedziła Luna, zaciskając pięści.

– Wiem – odrzekł Mizar, drapiąc się pazurem po dziobie.



– Asmuss powiedział... – zaczął Sebastian niepewnie.

– Dosyć! – wrzasnął Gryf, potrząsając nad głową czerwonorudymi skrzydłami. – Kto ma dostęp do źródła, nie powinien czerpać z kałuży, jak mawiał stary Leonardo da Vinci.

Sebastian patrzył na niego oniemiały.

Gdy wrócił do mieszkania ojca, postanowił odpocząć i przemyśleć wszystko, ale nie mógł znaleźć sobie miejsca, tylko kręcił się w kółko. Myśli plątały mu się w głowie do tego stopnia, że zastanawiał się, czy zaraz nie zwariuje. Nie potrafił myśleć o ojcu, bo przed oczami stawała mu Luna. Gdy próbował pomyśleć o niej, widział ojca. W końcu wyszedł na balkon, bo miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Wtedy zobaczył wtopioną w ścianę rzeźbę skrzydlatego lwa. Kamienny stwór miał kolor tynku, ale rozpoznał go od razu. Wszedł więc z powrotem do środka. Zamknął drzwi balkonowe i bez zastanowienia zrobił krok prosto w szybę. Innego sposobu, by przedostać się do tamtego świata, nie znał. Udało się. Nawet się nie zorientował, a już znalazł się po drugiej stronie. I nie zdążył się rozejrzeć, gdy usłyszał głośne jęknięcie.

– No nareszcie! Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę

czekał. Jak ojciec?

Odwrócił się i zobaczył lwa o złocistej połyskującej sierści, ze złożonymi na grzbiecie skrzydłami w kolorze płomieni.

- Nie wiem - odrzekł Sebastian i wzruszył ramionami. Rozważał, czy wysłuchiwać tych pretensji, czy wrócić do mieszkania. - Lekarze też nie wiedzą, co mu jest, podejrzewają, że... zapadł w śpiączkę - dodał zdziwiony tym, że mówi płynnie.

- Dajmy spokój temu, co podejrzewają - powiedział lew, nerwowo poruszając wąsami. - I stój, kiedy do ciebie mówię - warknął, widząc, jak chłopak robi krok w stronę drzwi. - Nazywam się Lavian i tak o mnie myśl. Jestem Gryfem Płomiennym.

Sebastiana zatrzymał nie tylko rozkazujący ton skrzydlatego lwa. Gryf wyprężył tors i rozłożył olbrzymie skrzydła, tarasując wyjście z balkonu. Wyglądał dostojnie i budził respekt. Chłopak nie odważyłby się ruszyć z miejsca, ale też nie zamierzał nikogo potulnie słuchać.

- Mam na imię Sebastian i już nie wiem, co myśleć - odrzekł i wydawało mu się, że dostrzegł lekkie skrzywienie lwiego pyska, które mogło oznaczać uśmiech.

- Zatem... Sebastianie. Nie mamy zbyt wiele czasu, żeby zastanawiać się, który z nas jest dowcipniejszy. Twój ojciec, ratując ciebie...

- Nie prosiłem go o to! - krzyknął Sebastian. - I nie wiedziałem...

- Ja też nie! - przerwał mu Lavian. - Gdybym wiedział, tobym mu na to nie pozwolił! - warknął tak głośno, że słyhać było zgrzyt jego zębów. - Teraz mamy problem nie tylko ze Smoczym Portalem, ale również z nim.

- Portal jest taki ważny? - zapytał Sebastian z wściekłością w głosie, bo przed oczami znowu stanęła mu Luna, a w głowie usłyszał jej „spadaj”.

- Na tyle ważny, że aby przejąć nad nim władzę, ktoś zabił twojego dziadka, a teraz nie zawaha się zabić twojego ojca. Wyłącznie po to, żeby zyskać pewność, że mu w tym nie przeszkodzi. O tobie teraz nie wspomnę, bo na ciebie przyjdzie

kolej później.

Sebastian milczał wstrząśnięty.

– Tak więc przede wszystkim – kontynuował spokojnie Gryf – trzeba odnaleźć twojego ojca, bo w stanie, w którym się teraz znajduje, jest całkowicie bezbronny.

– Ojciec jest w szpitalu, pod opieką...

– W szpitalu, jak mówisz, jest jego ciało. I ono również musi być bezpieczne. Nie wiem, jak jest w tych waszych szpitalach, odbieram tylko niektóre fale ze świata zewnętrznego, ale przypuszczam, że będziesz musiał gdzieś ukryć ciało ojca. I to szybko. Bo jeśli ono zginie, to jego Ka już zawsze będzie się tu błąkać, a ty nie dowiesz się od niego, dlaczego musiał cię odesłać jak najdalej stąd.

– Musiał? – zapytał Sebastian, czując, że głos więźnie mu w gardle.

– Nie miał innego wyjścia – chrząknął Gryf, poruszając nerwowo wąsami. – Jeśli go znajdziesz, może sam ci o tym opowie i się wytłumaczy.

„Jesteś taki, jaki chciałem, żebyś był” – dźwięczało w głowie Sebastiana. Przez jakiś czas milczał.

– Co to jest Ka? – zapytał w końcu, patrząc Lavianowi w oczy.

– W Egipcie uważano, że to jeden z elementów osobowości człowieka, jego indywidualny duch opiekuńczy, opuszczający ciało wraz z ostatnim tchnieniem albo, jak w przypadku twojego ojca, w wyniku niefortunnych okoliczności. Tak czy inaczej, w Grecji niejaki Meleager mógłby coś na ten temat powiedzieć, też miał pecha... Pochodnia... – Westchnął głośno. – Sądono nawet, że jest to magiczne wyobrażenie „zewnętrznej duszy”, które może się ukryć w dowolnym przedmiocie...

– Przedmiocie? – zapytał Sebastian, nie do końca pojmując te wyjaśnienia.

Obawiał się, że jeśli Gryf dalej będzie mówił tak zawile, to on naprawdę niczego nie zrozumie.

– Dobrze, masz rację – chrząknął Lavian. – Nie czas na wykład. Sebastianie, nie mam pojęcia, jak wygląda teraz Ka twojego ojca ani gdzie się znajduje. Najważniejsze, że musi się znaleźć.

- A kto może wiedzieć, gdzie jest?
 - Jeśli ktokolwiek wie, to Irene. Ona wie rzeczy, które innym nie przychodzą do głowy – oznajmił Gryf.
 - Mogę ją o to zapytać? – Sebastian spojrział na lwa z nadzieją.
 - Możesz i zapytasz, tylko... – Gryf westchnął głęboko. – Pamiętaj, nie dopytuj się o przyszłość, bo ta wiedza może zniszczyć ci teraźniejszość, tak jak zniszczyła...
 - Komu? – zapytał chłopak, patrząc, jak Lavian wznosi oczy do nieba.
 - Wcześniej czy później się dowiesz, grunt, żebyś dowiedział się... później – mruknął Gryf pod nosem.
 - A kto zabił mojego dziadka? – rzucił Sebastian, bo nagle setki pytań pojawiły się w jego głowie.
 - Próbuję się tego dowiedzieć. Zanim odwiedzisz Irene i pójdziesz do tego szpitala, opowiedz mi, kogo widziałeś i co się działo na zamku Sokoła. Ze szczegółami – zażądał Gryf.
- Wtedy Sebastian zaczął opowiadać. Lavian kręcił z niedowierzaniem głową, ale chyba też mruczał z uznaniem, gdy Sebastian opisywał mu, czego nauczył go Mizar. Wściekał się za każdym razem, gdy chłopak powtarzał słowa Asmussa, choć dopytywał się o najmniejsze drobiazgi. Zamilkł zupełnie, gdy Sebastian przypomniał sobie o lasce i obrzydliwej mazi, która się z niej wydostawała.
- Po wysłuchaniu opowieści Lavian przez jakiś czas przygryzał swoje chrapy, a potem oświadczył, że musi się czegoś dowiedzieć, i to jak najszybciej. Rozpostarł skrzydła. Sebastian myślał, że lew zaraz odleci, ale on spojrział na chłopaka i uśmiechnął się spod drżących wąsów.
- Nie lubię tego, ale czasu jest mało. Tamci na pewno nie czekają beczynn timer. Chwyć się mnie! Tylko nie za mocno, mam wrażliwą grzywę.



Pielęgniarka dyżurująca w szpitalnej recepcji wypisywała kartę pacjenta, więc tylko lekko uniosła wzrok, gdy poczuła, że ktoś

nad nią stoi. Zobaczyła guziki czarnej skórzanej marynarki. Ze zdziwieniem zadarła głowę. Już dawno nie widziała kogoś tak wysokiego i potężnie zbudowanego. Sama była drobna i miała wrażenie, że waży mniej więcej tyle co udo tego mężczyzny.

– Pan do kogo? – zapytała i odruchowo odsunęła się razem z fotelem do tyłu, bo mężczyzna o kwadratowej twarzy pochylił się nad jej biurkiem.

– Ja do pacjenta. W odwiedzinach.

– Nazwisko?

– Robert Pitt. Czy jest u państwa na oddziale?

Tego pielęgniarka nie musiała sprawdzać, bo dane właśnie tego pacjenta wpisywała w wąskie rubryczki.



Sebastian z przerażeniem patrzył na wielkiego czarnego łąbędzia, który sfrunął z wysoka i zawisł mu nad głową. Łąbędz wyginał szyję i dziób, z ciekawością zaglądając mu w oczy.

– Witaj, Denebie – powiedział, choć nie miał pojęcia, czy łąbędz to usłyszał, bo uświadomił sobie, że szepcze.

Pomyślał, że to być może ze strachu, iż niedokładnie zapamiętał imię ptaka, który właśnie zasyczał, wysuwając z dzioba czerwony język, a po chwili go schował.

– Salve, Sebastianie – odrzekł, a chłopak odetchnął z ulgą.

Nie potrafił się skupić, szybując na wysokościach. Nie był pewny, czy zapamiętuje wszystko to, co mówi mu Lavian, bo co chwilę rozpraszały go różne mijane w powietrzu stwory. Widział anioła, którego już rozpoznawał, ale zobaczył również wielkie pierzaste skrzydła, które wyglądały jak przyczepione do tułowia małego szczura. Nie zdążył się przyjrzeć, bo Lavian tak groźnie warknął na tego stwora, że ten natychmiast zmienił kierunek lotu.

Gryf odfrunął w zasadzie natychmiast po tym, jak postawił chłopaka na ziemi, oznajmiając, że z Irene to on musi się spotkać sam. Powtórzył mu tylko, że ma wszystko dokładnie zapamiętać i być co najmniej uprzejmym, bo smocze jęzory potrafią wycinać

fantazyjne wzory na ludzkiej skórze. Sebastian nie zdążył spytać, czy to ich ślady widział na ciele ojca. Gdy jechali do szpitala, zauważył dziwne blizny na jego szyi i klatce piersiowej.

Zastanawiał się teraz, czy mogły je zostawić te dwa niewielkie stwory, które machały przezroczystymi, mieniącymi się skrzydłami. Nie wyglądały na groźne, ale to właśnie one zawijały swe ogony na rękach starszej kobiety otulonej kolorowym pledem. Kobieta również nie wyglądała groźnie. Patrzyła na niego pogodnie i uśmiechała się, a od jej twarzy bił blask.

Nikogo innego tu nie było, więc Sebastian uklonił się i powiedział: – Witajcie, Arraksisie i Erraksisie. Witaj, Irene.

– Podejdź bliżej, Sebastianie, chcę ci się przyjrzeć. Może i jesteś nowym Strażnikiem Smoczego Portalu – rzekła łagodnym tonem.

Sebastian zrobił krok do przodu, opuścił głowę i z wściekłości zacisnął zęby. Pamiętał doskonale, że Irene powie mu tylko kilka zdań, uprzedził go o tym Lavian. A nie to chciał usłyszeć!

– Nie o to przyszedłem tutaj zapytać! – burknął niezbyt uprzejmie.

Myślał, że nikt go nie usłyszał, ale gdy tylko uniósł głowę, zobaczył dwa stalowe jęzory i usłyszał głośnie „khhhhhy, khhhhha” wydobywające się z pysków małych smoków, które znalazły się tuż przy jego twarzy.

Nie wiedział, czy Irene wykonała jakiś gest, żeby je uspokoić. Być może wystarczył sam dźwięk jej głosu. Gdy tylko się odzywała, smoki wciskały głowy pod jej palce. A ona je głaskała.

– Cóż... – westchnęła. – Ludzkie losy lubią się powtarzać. Sebastianie, gdy osobom wyjątkowym, takim jak ty, jest coś przeznaczone od zawsze, to uczynią to nawet przez sen – oznajmiła i znowu się uśmiechnęła. – Nawet bez pomocy Gryfa – dodała znacznie ciszej i przymknęła oczy na dłuższą chwilę.

– Przepraszam – powiedział Sebastian, gdy tylko znowu podniosła powieki. – Ale ja chciałbym się dowiedzieć, czy odnajdę ojca.

– Odnajdziesz – odrzekła dziwnie spokojnym głosem.

– I porozmawiam z nim? – zapytał Sebastian podejrzliwym tonem, zastanawiając się, czy dobrze sformułował pytanie, bo

gdzie był ojciec, a właściwie jego bezwładne ciało, to już wiedział.

– Porozmawiasz. – Kobieta się uśmiechnęła.

– A gdzie mam go szukać? – zapytał już pewnym siebie tonem, ale chyba zbyt pewnym, bo smoki zaczęły szybciej machać skrzydłami.

– Na pustyni – odpowiedziała mu Irene, szczerzej owijając się pledem.

– Ale jak? Gdzie na pustyni?! – krzyknął, zastanawiając się, czy kobieta z niego kpi.

Potem nie był już pewny, czy powiedziała jeszcze, że „ta historia się powtarza”, bo zasłaniał twarz rękami, a w uszach dźwięczało mu smocze „khhhhhy, khhhhha”. Po chwili ścierał krew z rozciętej szyi.



Krzywouste słońce ziewnęło przeciągle.

Zbyt przeciągle, pomyślał Gryf. Analizuje informacje i potrzebuje czasu. Nie dziwił się. Sam nie mógł w to uwierzyć. Znał Asmussa i wiedział, że nie przebiera w środkach, by osiągnąć cel, ale nie przypuszczał, że aż do tego stopnia. To, czym dysponował, było tak niebezpieczne, że aż bał się pomyśleć.

– Cóż – odezwało się w końcu Clou – powinieneś być pamiętać, że pojawi się nowa broń i oczywiście trafi w ręce kogoś bardzo zdeterminowanego. Ale i tak mnie zadziwiłeś – dodało i nastroszyło promienie nad głową, które do tej pory falowały we wszystkich kierunkach.

– Ale czy to możliwe? Taka maź? – zapytał Gryf.

– Możliwe – odrzekło poważnym tonem słońce. – Taira wspominała o perle, która zaplątała się w szarfy Azaraka. To by tłumaczyło, dlaczego wieje od niego pustką jeszcze większą niż na pustyni, której strzeże.

Lavian czuł, że stroszą mu się wszystkie pióra na skrzydłach. Powinien wcześniej spotkać się z siostrami sfinksami. Może wiedziałby już teraz, kto odważył się zawładnąć Edwinem

Pittem, a potem go zabić.

– Asmuss uważa, że panuje nad sytuacją? – zapytał Lavian po chwili.

– Myślę, że jest o tym głęboko przekonany – powiedziało Clou i uśmiechnęło się szyderczo szerokimi ustami, których oba kąciki były opuszczone. – Sokół jest bezwzględnie ambitny i zdeterminowany, żeby wreszcie z tobą wygrać, niczego innego nie dostrzega.

– A Mizar? – zapytał Gryf, marszcząc czoło.

– Być może – odrzekło z namysłem słońce. – Tylko że on wierzy w zasady i ustalony porządek, choć nie wiadomo, jak długo to jeszcze potrwa. – Westchnęło.

– Zapewne niezbyt długo – oświadczył Lavian. – Nie mam już więcej informacji na wymianę. A nie wiesz przypadkiem, gdzie może być teraz Ka Roberta?

– Znasz zasady. Nie mogę ich łamać, bo mój prestiż na tym ucierpi. – Clou się skrzywiło. – Nie powiem tego, co wiem – oznajmiło, przewracając oczami. – Co najwyżej – westchnęło bardzo głośno – dodam od siebie, że na jego miejscu każdy schowałby się w kryjówece, do której teraz łatwo wejść.

– Dzięki, Clou – odpowiedział Gryf i rozłożył skrzydła do lotu.

– Lavianie! – krzyknęło za nim słońce. – Gdybyśmy mieli się przez dłuższy czas nie widzieć, to... – Urwało na chwilę, zatykając usta promieniami. – Może lepiej nadmienię ci teraz, żebyś omijał wyrostka roznoszącego śmierć z... bardzo daleka. W ogóle nie szybuj w tamtą stronę.

Gryf spojrział na niego i wzruszył skrzydłami.

– Tanatos szykuje się na ciebie – oświadczyło Clou bardzo poważnym tonem. Ale to taka informacja gratis w podziękowaniu za twórczą współpracę – dodało z zakłopotaniem.

– C'est la vie!² – zakrzyknął Lavian. – Nie martw się, twój prestiż na tym nie ucierpi. Wiem już o tym. Sam mi powiedział – dorzucił z uśmiechem na lwim pysku i odfrunął, mocno machając skrzydłami.

² Takie jest życie! (fr.)



Sebastian wpadł do szpitala. Szedł szybko, niemal biegł, a i tak nie mógł przestać analizować wszystkiego, co się wydarzyło.

Miał wrażenie, że to, co porządkuje sobie w myślach i co zaczyna już tworzyć sensowną całość, po chwili się rozpada i trzeba na nowo ustawiać klocki tej układanki. Klocki te same, tylko układanka inna. Wciąż nie miał pewności, komu może ufać. Ale nawet jeśli Lavian go oszukuje, to jeżeli nie pomoże ojcu, nigdy sobie tego nie wybaczy. Być może rzeczywiście ojciec musiał uwięzić Lunę, bo tak należało postąpić. Może musiał też odesłać własnego syna?

Chciał zobaczyć ojca – z tą myślą biegł do szpitala. Ominął recepcję. Udało mu się, bo dyżurująca pielęgniarka akurat układała papiery na biurku. Pognął więc prosto do sali, w której leżał jego ojciec. Otworzył drzwi i... zobaczył puste łóżko. Nikogo tam nie było.

Początkowo stał jak wryty i patrzył na równo zasłaną pościel, a potem rzucił się do biurka pielęgniarki.

– Gdzie jest?! Gdzie leży Ro-o-o-obert Pi-i-i-itt?! – wykrzyczał prosto w twarz grubej, puciołowatej kobiety.

– Proszę się natychmiast uspokoić – powiedziała pielęgniarka stanowczo, nadymając duże piersi.

– Gdzie jest mój tata-a-a-a?! – krzyknął jeszcze głośniej.

– Moment – fuknęła pielęgniarka. – Nie krzycz na mnie, młodzieńcze, dopiero przyszedłam do pracy – dodała już trochę spokojniej. – Zaraz sprawdzę. Jak nazwisko?

– Ro-o-obert Pi-i-i-itt! – jęknął Sebastian, zauważając, że zaczynają trząść mu się ręce.

– O, mam – odezwała się po chwili. – Mam tu wypis na własne życzenie. Albo kogoś z rodziny... Coś niewyraźnie tu zaznaczono – dodała, marszcząc brwi.

– Ja-a-ak na własne życzenie? – krzyknął Sebastian.

– A ojciec był pełnoletni? – zapytała, przekrzywiając głowę.

– Tak! Ale nieprzytomny! – wrzasnął chłopak jeszcze głośniej.

– Aha... No tak. Ale mam tu wypis – burknęła pod nosem.

Sebastian z nerwów zaczął kręcić się w kółko. A pielęgniarka zapatrzyła się na ścianę.

– A ty jak się nazywasz? – zapytała po chwili.

– Sebastian Pitt. I to ja jestem z ro-o-o-o-odziny!

– Poczekaj. Mam tu jakąś wiadomość dla ciebie – powiedziała pielęgniarka i zdjęła przyczepioną do płyty pilśniowej kopertę.

Chłopak niemal wyrwał ją z ręki kobiety. Rozdarł sklejony papier, na którym dużymi literami było napisane jego nazwisko, i oparł się o ścianę korytarza, a potem się po niej osunął.

Na karteczce był adres: „Grunwaldzka 24/8”.



Starszy pan rozmawiał właśnie przez telefon, gdy zobaczył wybiegającego ze szpitala młodego chłopaka. Pędził na ulicę, prosto pod koła samochodu dostawczego. Rozległ się przeraźliwy pisk hamulców. Starszy pan zamarł. Chłopak wyciągnął rękę, lecąc na maskę samochodu. Ktoś głośno krzyknął. Ktoś zakrył usta rękami.

Po ułamku sekundy starszy pan przetarł oczy ze zdziwienia. Chłopak jakby odbił się jedną ręką od maski, a potem nogą postawioną na zderzaku wybił się w powietrze. Zrobił fikołka w górze, wylądował mocno na dwóch nogach i pobiegł dalej.

Kierowca w roboczym ubraniu wyskoczył z samochodu jak oparzony. Popatrzył za uciekającym chłopakiem, potem rozejrzał się po zastygłych w miejscu przechodniach, napotkał wzrok starszego pana i obaj spoglądali na siebie bez słowa, nie wierząc w to, czego byli świadkami.



– Uważaj, bo się zabijesz! – krzyknął Mizar, patrząc, jak Luna stawia kroki.

A gdy tylko ruszyła głową, odruchowo chcąc na niego spojrzeć, Mizar z wściekłością zacisnął dziób, uniósł owłosioną małpią

łapę i rozrzucił w powietrzu kilkanaście małych srebrnych kulek.

Luna zaczęła je łapać, przeskakując z jednej gałęzi na drugą. Konary dębu, lipy, miłorzębu i pędy winorośli pięły się niczym olbrzymia siatka z wielkimi oczkami, rozwieszona metr nad posadzką. Były w ciągłym ruchu. Splatały się ze sobą, wypuszczały odnogi, wiły się, jakby rosły w kółko. I układały się dokładnie pod stopami Luny, jeśli tylko intuicja dobrze podpowiadała jej, gdzie ma stąpnąć, w którym kierunku rozrasta się gałąź bądź winorośl. Młode pędy w każdej chwili mogły rozrosnąć się w olbrzymie konary i natychmiast spróchnieć. Ich miejsce zajmowała inna gałąź, która mogła urosnąć lub pozostać wiotka, tak że nie dało się na niej stanąć. Nie można było tkwić w miejscu, bo nogi natychmiast oplatały winorośle i nim zdążyło się zrobić kolejny krok, liście winogron znajdowały się już na wysokości nosa. Nie było więc łatwo po nich chodzić, a wcześniej trafnie przewidywać każdy kolejny krok. Łapanie spadających kulek zdawało się graniczyć z cudem, ale pierwsze osiem Luna chwyciła w garść za jednym zamachem. Kolejne dwie z lekko nienaturalnym wychyleniem, ale złowiła je w rozchyloną dłoń. Jeszcze jedną udało się jej przechwycić, robiąc przeskok i zginając się w pół. Kolejna znajdowała się tuż nad gałęziami, ale dziewczyna przechwyciła ją, jednym susem przeskakując przez kilka konarów naraz. Po ostatnią musiała się rzucić. Już ją widziała, prawie musnęła ją palcami... ale czuła, że obsuwa się jej stopa, a druga noga próbuje się ratować, usiłując odzyskać równowagę. Luna gorączkowo myślała, na czym mogłaby się oprzeć. Dwie gałęzie dębu rozchodziły się niemal jednocześnie. Miłorzęb zaczął się cofać, jakby gałąź ugięła się pod jakimś ciężarem. Lipy dziewczyna nie widziała, a winorośl dopiero wypuszczała przed siebie młody pęd. Luna nie wzięła go pod uwagę. Nie przewidziała tego, że to on właśnie zdrewnieje. Postawiła stopę na gałęzi dębu, ale jego czas już się skończył. Zobaczyła tylko, jak noga zapada się w murszejący pień, i prawie jednocześnie usłyszała brzdęk metalowej kulki odbijającej się od kamiennej posadzki.

Straciła równowagę i upadając na plecy z rozpostartymi rękami,

całym ciałem wleciała w młode gałęzie. Spowolniły jej upadek, ale nie obroniły przed uderzeniem głową o ziemię. Gałęzie opadły razem z nią, niczym rozpięta siatka, którą ktoś poluzował, i rozłożyły się na podłodze. Wyglądały teraz jak dziwacznie rozrzucony chrust z zeschniętymi liśćmi.

Luna podnosiła się wolno. Zaciskała zęby i pięści. Gdy już stała, wzięła zamach i z całej siły rzuciła garścią kulek o ziemię. Rozbryzgnęły się na wszystkie strony. Jedna przyturlała się pod nogi Mizara, który schylił się, podniósł kulkę i długo przyglądał się jej w milczeniu. Potem spojrzął na Lunę.

- Czy kiedykolwiek mówiłem, że wściekłość ci pomoże?

- Przecież już to robiłam! - wrzasnęła Luna, odgarniając ze spoconego czoła przyklepione do niego kosmyki brązowych włosów. - Pamiętasz - dodała już żałośnie - mogłam po tym tańczyć! Co oni mi zrobili?! - krzyknęła, uderzając pięściami w biodra.

- Fizycznie jesteś tak samo sprawna - wyjaśnił spokojnie Mizar.

- Zapewniam cię. Zgubiłaś tylko cel.

- Sama się zgubiłam! Może tak?! Ale co ty do mnie mówisz, co? Nagle zmieniałam zdanie? Po takim czasie! Po tylu próbach! Nagle przestało mi zależeć?!

- Chcesz się dowiedzieć, co jest nie tak? - zapytał Mizar, odgarniając małą łapą loki białej peruki. - Czy wiesz lepiej?

- Przepraszam - powiedziała Luna. - Mów!

- Gdy zaczynaliśmy, chciałaś się zmierzyć ze sobą, dotrzeć do celu, zasłużyć na wygraną. Zostać Strażnikiem Portalu i... - przerwał, żeby podrapać się palcem po dziobie - ...użyć jego mocy do zdobycia rzeczy, która jest dla ciebie najważniejsza na świecie. Ale teraz nie walczysz ze sobą, tylko z Sebastianem...

- Nieprawda - przerwała mu Luna.

- Prawda - rzekł spokojnie Mizar. - Nie zmierzasz do celu, tylko rozglądasz się na boki. Dlatego nie tańczysz na gałęziach, tylko po nich łazisz! - krzyknął Mizar tak głośno, że Luna cofnęła się o krok. - Zastanawiasz się, czy on chodzi lepiej! - dokończył jeszcze głośniej.

- Nieprawda - powiedziała Luna już ledwo słyszalnym głosem,

opuściwszy głowę.

- Prawda - odrzekł Mizar. - Wiedziałaś, że możesz mieć konkurencję, ale o niej nie myślałaś. Pamiętaj, nie o rywalizację tu chodzi, ale o dotarcie do celu.

- Czy mi się to uda? - zapytała Luna i odwróciła głowę, żeby popatrzeć na zeschnięte gałęzie.

- To zależy od ciebie. Nie patrz tam! Ominięcie tarcz nie jest takie trudne. Jeśli jeszcze poćwiczysz, na pewno ci się uda. Ale jeśli nawet Strażnicy Portalu cię przepuszczą, to i tak na końcu musisz się zmierzyć ze Smoczycą. A jej jaszczurczy spryt oceni, czym jest dla ciebie prawdziwy cel, w sposób, którego nie da się przewidzieć. Jeśli jej nie ujarzmisz, nie zabierze cię w głąb portalu. Na mnie możesz się wściekać. Z nią tego nie próbuj.

- To co mam robić? - spytała Luna i błagalnym wzrokiem popatrzyła na Mizara.

- Ćwicz z fantazją i wiarą, a nie z chorobliwą zazdrością.

- Dobrze. - Luna kiwnęła głową.

Mizar podszedł do jednej z suchych gałęzi, szarpnął nią, a wszystkie stopniowo się uniosły, znowu przypominając olbrzymią siatkę rozwieszoną nad podłogą, i zaczęły rosnać jedna przez drugą.

Luna podeszła do siatki, a Mizar ruszył w stronę wyjścia. W drzwiach się odwrócił.

- I pamiętaj, nie będziesz tam walczyć z Sebastianem, jeśli się pojawi, tylko ze sobą. Patrz więc lepiej na siebie i pod nogi - dodał z dobrotliwym uśmiechem w zmarszczonych małych oczach.

Luna stała jeszcze chwilę, wpatrując się w skupieniu w przemieszczające się w powietrzu gałęzie. Już zamierzała na nie wskoczyć, gdy zrezygnowała, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Nagle się zatrzymała. Odgarnęła włosy z czoła, kilka razy głęboko odetchnęła i znowu podeszła rażnym krokiem do rozgałęzionej siatki. Już miała ją złapać, gdy nagle ze ściany wylała się postać Asmussa z czarną laseczką w rękę.

- Nie martw się, Luno - powiedział Asmuss, podchodząc do niej.

- Mam coś dla ciebie - dodał i rozejrzał się nerwowo wokół. Byli

sami w pomieszczeniu. – Coś, co doda ci pewności siebie w krytycznym momencie.

– Świetnie, bo już na początku mi jej brak.

– Nie martw się – powtórzył i objął Lunę ramieniem, a ona oparła na nim głowę.

Przez chwilę stali tak, patrząc na przemierzające się pnącza i konary, po czym Asmuss chwycił swoją czarną laseczkę w obie ręce i pogładził dłonią srebrną muszlę. Później nią potrząsnął. Rozległ się dźwięczny stukot. Luna patrzyła na muszlę szeroko otwartymi oczami i uśmiechała się.

– Miałam podobną, tylko że to była srebrna grzechotka z małą kuleczką w środku – powiedziała z rozrzewnieniem. – Mama mi...

– Patrz, co jest w tej – przerwał jej Asmuss i przekręcił laskę, nadstawiając dłoń, na którą wturlała się biała perła. – Weź ją – powiedział do Luni. – Trzymaj ją cały czas przy sobie i połknij przed samym wejściem do portalu. Pomoże ci to.

– A wcześniej? – zapytała Luna, wpatrując się w lśniącą kuleczkę.

– Wcześniej wystarczy, żebyś miała ją w kieszeni. To taki amulet. Spróbuj.

Luna ostrożnie ujęła perłę, najpierw chwilę na nią patrzyła, a potem włożyła ją do kieszeni spodni.

– A jeśli ją zgubię? – spytała, chwytając się za odstającą luźną kieszeń.

– Ona cię nie zgubi. – Asmuss uśmiechnął się przebiegle. – Spróbuj teraz! – powiedział i spojrzał na przemierzające się gałęzie.

Luna wskoczyła i zaczęła ostrożnie stawiać kroki. Z początku nieśmiało, a potem znacznie odważniej. Po chwili przeskakiwała już zręcznie z gałęzi na gałąź. Odwróciła głowę i z szerokim uśmiechem pomachała do Asmussa, który z zadowoleniem pokiwał jej czarną laseczką.



Niewielka ćma latała pod żarówką lampki świecącej nad małym biurkiem. Nie mogła, a może nie chciała wydostać się spod metalowego klosza. Prawie opaliła sobie skrzydła, gdy chwyciły ją dwie złączone dłonie i wyrzuciły za okno. Po chwili palce z poobgryzаныmi paznokciami znowu przerzucały poźółkłe kartki starej książki. Strona po stronie. Ostrożnie. Stare brzegi kruszyły się, rozsypując się w pył, który zostawiał ślady na biurku. W końcu ręce zastygły, przytrzymując dwie strony. Na jednej stronie widniał tekst, na drugiej – umocowana niczym zdjęcie w starym albumie ilustracja. Spod niej wysuwała się cienka, złożona kilka razy karteczka zapisana drobnym pismem.

Astarte (Astarte)

Pojawiła się już w Fenicji i Kanaan, a znana była wśród wszystkich Ludów Morza. W Babilonie i Asyrii mówiono na nią Isztar, w Sumerze zwana była Inanną Panią Niebios. W Grecji ukrywała się pod imieniem Afrodyta.

Piękna i niezwykle niebezpieczna. Bogini miłości i wojny. Namiętnie czuła i gwałtownie żądna władzy. Aby ją zdobyć, uda się nawet do krainy bez powrotu.

Nie uznaje kontroli nad sobą i jest bezwzględna dla tych, którzy ośmielają się przeciwstawić jej ambicjom.

U starożytnych widziana jako naga kobieta z kwiatami lotosu, bogini-wojownik w pełnym uzbrojeniu, często uskrzydłona lub otoczona nimbem gwiazd.

W czasach nowożytnych Botticelli widział ją dokładnie, jak wychodzi z muszli.





Astarte

Pijača vie pri v Srečni i Karan, a rena beh uoid vovodih Ludia M'ama
 id Kraljica i dajiti vavida in riva iaktre, a Surova rava kbi Jemra. Aha dajita,
 id Gajiti dajiti vie pri iaktre dajiti. Uta i dajiti dajiti.
 Ekdil dajiti i dajiti. dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti. Aha i dajiti.
 vie vie dajiti dajiti dajiti dajiti. Vie dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.
 dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti dajiti.



Jnana, Iaktre **ASTARTE**
 Astarte, Afrodita

Sebastian biegł jak oszalały. Dwa razy musiał się odepchnąć od jakichś samochodów, a raz od rozpędzonego tramwaju. Za to ani razu się nie odwrócił, nawet gdy usłyszał przeraźliwy pisk hamujących na szynach metalowych kół.

Wbiegł do domu, wpadł na balkon, ale Gryfa nie było. Czuł, że nie ma czasu na niego czekać, że znowu coś zawałił. Nie zaczął jeszcze nawet szukać Ka ojca, czy jak to się nazywało, a ktoś już porwał jego ciało. Potwornie bał się tego, że ktoś pozbędzie się ojca, nim on zdąży go odnaleźć. Miał wrażenie, że niespodziewanie go odzyskał, może nawet zrozumiał, a jednocześnie stracił bez wyjaśnienia. Dlaczego?

Postanowił udać się pod adres zapisany na karteczce. Bez względu na to, co się tam może wydarzyć. Bez względu na to, kogo i co tam spotka!

Nie zdziwił się, że jest to adres kamienicy ze Smoczym Portalem. Popatrzył tylko w okna i przez chwilę zastanawiał się, z którego za chwilę wypadnie. Było mu wszystko jedno. Wbiegł na klatkę schodową i pokonywał kolejne piętra, nie zatrzymując się i nie patrząc na rosnącą numerację. Stał dopiero pod drzwiami z numerem osiem. Nie miał pojęcia, skąd wiedział, że to jest właśnie mieszkanie, którego szukał. Był za to pewny, że kiedyś już tu był. Wszystko wyjaśniła tabliczka na drzwiach z wygrawerowanym napisem: „Edwin Pitt”.

Nie zamierzał od razu uruchamiać starego dzwonka. Ostrożnie i delikatnie nacisnął klamkę. Do samego końca. Gdy poczuł opór, spróbował lekko popchnąć drzwi. Udało się! Nie były zamknięte na klucz. Uchyliły się. Centymetr po centymetrze popychał je dalej, prosząc w duchu, by nie zaskrzypiały. Chciał zyskać choć odrobinę przewagi nad tymi, którzy czekali w środku. Gdy drzwi były na tyle otwarte, że mógł wejść, wetknął w nie najpierw głowę i rozejrzał się po korytarzu. W środku nie było nikogo. Zerknął za drzwi. Pusto. Powoli zaczął się przesuwac w głąb mieszkania. Ostrożnie. Korytarz był zagracony jakimiś starymi meblami i piętrzącymi się wszędzie stosami książek. Sebastian widział przed sobą jedne otwarte drzwi. Reszta była pozamykana. Nie zamierzał ich otwierać i ryzykować drugi raz.

Wyglądały na takie, które na pewno zaskrzypią. Ruszył zatem w kierunku tych otwartych. Szedł wzdłuż ściany. Potem musiał się wychylić, bo drogę zatarasowała mu piramida książek – od podłogi po sam sufit. Przywarł do nich i ostrożnie zaczął wysuwać głowę w kierunku światła dobiegającego z otwartego pokoju. Zrobiło mu się duszno, na czole perliły się krople potu. Ręką cały czas obejmował słup z książek. Gdy już zerknął do środka, nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Wychylił się do przodu, mocniej opierając się o stertę, i wtedy się zawaliła, a książki z hukiem rozsypały się po podłodze. Z pokoju dobiegł potworny pisk.

– To ja! – krzyknął.

– Aleś mnie wystraszył! – powiedziała z wyrzutem matka Eryka, chwytając się ręką za pierś. – Nie mogłeś użyć dzwonka? – zapytała po chwili, a Sebastian nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Popatrzył na nią. Miała na sobie krótką czerwoną sukienkę i z nogami założonymi jedna na drugą siedziała przy łóżku, na którym leżał jego ojciec. Podeszedł do nich.

– Wy się zna-a-acie? – zapytał.

– My akurat nie – odrzekła, odgarniając z czoła blond loki. – Ale dosyć dobrze znam... znałam twego dziadka. Powiedzmy, że wyświadczył mi pewną przysługę... Ach, szkoda czasu, to długa historia. – Kobieta westchnęła głęboko.

Sebastian pomyślał, że rzeczywiście czasu jest niewiele, ale chętnie by posłuchał tej opowieści. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że to wszystko zapewne nie przypadek. Spotkanie na lotnisku... Matka Eryka była też w miejscu, w którym razem z ojcem wypadł z okna. I w szpitalu, i teraz...

– Widzę, że myślenie cię męczy, więc przestań główkować – skomentowała złośliwie kobieta i wstała. – Posłuchaj mnie, na szersze wyjaśnienia może przyjdzie kiedyś czas – dodała, wkładając czerwone szpilki.

Sebastian dopiero teraz zauważył, że wcześniej siedziała boso.

– Co mój ojciec tu-u-u robi-i-i? – wyjąkał w końcu.

– Hmm. – Kobieta westchnęła, przewracając oczami. – To chyba

rzeczywiście muszę ci wyjaśnić. Sama podjęłam taką decyzję, ponieważ nie miałam wiele czasu. Rozpętałam w tym szpitalu małą, ale dosyć skuteczną wojenkę – powiedziała, potrząsając lokami. – Przedstawiłam się jako narzeczona twojego ojca... Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Sebastian nie miał pojęcia, jaką zrobił minę, ale widocznie taką, że musiała przerwać ten wywód. Zaprzeczył tylko ruchem głowy.

– Nic innego nie przyszło mi na myśl – kontynuowała matka Eryka – więc narobiłam krzyku, że ma złą opiekę, że są lepsze szpitale... i użyłam... no, takich tam drobnych pogroźek. – Zamachała rękami.

Patrząc na jej energiczne ruchy, Sebastian był pewien, że niełatwo było jej czegokolwiek odmówić.

– Ale po-o co? – zapytał i podszedł w końcu do nieprzytomnego ojca.

– Pojawił się taki dwumetrowy, kwadratowy typ... Znasz go, prawda?

Sebastian z przerażeniem kiwnął głową, wyobrażając sobie osiłka pochylonego nad bezbronny ojcem.

– Ja też go znam! Ale mniejsza z tym... Tak czy inaczej, uznałam, że tu będzie bezpieczniejszy. Zmyliłam ich na tyle, że przez najbliższy czas będą go szukać po szpitalach... Ale zdajesz sobie sprawę, Sebastianie, że nie będzie to trwać w nieskończoność? – zapytała, a on przytaknął. – Dziadek przygotował to mieszkanie, z tamtego świata tu nie przejdą, ale ten zakuty łeb w końcu tu trafi. Albo stan twojego ojca się pogorszy i trzeba będzie dzwonić po pogotowie. Musisz jak najszybciej odnaleźć jego ducha czy jak to zwą...

– Ale jak? – zapytał Sebastian, patrząc na twarz ojca i jego nieznacznie tylko unoszącą się klatkę piersiową.

– Jak? – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie wiem! Co ja, wróżka z Niegolewskich jestem? – zapytała, unosząc ręce. – Dziadek cię tu ściągnął, wiedział, że tylko ty będziesz mógł uratować ojca. To był bardzo mądry człowiek. Skoro tak mówił, to musiał być tego pewien – zakończyła i klasnęła w dłonie, a Sebastian z wrażenia przysiadł na stojącym obok łóżka krześle.

– A-a-ale ja-a-a do-o-ostałe-e-em za-a-a-pro-o-oszenie na je-e-e-eg-o-o-o pogrze-e-eb – wykrztusił z trudem, czując wielką kluchę w gardle.

– No cóż. – Kobieta westchnęła i zaczęła obgryzać paznokieć. – Spodziewał się najgorszego. Wiedział, że ta oślizgła, małżowata glista w końcu przejmie nad nim kontrolę, i wiedział też, że twój ojciec... – chrząknęła głośno – tak czy inaczej, sam sobie z nią nie poradzi. I jak widać, miał rację – dodała z przekonaniem, pokazując palcem na leżącego Roberta.

– Ale ja...

– Nic więcej nie wiem – ucięła kobieta. – Ale patrz, znalazłam coś dla ciebie. – Podeszła do małego biurka ze stojącą na nim metalową lampką, wzięła do ręki jakąś starą książkę, otworzyła ją i podstawiła Sebastianowi pod nos. – Patrz i czytaj – powiedziała rozkazującym tonem.

Sebastian czytał o jakiejś Astarte i nic nie rozumiał. Popatrzył na ilustrację. Nie znał kobiety, którą przedstawiała.

– Widziałeś tę oślizgłą pannę? – zapytała matka Eryka.

Sebastian zaprzeczył ruchem głowy.

– A to widziałeś? – spytała, pokazując obgryzionym paznokciem rysunki różnych muszli pod wizerunkiem kobiety. – Ach! – krzyknęła nagle, zaciskając palce w pięść. – Tipy to cudowny wynalazek, pod warunkiem że człowiek ma czas je zrobić. Znajdź ojca, a ja będę miała w końcu chwilę, żeby o siebie zadbać – powiedziała i znowu odgarnęła z czoła blond loki, głośno przy tym wzdychając. – Aha, prawie bym zapomniała, tu jest karteczka dla ciebie. – Wręczyła Sebastianowi cienki, złożony na czworo pergamin.

Rozłożył go ostrożnie i zaczął czytać:

Sebastianie, żałuję, że się nie spotkaliśmy. Tak wiele mam Ci do powiedzenia...

Chłopakowi zaczęły drżeć ręce. Zerknął na sam dół zapisanej drobnymi literami karteczki i zobaczył podpis – Edwin Pitt. Wstał i postanowił wyjść z pokoju, by przeczytać list w

samotności, gdy nagle matka Eryka zapytała:

- A może jednak wiesz, gdzie on może być, znaczy to coś jego?
- Kogo?
- Oczywiście, że twojego ojca! Przecież o niego pytam.
- Irene powiedziała-a-a, że na pustyni-i-i – rzekł zamyślony Sebastian, wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia.

Matka Eryka aż podskoczyła.

- To na Mickiewicza dziewięć! – krzyknęła radośnie i klasnęła w dłonie.



- Tego się nie spodziewałem – westchnął Gryf, czytając równo zapisane litery na cienkim pergaminie.

Wierzę w Ciebie, Sebastianie, Ty też uwierz w siebie, a wszystko się uda...

Znał pismo Edwina Pitta, a z listu wynikało, że to właśnie dziadek sprowadził Sebastiana do Poznania.

- Czy wypada źle myśleć o zmarłych? – zapytał sam siebie, głośno wzdychając. - O! To nie koniec nieszczęść – dodał, gdy czytał dopisek na dole kartki.

To był już zupełnie inny charakter pisma.

Nie mam innego wyjścia, Lavianie. Idę ratować ojca. Jest na pustyni Azaraka.

- Cóż – westchnął Gryf, ociężale rozkładając skrzydła. - *Vita brevis, ars longa, occasio praeceps, experimentum periculosum, iudicium difficile*³.



3 Życie krótkie, sztuka długa, okazja ulotna, doświadczenie niebezpieczne, sąd niełatwy (łac.).

– A ja-a-ak to coś będzie wyglądało? – zapytał Sebastian, stojąc na skrzyżowaniu Mickiewicza i Krasińskiego.

– Nie mam pojęcia. – Matka Eryka wzruszyła ramionami. – Dusza i życie Meleagera ukryte były w pochodni. Wystarczyło ją spalić. I oczywiście ktoś się na niego obraził i to zrobił – dodała.

Sebastian zaś zaczął się zastanawiać, w jakim przedmiocie będzie ukryta dusza jego ojca.

– Masz bardzo mało czasu – odezwała się po chwili, gdy podeszli pod ścianę budynku. – Nie wolno przebywać tam długo, to wiem. Nie wiem wszystkiego, bo nie wszystko zbudowali, zanim mnie... – Wzdrygnęła się. – Twój dziadek opowiadał mi trochę o tym i o tamtym świecie... Myślę, że go spotkasz – dodała i uśmiechnęła się do chłopaka serdecznie.

– A potem? Co trzeba zrobić, że-e-eby... on się z powro-o-tem połączył? – zapytał Sebastian.

– Jeśli nie uda się naturalnie... – matka Eryka westchnęła, rozkładając bezradnie ręce – ...to na pewno stryj Oskar będzie wiedział. Już to kiedyś przeprowadził sam na sobie, potem twój dziadek musiał go zamknąć w dobrze strzeżonym miejscu. Jeśli zatem będą jakieś trudności, to go zapytaj. Patrz, tam jest wejście – powiedziała, wskazując palcem trzecią kondygnację.

Sebastian nie uniósł głowy. Stał i patrzył na kobietę wytrzeszczonymi oczami.

– Stryj O-o-oskar jest sparaliżowany, jak ma mi o-o-odpowiedzieć? – wyjąkał.

– Nie wiem jak! – odrzekła matka Eryka, ściągając z nogi but i wytrzepując z niego kamień. – To dość skomplikowane. Sparaliżowany jest po tej stronie, a bardzo rozmowny po tamtej, na którą przecież możesz przejść. Przynajmniej tak mi mówił twój dziadek.

– A ja-a-ak się tam dostać? – zapytał Sebastian, patrząc na fasadę kamienicy, którą wcześniej pokazała matka Eryka.

Widział dwie twarze. Obie były groźne i wykrzywione. Jedna z szeroko otwartymi ustami i zmarszczonym czołem krzyczała nad owalnym oknem. Druga twarz starca wyglądała na zdziwioną. I równie nieprzychylną. Oprócz tego spod jego brody rozchodziła

się na boki dziwna zasłonka.

– Tego też nie wiem. Zapytasz, jak będziesz po drugiej stronie – powiedziała, ujęła w obie dłonie policzki Sebastiana i spojrzała mu prosto w oczy. – Powodzenia, chłopcze – dodała z uśmiechem.

Sebastian poczuł jej loki na policzkach, gdy czule pocałowała go w czoło.

– Moja kobieca intuicja podpowiada mi, że wszystko będzie dobrze. Poza tym twój dziadek był bardzo mądrym człowiekiem, znacznie mądrzejszym, niż się to wszystkim wydaje. Muszę już uciekać, twój ojciec... to znaczy jego ciało... nie powinno zostawać bez opieki. I pamiętaj, nie mów nic Erykowi. On wierzy w te bajki – rzuciła z uśmiechem, klepiąc Sebastiana po ramieniu.



– Nie myśl, że jestem głupi. Wiem, co dałeś Lunie! – krzyknął Mizar, rozdziawiając dziób na całą szerokość.

– I co z tego? – zapytał Asmuss, patrząc, jak mundur Mizara lśni już do połowy, jakby był z jedwabiu.

– A to, że do tego nie... – Mizar chwycił się za szyję. – Nie dopuszczę... – wyrzucił z zaciśniętego gardła – ...do teegoooo... – zakończył z trudem, upadając na kolana.

– Nie sądzę – odparł Asmuss, patrząc na dziób Mizara, który wyglądał już tak, jakby ktoś go pokrył politurą.

Błyszczał i odbijał nikłe refleksy światła z różnych kierunków, gdy Mizar wił się na kamiennej posadzce.



Sebastian patrzył na półnagiego, kołyszącego się przy ścianie pucołowatego młokosa. Jego złączone nogi tkwiły w liściach jakiejś rośliny. Jedną ręką trzymał się pędu, który mocno przylegał do ściany, i wyraźnie na niego kiwał.

Chłopak podszedł bliżej.

– Salve, Sebastianie. Spodziewałem się ciebie. – Obcy zaśmiał się

głośno.

– Witaj – odpowiedział Sebastian niepewnym głosem.

Nie miał pojęcia, kim jest ten młokos i co go tak rozbawiło. Przypomniał sobie tylko, że nie należy go lekceważyć.

– Wejście do miejsca nicości z drugiej strony. – Pokazał wolną ręką i znowu się zaśmiał.

– Nie szukam nicości, lecz ojca – odrzekł Sebastian, przyglądając się koźlej czaszce, z której boków spływały wypłowiałe szarfy.

– Droga wolna – oznajmił korpulentny chłopak. – Idź. Tam są wszystkie byty, które utkwiły... pod piaskiem, pod wodą, pod ziemią, i czekają na lepsze czasy.

– A ludzie? – zapytał cicho Sebastian.

– Jeśli ktoś im pomógł utknąć poza czasem, to pewnie też tam są – powiedział i zarechotał. – Wpuście go! – krzyknął głośno, a potem uklonił się na tyle, na ile zdołał się wychylić, by nie stracić równowagi, elegancko zakręcił wolną ręką i pokazał kierunek.

Sebastian już nie patrzył w jego stronę. Obszedł budynek i od razu usłyszał wrzeszczącą na niego z góry głowę.

– Jeżeli wiesz, po co przyszedłeś, to wchodź!

Nie zdążył nawet zapytać jak, gdy ze ściany opadły dwie aksamitne czerwone szarfy ze złotym lambrekinem. Chwycił się ich i natychmiast się uniósł. Po chwili miał przed oczami brodatą głowę, która szeptała z przerażoną miną:

– Nie trać wyjścia z oczu, bo potem nigdy go nie odnajdziesz. I uważaj na burzę piaskową. Wtedy uciekaj.

– Skacz, jeśli musisz! – wrzasnęła groźnie inna głowa, znajdująca się wyżej, tuż nad owalnym otworem.

Sebastian podciągnął się i oparł nogami o jakieś wystające okucia. Potem przesunął się na rękach dalej w górę i rzucił się w owalny otwór. Wylądował głową w piasku.



Luna stała obok Asmussa i patrzyła na rozrastające się drzewa i zdrewniałe już u podstawy winorośle. Przed nimi tańczyły tarcze, rozpościerając błoniaste skrzydła. Między konarami wiała

się Smoczyca. Dwa księżyce kręciły się z zawrotną prędkością.

– To już niedługo? – zapytała.

– Patrz! – Asmuss pokazał znajdujące się w rogu gniazdo pelikana. – Samica straciła już mnóstwo krwi, karmiąc swoje młode. – Luna spojrzała na trzy przerośnięte pisklaki, które ledwo mieściły się w gnieździe, choć wciąż jeszcze wyciągały rozdziawione dzioby. – Gdy z niego wyfruną, rozpocznie się Saros – dodał Asmuss.

– A czy... – zaczęła Luna, opuszczając głowę – ...czy Sebastian również się tu pojawi?

– Nie przejmuj się nim – odpowiedział, głaszcząc ją po głowie.



Sebastian patrzył na ziarenka, które usypywały mu się spod nóg przy każdym kolejnym kroku. Szedł przed siebie i czuł się dziwnie. Piasek, który go otaczał, tylko pozornie gładko rozkładał się na płaskich, ciągnących się w dal powierzchniach. Pagórki, które gdzieniegdzie unosiły się łagodnie, jedynie z daleka zdawały się całkowicie nim przykryte. Dopiero z bliska widać było zwietrzałe kształty. Ledwo zarysowane, ale dostrzegł już nos i chustę na głowie, a zapewne gdzieś dalej był tułów.

Zobaczył też głowy i rogi jakichś zwierząt ułożonych w rzędach, które mogły tworzyć aleję. Gdy się odwracał, sprawdzając, czy nie znika mu z horyzontu zawieszony w przestrzeni owalny wyjście, przyglądał się śladom, które zostawiały jego stopy. Te najświeższe odsłaniały wzory, ornamenty, czasami łapy i pazury. Te, które zostawił wcześniej, po chwili znikały, znowu równo pokryte drobnym piaskiem. Jakby w ogóle tędy nie przechodził.

Było raczej chłodno, choć powietrze gdzieniegdzie zachowywało się, jakby było rozgrzane, i falowało tuż nad powierzchnią. Z tych miejsc wyłaniały się rozmyte kształty, a niekiedy postacie. Najpierw zobaczył sowę, która przeleciała mu tuż nad głową, a po chwili rozplynęła się w powietrzu. Potem przeszła obok niego jakby chmura stworzona z kilku starców z długimi wąsami i w dziwnych czapeczkach na głowach. Sebastian

miał wrażenie, że uśmiechali się do niego, choć mieli rozmazane rysy twarzy. Pokiwali głowami, a potem zniknęli. Zobaczył kilka golasów bardzo podobnych do tych z tramwaju. Biegły wesoło, choć jeden nie miał ręki, a drugi – nogi. Okrążyły go, a następnie rozmyły się w powietrzu.

Chłopak początkowo szedł przed siebie, a potem już tylko stał i patrzył. I tak nie wiedział, dokąd powinien iść i po co. Obejrzał się i poczuł strach. Nie miał pojęcia, czy tak daleko zaszedł, czy też wyjście oddalało się od niego. Owalny otwór zdawał się nikać w oczach. Nagle Sebastian wyczuł, że ktoś stoi za jego plecami. Bardzo powoli zaczął się odwracać. Odetchnął, gdy zobaczył małego chłopca. Wyglądał dziwnie, nie tylko dlatego, że był niemalże przezroczysty. Miał około sześciu lat i wielkie smutne oczy.

– Czego tu szukasz? – zapytał chłopiec, choć Sebastian nie był pewny, czy w ogóle poruszył ustami.

– Mojego ojca. Nie widziałeś go? Taki wysoki, właściwie tego wzrostu co ja – powiedział bezdźwięcznie.

– Oprócz ciebie nie widziałem tu nikogo – odrzekł chłopiec, choć Sebastian miał wrażenie, że słowa te rozbrzmiały tylko w jego głowie. – A dlaczego on tu jest? – zapytał.

– Zbyt wiele czasu zajęłoby tłumaczenie – rzucił Sebastian, odwracając głowę, by sprawdzić, jak daleko ma do wyjścia.

Przeraził go ten widok. Otwór zdawał się już tylko niewielkim punktem. Poza tym Sebastian odniósł wrażenie, że powietrze staje się coraz mniej przejrzyste, jakby zaczął unosić się w nim pył.

– Dlaczego tu jest tak dziwnie? Opowiedz mi wszystko – poprosił chłopiec.

– Innym razem – obiecał Sebastian, słysząc swój głos drżący ze strachu.

Piasek wyraźnie się podnosił. Nawet bez ostrzeżenia wyszeptanego przez brodatą głowę Sebastian czuł, że to może być niebezpieczne.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? – zapytał znowu bezgłośnie chłopiec, robiąc żalostną minę.

– Chcę ci powiedzieć, tylko nie teraz... Nie zrozumiesz – dodał, czując już drobinki piasku w nosie.

Niektóre wpadały mu do oczu, musiał przysłonić je ręką. Przeczuwał, że zaraz zrobi się jeszcze gorzej. Zaczął biec ile sił w nogach. Był pewny, że za chwilę przestanie widzieć wyjście, które już teraz przypominało małą rozmazaną plamę.

– Zabierz mnie ze sobą... – zadźwięczał mu jeszcze w głowie jęk chłopca.

Odwrócił się. Mały stał już bardzo daleko od niego. Sebastian był zaskoczony, że udało mu się odbiec taki kawał. Zatrzymał się i przez chwilę się zawahał. Zrobiło mu się żal malca, ale wydawało się to zbyt niebezpieczne. Pomyślał, że wróci po niego. I tak będzie musiał tu wrócić. Teraz niczego tu nie znajdzie. Nawet przedmiotu. Prawie nic już nie widział.

– Proszę – usłyszał szept w swojej głowie dokładnie w momencie, gdy był już naprzeciwko owalnego otworu.

Rzucił się w jego kierunku i zdążył tylko krzyknąć przez ramię:

– Przyjadę po ciebie!

Nie miał pojęcia, dlaczego tak powiedział. Dopiero gdy chłopiec zniknął, a on poczuł, jak przelatuje przez otwór, dotarła do niego treść wykrzyczanych słów.

Ta scena już się kiedyś rozegrała, on sam kiedyś usłyszał: „Przyjadę po ciebie”. Teraz role się odwróciły. Właśnie to rozumiał.



Pucołowate policzki zaróżowiły się od śmiechu, który wstrząsał pulchnym ciałem Tanatosa.

Sebastian tkwił w wejściu z przewieszonymi nogami. Okazało się, że wyszedł w innym miejscu, niż powinien. Był tuż nad drzwiami, miał do ziemi jeden skok, którego nawet by nie poczuł, ale gdy tylko pojawił się na zewnątrz, jego nogi błyskawicznie oplotła dziwna roślina. Wspięła się do samych ud i była na tyle mocna, że utrzymywała go prawie prostopadle do ściany.

Za sobą miał jeszcze inną rozgniewaną głowę, której z uszu

wyrastały liście i pewnie coś jeszcze, ale nie zdążył jej się przyjrzeć. Zresztą nie miał ochoty. Głowa gniewnie mamrotała jakieś niezrozumiałe słowa.

Przed jego nosem zawisła postać półnagiego młokosa, który łopotał małymi białymi skrzydełkami.

– I co, widziałeś błakające się wspomnienia? – zapytał młokos, gdy tylko Sebastian pojawił się w wyjściu.

Nic mu nie odpowiedział.

– Ja widziałem – kontynuował Tanatos z szyderczym uśmiechem, który nie zniknął z jego dziecinnej twarzy. – Może chcesz do niego dołączyć? – zapytał po chwili, patrząc mu prosto w oczy.

Sebastian nic nie mówił. Obserwował tylko, jak Tanatos odwiązuje ciekłą krwistoczerwoną taśmę, którą był przepasany. Zaczął ją zwijać, oplatając jeden z końców wokół własnej pięści. Powoli, cały czas śmiejąc się pod nosem. Chłopak spuścił wzrok, patrząc na powiewającą taśmę, gdy nagle za plecami młodzieńca zobaczył zmierzającego ku nim Gryfa.

Ledwo się powstrzymał, by nie krzyknąć. Nie miał pojęcia, czy Gryf zrobił jakiś grymas, czy to on sam zrozumiał, że ma być cicho. Widział skupienie na lwiej twarzy Laviana i patrzył na jego powolne ruchy. Gryf podchodził delikatnie, bezszelestnie, miękko stawiając łapę za łapą. Miał pochylony tułów, naprężony ogon i na wpół rozłożone skrzydła. Skradał się.

Tanatos był już w połowie zwijania taśmy.

– Z tą tasiemką wyglądałeś lepiej – zagadał do Tanatosa Sebastian, patrząc mu prosto w oczy, a sam wyprężył się tak, by jak najbardziej ograniczyć widoczność znajdującej się nad nim głowie, która mamrotała pod nosem. – Zawiaż ją sobie wokół szyi.

– Chyba zacznę od ciebie – odpowiedział Tanatos i zacisnął zęby z taką wściekłością, że aż zatrząsał mu się podbródek.

– Wiesz co, powiesz się od razu na jakiejś choince. Będziesz pasował – rzucił chłopak, obserwując, jak uśmiech znika z pucołowatej twarzy.

Tanatos chwycił koniec niemal całkowicie zwiniętej taśmy w

drugą rękę. Zaciśnął ją w pięści i naprężył, jakby sprawdzał jej wytrzymałość. Taśma zachowała się jak struna.

Sebastian zerknął na Gryfa. Był już bardzo blisko. Zobaczył, jak Lavian napina lwi tors i pręży ciało.

Tanatos wyciągnął przed siebie ręce i przechwycił spojrzenie Sebastiana. Zaczął się odwracać.

– Uciekaj! – wrzasnął niespodziewanie Gryf.

Sebastian zobaczył już tylko, jak Lavian rzuca się na nich. Widział wyciągnięte łapy i rozpostarte skrzydła. Miał wrażenie, że ta sytuacja rozgrywa się znacznie szybciej niż wydarzenia, których świadkiem był do tej pory. Nie wiedział, w którym momencie pysk i przednie łapy skrzydlatego lwa rozerwały mu ubranie i skórę. Nie zdążył poczuć bólu. Poczul tylko, że jakaś siła wyszarpuje jego nogi z więzących je roślin, niemal wyrrywając je przy tym ze stawów. Potem zaś leciał w dół, nie wiadomo kiedy wypuszczony z pazurów Laviana. Koziółkował, turlając się po ziemi, i wtedy zobaczył czerwoną taśmę oplatającą lwią szyję i wściekle szarpiącego się z nią Gryfa. Drugim końcem taśmy targał Tanatos. Miał minę wstrętnego bachora bawiącego się kotem uwiązany na sznurku. Potrząsał Gryfem w powietrzu niczym balonikiem napełnionym helem. Zajadle i z przyjemnością. Popuszczając i ciągnąc. Lavian wywijał koziółki, coraz bezsilniej poruszając płomiennymi skrzydłami. Sebastian obserwował te męczarnie i miał wrażenie, że rozpostarte pióra coraz bardziej matowieją. Zaczęły nawet wypadać, rozlatując się w powietrzu na wszystkie strony. Unosiły się przez chwilę, a potem opadały. Znacznie łagodniej niż Lavian, który w końcu runął na ziemię. Z hukiem.

– Uciekaj! – ponownie dobiegł go głos Gryfa.

Tym razem był ledwo słyszalny. Czerwona taśma, która oplótła szyję Laviana, zaciśnęła się już tak mocno, że z leżącego na ziemi lwiego pyska bezwładnie wyłaził czerwony długi jęzor.

Sebastian stał jak oniemiały. Nie potrafił zrobić kroku, patrząc na blednące w oczach pióra i skrzydła, z których jedno opadało na tułów, a drugie leżało sztywno rozłożone na ziemi.

Tanatos zbliżał się ku niemu powolnym krokiem. Z triumfującą,

złośliwą miną związał na łokciu czerwoną taśmę.

Gryf uniósł łeb. Chłopak nie miał pojęcia, czy wstrętny pónagi młokos szarpnął taśmą, czy też Lavian zdobył się na ostatni wysiłek.

– Sebastianie... Zapanuj nad Smoczym Portalem – wycharczał Lavian. – To wszystko, co... możesz zrobić... A teraz uciekaj...

– Co tam gadasz, padlino?! – zawołał drwiącym głosem Tanatos i bezlitośnie szarpnął głową Gryfa jeszcze raz, po czym poluzował taśmę.

Lwi łeb opadł na ziemię.

– Mówię, że ta śmierć jest dość kiczowata... – wybełkotał Gryf. – Ucie... – próbował jeszcze powtórzyć, ale Tanatos zacisnął mocniej pętlę wokół jego szyi.

Sebastian zobaczył wyłazące na wierzch ślepią lwa. Widział, jak zachodzą mgłą.

Wtedy zaczął uciekać. Nie czekał już, tylko biegł przed siebie, nie odwracając głowy. Policzki miał mokre od łez.



Kilka osób stało przy ulicy Siemiradzkiego, z niedowierzaniem kręcąc głowami. Jedni spoglądali do góry, a drudzy na rozkruszone kawałki walające się po chodniku. Na ziemi wyglądały jak gruz.

– Widzi pan? Łeb tego lwa odpadł!

– Teraz to wszystko tak remontują. Potem na głowę człowiekowi spadnie. Panie, kiedyś to było nie do pomyślenia...

– A ja myślę, że ten łeb to sam mu tak nie odpadł.

– Może głowa, bo to coś ma skrzydła... To może głowa była?

– Głowa czy łeb, co to za różnica?! I tak już jej nie ma!



Sebastian biegł jak oszalały. Wiedział, że musi być już bardzo daleko, ale ciągle słyszał w uszach śmiech Tanatosa i ostatnie słowa Gryfa: „Uciekaj... Zapanuj nad Smoczym Portalem... to

wszystko, co możesz zrobić...”.

Ale co miał zrobić? I jak? Bo do tej pory wszystko, co robił, robił źle!

Zawiódł dziadka, nie pomógł ojcu. Zostawił go gdzieś tam, dokąd teraz nie mógł wrócić. Uratował Lunę, o której nie chciał teraz myśleć, bo czuł się jak idiota. Nie miał pojęcia, co się zdarzyło, ale nawet jeśli tego nie rozumiał, to właśnie przez jej uwolnienie zginął jego ojciec. Poznał Gryfa, który mógł mu to wszystko wyjaśnić, ale skończyło się na tym, że on też musiał ratować chłopca. I Lavian również zginął.

Niepotrzebnie, pomyślał Sebastian i się zatrzymał. Nie mógł dalej biec, czuł, że traci już oddech. Przystanął, położył ręce na kolanach i oparł się o ścianę jakiegoś budynku. Koło jego nóg przeszedł mały kudłaty lew. Sebastian nawet nie zareagował. Odsunął się dopiero, gdy zobaczył maszerującego po ścianie wielkiego pająka. Przyjrzał mu się, ale pająk nie zwrócił na niego uwagi. Za to spojrzęło na niego małe słońce.

– Wiesz, co się przydarzyło Gryfowi Płomiennemu? – zapytało z uśmiechem.

– Wiem – warknął Sebastian.

Nie podobał mu się ten uśmiech.

– Szkoda – odrzekło słońce z tak samo zadowoloną miną i zaczęło kręcić się w kółko, lecz po chwili się zatrzymało. – A wiesz, dlaczego zginął? – zapytało.

– Wiem – burknął chłopak pod nosem.

Słońce wydeło policzki i zrobiło naburmuszoną minę.

Sebastian odwrócił się do niego plecami. Włożył rękę do kieszeni i ze zdziwieniem stwierdził, że wciąż tkwi w niej stary bilet. Ciągle miał na sobie tę samą bluzę. Chwilę patrzył na kartonik i nie czekał długo. Przed nim pojawił się tramwaj. Otworzyły się drzwi i chłopak miał wrażenie, że wyjrzały z nich wszystkie bobasy naraz. Niektóre powłaziły nawet na ramiona tych, które były przed nimi, i wychylały głowy, machając rękami. Jedna taka piramidka się rozpadła i maluchy sturlały się ze schodów, piszcząc hałaśliwie. Sebastian skorzystał z wolnej przestrzeni, postawił w to miejsce nogę i po chwili był już

wewnątrz tramwaju.

– Zawieźcie mnie do stryja Oskara.

Tramwaj ruszył, a głosy rozbiegły się po całym wagonie. Sebastian usiadł przy oknie i próbował w nie patrzeć, ale one oblepiły go z każdej strony. Jeden zerkał nawet znad jego głowy, zwisając z drążka. Nagle wszystkie naraz zaczęły mu szeptać do uszu, do oczu, nawet pod stopy.

– Szkoda Gryfa... wielka szycha...

– Spraw nieodwrócenie... szybkie zginienie...

– Też mi nowina – burknął Sebastian i przez dalszą część drogi nie zwracał na głosy uwagi, mimo że miał po kilkoro na każdym kolanie.



– Luno, już czas... Pierwsze pisklę opuściło gniazdo – powiedział Asmuss.

Luna wstała bez słowa.



Sebastian stał nieruchomo, gdy twarz omiatały mu dwa ogony. Dobrze pamiętał, jak ostre były języki małych smoków, więc teraz ani drgnął, gdy tulipanowe końcówki dotykały jego nosa i policzków. Dwa stwory o błoniastych łapach łąziły po nim w tę i z powrotem. Ale i tak się cieszył, że ucichł wiatr, który zerwał się nagle, gdy tylko Sebastian zbliżył się do kamienicy, w której mieszkał stryj Oskar.

Stąd wszystko wyglądało inaczej. Pewnie by nawet tu nie trafił, ale bobasy niespodziewanie wysiadły z tramwaju, chwyciły się za ręce, tworząc w ten sposób węża, i zaczęły biec. Ostatni wciąż się oglądał i kiwał na niego ręką. Przebierały krótkimi nóżkami wyjątkowo szybko, więc Sebastian nie miał nawet czasu się rozejrzeć, choć dookoła działo się mnóstwo rzeczy.

W końcu dzieciaki się zatrzymały. Zbiły się w małą gromadkę i wszystkie naraz pokazały palcami na drzwi, w których poruszały

się jakieś rośliny. Nad nimi znajdowały się dwie głowy. Jedna miała trudno rozpoznawalne rysy, druga należała do wąsatego starca w dziwnej czapce z dzwoneczkami.

Bobasy zawołały jednocześnie:

- Pupile zadowolone... gdy więzienie strzeżone! Uwaga... uwaga... potrzebna rozważa! Ostrożnie... bo groźnie!

Zamilkły i zaraz się rozbiegły.

Zdążyły uciec, nim zerwał się wiatr.

Gdy tylko z Sebastiana zszły dwa stwory przypominające kameleony, odezwała się do niego głowa w czapce, nad którą jasnym płomieniem palił się znicz.

- Salve, Sebastianie - powiedział ten ktoś z dobrotliwą miną.

- Witaj - odrzekł chłopak i pochylił głowę. - Skąd wiesz, jak mam na imię? - zapytał, po raz kolejny zdziwiony tym, że zna go znacznie więcej osób, niż mógł kiedykolwiek przypuszczać.

- Przecież tak ono brzmi - oznajmił wąsaty starzec z taką miną, że gdyby miał ramiona, toby nimi wzruszył. - Przyszedeś spotkać się ze stryjem, nieprawdaż?

- Tak. Mogę wejść? - zapytał Sebastian i jednocześnie zrobił krok do przodu.

Zdawało mu się, że w jednej chwili zobaczył dwie rzeczy naraz - zmarszczone gniewnie czoło starca i otwarte pąki kwiatów, które tkwiły w drzwiach. Wszystkie nagle skierowały się na niego. Odruchowo zasłonił twarz. Potem powoli opuścił rękę. Oprócz jakiegoś paprocha, który wpadł mu do oka, nic takiego się nie stało, choć starzec miał pochmurną minę.

- Czy pozwoliłem ci wejść? Czy powiedziałem: wejdź, jeśli musisz?! - zapytał podniesionym tonem.

- Przepraszam, nie wiedziałem... - zaczął się tłumaczyć Sebastian, trąc powiekę prawego oka.

- Niewiedzą nie przeprosisz maków! - krzyknął starzec. - I wejdź, jeśli musisz!

Otworzyły się drzwi. Sebastian o nic już nie pytał, bo i tak nie wiedziałby o co. Spojrzał tylko na starca, ten kiwnął głową, więc Sebastian wszedł do środka. Wspinał się schodami, aż ujrzał kolejne drzwi. Te również się przed nim otworzyły. Potem

przetarł oczy. Nie tylko dlatego, że ciągle miał wrażenie, iż w jednym coś mu przeszkadza, ale też dlatego, że przed nim stał stryj i uśmiechał się szeroko, wyciągając ku niemu ręce.

– Witaj, Sebastianie – odezwał się Oskar.

Chłopak patrzył z niedowierzaniem na rzeńskiego starszego pana o siwych włosach i kruczoczarnych brwiach.

– Dzień dobry – powiedział, manipulując przy powiece.

– Co ci się stało? – zapytał stryj z niepokojem.

– Nic, tylko jak tu wchodziłem... nie wiem, jakiś paproch...

– A może nasiona maku? – zapytał stryj i opuścił ręce.

– Może... Chyba jakoś tak rozkwitły. Ma pan... stryj może chusteczkę?

– Sebastianie, to nic nie pomoże. Niepotrzebnie podszedłeś... Zresztą to już nieważne. – Machnął ręką i ruszył w głąb pomieszczenia.

Oko Sebastiana ciągle łzawiło, więc nie był pewien, czy dobrze widzi, ale zdawało mu się, że wokół nóg stryja owinięte są dwie brązowe jaszczurki z zielonymi oczami i długimi ogonami.

– Sebastianie, nic z tym teraz nie zrobisz, przez jakiś czas będzie ci się wydawało, że widzisz różne niewiarygodne rzeczy.

– Też mi nowina. – Sebastian wzruszył ramionami.

Stryj odwrócił się i uśmiechnął.

– Będzie tak, jakbyś śnił... – kontynuował stryj.

– Przeszedłem tutaj – przerwał mu Sebastian – żeby się dowiedzieć, jak sprowadzić mojego ojca. Jest na pustyni Azaraka...

– Ach tak... – Oskar westchnął i usiadł w fotelu. Wtedy dwie jaszczurki błyskawicznie spelzły mu z nóg i wcisnęły się w podłokietniki fotela. – Opowiedz mi wszystko – poprosił z uśmiechem na twarzy.

– Właściwie jego ciało jest w... w szpitalu w stanie śpiączki – powiedział Sebastian. Nie miał pojęcia, dlaczego skłamał. – A jego Ka...

– Skoro ktoś nazwał to Ka, to musiał być Lavian. Co się z nim stało? – zapytał stryj z ciekawością.

– Nie żyje – odparł krótko Sebastian.

– Opowiedz mi o tym, chętnie posłucham... – zaczął stryj z lekkim uśmiechem na ustach.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle zamilkł i zerwał się na równe nogi. Jaszczurki znowu oplotły się wokół jego łydek. Nie zważając na nie, stryj podbiegł do okna na lekko rozstawionych nogach. Sebastian odwrócił się i zobaczył tylko dziwny czerwony cień.

– Już drugi ptak wyleciał z gniazda! Nie ma czasu na opowieści, Sebastianie! – krzyknął stryj.

Sebastian milczał. Przecież w ogóle nie zaczął jeszcze opowiadać.

– Musisz mi coś obiecać! – zawołał stryj, chwytając go za ramiona.

Chłopak nadal się nie odzywał, zastanawiając się, czy rzeczywiście cokolwiek musi.

– W przeciwnym razie nie pomogę ci uwolnić ojca – oświadczył stryj, czym rozwiął jego wątpliwości. – Uwierz mi! Za chwilę rozpocznie się Saros. Musisz zostać Strażnikiem Portalu! I musisz mi obiecać, że gdy nim zostaniesz, to mnie uwolnisz! – wykrzyknął.

– Nie jestem pewien, czy chcę... – odparł Sebastian.

Niewiele wiedział o byciu Strażnikiem, poza tym, że wszyscy pragnęli pełnić tę funkcję.

Zaczynała go nudzić ta rozmowa, miał wrażenie, że miękną mu nogi, i najchętniej usiadłby w fotelu, przytulił głowę do oparcia i zasnął.

– Jeżeli nie zechcesz, to nic ci nie powiem – usłyszał od stryja. Spojrzał na niego spod lekko przymkniętych powiek. – Twój ojciec już zawsze będzie się tułał po pustyni! Z piaskiem w zębach! – krzyknął Oskar i zaczął szarpać chłopaka za ramiona.

– Zostaw mnie w spokoju! – Sebastian uwolnił się z rąk stryja, po czym wstał i powoli ruszył do wyjścia.

– Po spokój tu przyszedłeś? Spokoju nie będziesz miał już nigdy! Zapewniam cię! – krzyknął Oskar, idąc za nim. – Wciąż będziesz się zastanawiał, dlaczego mu nie pomogłeś! – wrzasnął Sebastianowi do ucha.

Chłopak wzdrygnął się i chyba przebudził z dziwnego odrętwienia. Przystanął, odwrócił się do stryja i zaczął słuchać.

– Obiecujesz? Obiecujesz, że mnie uwolnisz? – zapytał Oskar, patrząc chłopakowi prosto w oczy. – Jeśli tak, to powiem ci, co powinienes zrobić.

Sebastian spojrział na niego i lekko skinął głową.

– Obiecuję.

– Posłuchaj mnie zatem uważnie, to może uda ci się uratować ojca... – rzekł, patrząc z niepokojem w okno.



Na zapleczu małego sklepu warzywnego starsza otyła kobieta sapała głośno, próbując wcisnąć się w zakupioną na rynku wildeckim spódnicę. Tam nie mogła jej przymierzyć i zabrała ją ze sobą do pracy. Spódnica utkwiła gdzieś na wysokości bioder pomiędzy fałdami skóry. Kobieta nie chciała uszkodzić zamka, więc spocona i zdenerwowana próbowała zsuwać ją centymetr po centymetrze, kiedy nagle przez zamknięte okno do pomieszczenia wpadł młody chłopak, spadając na ziemię tuż pod jej nogi, głową wprost między fałdy podciągniętego do góry materiału. Kobieta oniemiała. Przez chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, po czym zaczęła wrzeszczeć jak opętana.



Sebastian momentalnie oprzytomniał. Widział wiele różnych stworów. Mijały go już niedźwiedzie, ocierały się o niego skrzydłami dwa wielkie ptaki, które wyglądały jak sępy z długimi szyjami. Kilkunastometrowe węże z wielkimi paszczami kręciły ósemki nad jego głową, ale nic nie przeraziło go bardziej niż widok grubych gołych owłosionych nóg i wielkich białych majtek. Nie miał pojęcia, kiedy oparł się o szybę. Pamiętał tylko, że chciał choć na chwilę przymknąć oczy, nim pójdzie dalej w stronę portalu, gdy nagle wpadł do pomieszczenia w realnym świecie. Wrzask, który wydała z siebie starsza kobieta, gdy

wylądował pod jej nogami, przebudził go błyskawicznie. Podniósł się szybko i rzucił w kierunku okna. Znowu znalazł się w świetle, w którym szedł do przystanku tramwajowego i wciąż pałętał się przy nim bury kundel z przesadnie długim tułowiem. Nie zwracał na psa uwagi, choć ten towarzyszył Sebastianowi cały czas, od momentu gdy tylko wyszedł z więzienia, w którym przetrzymywany był stryj Oskar.

Chłopak nie miał pojęcia, czy wyciągnął bilet wcześniej, czy też tramwaj czekał na niego, ale gdy tylko doszedł do głównej ulicy, zobaczył rozpierzchnięte po całym torowisku bobasy, które machały do niego, krzycząc jeden przez drugiego:

– Wsiadamy, wsiadamy... czasu mało mamy.

Zanim zbliżył się do drzwi, kilkoro dzieci zdążyło wbiec przed nim, kilkoro popychało go do wejścia, a reszta ciągnęła go za ubranie. Ciągłe coś śpiewały, ale Sebastian już ich nie słuchał. Usiadł na drewnianym krzesełku, a na oparciu drugiego, które było przed nim, położył głowę i zamknął oczy. Zdawało mu się, że śni o wszystkim, co zdarzyło się do tej pory, jakby stukot tramwaju odmierzał czas do tyłu. Zobaczył małego samotnego chłopca na pustyni. Powinienem go wtedy zabrać ze sobą, pomyślał, ale zaraz uświadomił sobie, że wiele rzeczy powinien zrobić znacznie wcześniej. Przywołał wspomnienie ojca na chwilę przed pryśnięciem bańki. Ojciec mówił do niego. Sebastian chciał mu odpowiedzieć, ale nie zdążył. Tam też wszystko rozgrywało się zbyt szybko. Miał za mało czasu. Odszukał kolejne wspomnienie. Zobaczył, jak Luna odwraca się do niego plecami po tym, co dla niej zrobił. Chciał wykrzyczeć jej w twarz wszystko, co o niej myśli. Ale może na to też było za późno. Powinien inaczej zacząć tę znajomość. Może już nawet wtedy, gdy przyleciał do Poznania na prośbę dziadka. Teraz miał wrażenie, że rozjaśnia mu się w głowie. Wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

W tej właśnie chwili powinna się zacząć ta historia, pomyślał, chowając twarz w dłoniach. A może jeszcze wcześniej? – przemknęło mu przez myśl, gdy nagle z sennego odrętwienia wyrwał go pisk hamulców. Szarpnęło nim gwałtownie, a głowa

odskoczyła mu do tyłu. Nie wiedział, co się dzieje. Wszystkie maluchy pospadały z krzesłek, a niektóre poturlały się po podłodze. Jednak równie szybko się podniosły i zaczęły krzyczeć:

– Zaczęło się! Się zaczęło!

Sebastian spojrzął w okno i musiał unieść głowę. Widział to miejsce już wcześniej, ale teraz ledwo je rozpoznał. Wszystko, co w realnym świecie było płaskie i zdobiło fasadę kamienicy, teraz nie tylko się poruszało – do tego zdążył się już przyzwyczaić – ale rozciągało się i rozwarstwiało w niewiarygodny sposób, zajmując olbrzymią przestrzeń. Pomalowane na biało rzeźbione drzewo, które wcześniej zajmowało kilkumetrową przerwę między oknami ostatniej kondygnacji kamienicy, teraz zdawało się sięgać nieba. Oprócz tego miało kolor i połysk śnieżnobiałej porcelany. Liście również były białe, choć poruszając się lekko, chwytały światło i mieniły się bladoróżowym, błękitnym i stalowosrebrzystym blaskiem, jakby wykonano je z masy perłowej.

Wcześniej Sebastian widział niewielki owalny otwór, który miał być wejściem do Smoczego Portalu, teraz dostrzegał jedynie świetlistą lunę gdzieś w koronie drzewa, wirującą wewnątrz potężnych konarów. Poniżej grubego niczym kolumna pnia zwisały w powietrzu korzenie, sterczące na wszystkie strony. Między nimi wiła się Smoczyca. Wyglądała na kilkakrotnie większą niż wtedy, gdy ujrzał ją pierwszy raz. Mogła mieć dwadzieścia albo nawet trzydzieści metrów. Jaskrawozielone cielsko pokrywały czerwone plamy. Przez cały czas rozdziawiała paszczę, pokazując olbrzymie zęby. Rzucała się wściekle, na oślep, na wszystkie strony, i nieustannie obracała głowę. Korzenie drzewa prawie łączyły się z przedziwną zieloną ruchomą platformą sięgającą ziemi.

Sebastian chciał się temu lepiej przyjrzeć, ale poczuł, jak dzieciaki ciągną go za ubranie. Skierował się do wyjścia. Stał w drzwiach tramwaju.

Czy właśnie po tym mam się wspiąć? – pomyślał, nieco zdezorientowany.

Po chwili jednak zobaczył Lunę. Była już bardzo wysoko.



Eryk udawał, że śpi, już dobre pół godziny. Bał się, że zaraz naprawdę zaśnie. Leżał na fotelu pod kocem w mieszkaniu Edwina Pitta i zerkał ukradkiem na swoją mamę. Ta co chwila podchodziła do niego i sprawdzała, czy śpi, a potem z troską pochylała się nad Robertem Pittem, który leżał obok na łóżku, nie dając żadnych oznak życia. Co rusz nerwowo wyglądała też przez zamknięte okno, przykładając twarz do szyby. Erykowi wydawało się to dosyć dziwne, dlatego starał się czujnie ją obserwować, ale od dłuższego czasu nic więcej się nie działo. Mama przerzucała tylko książki leżące w całym mieszkaniu, wyraźnie czegoś szukając.

Gdy po raz kolejny odłożyła na półkę przekartkowany stos albumów i bez słowa podeszła do ojca Sebastiana, by poprawić poduszkę pod jego głowę, Eryk ziewnął, naciągnął cienki koc na głowę i zamknął oczy. Zaczął już nawet śnić, gdy nagle usłyszał stłumiony krzyk mamy. W pierwszym momencie chciał zerwać się na równe nogi, ale się powstrzymał. Wiedział, że jeśli tylko się poruszy, z pewnością niczego się nie dowie. Leżał więc dalej z naciągniętym na twarz kocem. Mama znowu podeszła do łóżka, na którym leżał Robert Pitt. Tym razem wyszeptała mu coś do ucha. Eryk zaczął nadśłuchiwać.

– Pojawił się... Może w ten sposób mu się uda. – Westchnęła. – Nie martw się, Sebastian jest wyjątkowy. Wiesz, ja dobrze znamam tych, którzy stworzyli ten portal... Nie robi mu krzywdy... Dobrze to przemyśleli – dodała po chwili, lekko chrząkając. – Uwierz mi – powiedziała i znowu głośno westchnęła.

Eryk był pewny, że teraz odgarnia włosy z czoła. Przeraził się. Wiedział, że mama kłamie albo nie mówi całej prawdy. Cekał na to, co jeszcze powie, gdy dobiegł go dziwny chrzęst w drzwiach wejściowych. Ona też musiała coś usłyszeć, bo powoli poszła do przedpokoju.

Eryk zsunął koc z twarzy i czujnie nadstawił ucha. Znowu rozległ się stłumiony krzyk.

Ciekawe, co zobaczyła tym razem? – pomyślał Eryk i wychylił głowę zza fotela.

Ujrzał kwadratowego osiłka, który trzymał jego mamę w uścisku potężnych ramion. Prowadził ją przodem, zasłaniając jej usta wielką otwartą ręką. Eryk dostrzegł przerażenie w oczach matki.



Sebastian stał i patrzył jak wryty na przedziwną konstrukcję, gdy poczuł, jak ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się. Za jego plecami stał Mistrz Asmuss. Próbował go objąć. Chłopak odsunął się na bok. Ręka Asmussa zawisła w powietrzu. Opuścił ją zdziwiony.

– Cóż, Sebastianie... przecież sam tego chciałeś. Marzenia czasem się spełniają – dodał już z uśmiechem. – Patrz!

Sebastian nie odpowiedział, tylko ponownie spojrzął na Lunę. Była już w połowie drogi ku korzeniom białego kamiennego drzewa. Chłopak miał wrażenie, że Luna idzie, a właściwie wspina się po przedziwnym drzewie, które przypominało zwyczajny dąb. Miało brązowe konary i zielone liście, ale rośło mocno pochylone i stale się poruszało. Dziewczyna czasami szła po nim wyprostowana, a czasami podciągała się na rękach. Bez względu jednak na to, czy robiła krok, czy wyciągała rękę, przed sobą miała pustkę. Wyglądało to tak, jakby drzewo rozrastało się wprost pod jej nogami albo tam, gdzie chciała się chwycić. Sebastian nie był tego jednak pewny, bo wciąż musiał mocno zaciskać powieki i ponownie je otwierać, by obraz, który miał przed oczami, nie znikał lub się nie rozmywał. To przekraczało wszelkie wyobrażenia, jakie powstały w jego głowie podczas rozmowy ze stryjcem Oskarem. Zobaczył też Strażników Progu. Gdy patrzył na cztery przedziwne tarcze machające błoniastymi skrzydłami, wątpił, czy Luna w ogóle jest w stanie dotrzeć do tych drzew.

– Uda jej się – wyrwał go z zamyślenia zadowolony głos Asmussa.

– Prawdopodobnie tak – zgodził się Sebastian, zrobił krok do przodu, ale w tym samym momencie poczuł raptowne szarpnięcie za ramiona.

– Dokąd idziesz?! – usłyszał.

Powoli odwrócił głowę. Spojrzał Asmussowi w oczy i zdjął ze swoich ramion jego ręce.

– Popatrz z bliska, jak się jej udaje – wyjaśnił spokojnie.

– Zginiesz! – krzyknął Asmuss.

– Trudno – odpowiedział Sebastian z uśmiechem na ustach. – Ale nie chcę tego przegapić.

– Ty... ty nie masz pojęcia, na czym polega ta władza... – Sebastianowi zdawało się, że po raz pierwszy usłyszał bezradność w głosie Asmussa.

Chłopaka zdziwiło jego własne zachowanie, ale gdy mówił Mistrzowi, że chce zobaczyć Lunę z bliska, był szczery. Dopiero gdy spojrzał Asmussowi w oczy, przypomniał sobie wszystko, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni. Nagle przestał się przejmować tym, co się może stać. Ruszył przed siebie.

– Sebastianie, zaczekaj! – usłyszał jeszcze głos Asmussa, ale już się nie obejrzał.

Szedł w kierunku tarcz. Zdawało mu się, że nad głową dostrzegł Sokoła, ale nie był tego pewien. W powietrzu roiło się od przeróżnych latających stworów o skrzydłach pierzastych, błoniastych, kolorowych i przezroczystych, a oprócz nich wokół wiły się bezskrzydłe czarne długie węże. Zauważył też mnóstwo zwierząt i dziwnych postaci, łącznie z trzymającymi się za ręce nagimi kochankami. Wszyscy spoglądali na niego i ustępowali mu z drogi. Widocznie nikt już nie miał takiej mocy, by go z tej drogi zawrócić. Daleko za plecami usłyszał chóralny jazgot:

– Kciuki trzymamy... na powrót czekamy...

Sebastian uśmiechnął się tylko i podniósł rękę, zastanawiając się, czy jeszcze je kiedyś zobaczy.

Chciał się nawet odwrócić, gdy nagle usłyszał głośny jęk wszystkich dookoła. Zatrzymał się. Spojrzał na drzewo. Luna wisiła na nim, jedną ręką kurczowo trzymając się konaru, który błyskawicznie zaczął się kurczyć do rozmiarów drobnej gałązki,

jakby rósł wstecz. Chłopak nie miał pojęcia, jak to zrobiła, ale szybko przerzuciła nogi, zawisając na moment głową w dół, a po chwili znowu stała. Sebastian odetchnął cicho, a wraz z nim – znacznie głośniejsze – reszta obserwatorów.

To taki cyrk? – pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

– Myślisz, że to taka gimnastyka? – usłyszał i nagle zobaczył przed sobą upiorną kwadratową maskę, która wystawała zza srebrzystometalicznej tarczy.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy wokół niego pojawiły się trzy kolejne tarcze. Wszystkie stały na krótkich koślawych, trójpalczastych nóżkach, po bokach miały wielkie półprzezroczyste błoniaste skrzydła, którymi nieustannie machały. Z każdej z nich wyrastała łodyga z trzema kwiatami. Kwiatki różniły się nieco od siebie, ale nie tak bardzo jak głowy wychylające się zza tarcz. Oprócz maski pojawiła się główka jakiegoś śmiesznego stwora z wielkimi uszami, brodatego starca i lwa. Postacie go okrążyły.

– Cóż, wymaga to chyba pewnej sprawności – odpowiedział Sebastian.

Zdawało mu się, że niewiele pamięta z tego, co mówił mu stryj Oskar, ale rozpoznał Strażników Progu. Wiedział, że będą starali się odwieść go od zamierzonego przedsięwzięcia. Nie powinien ich lekceważyć, bo tacy jak oni potrafią zawrócić człowieka z drogi, jeśli nie widzi się jej zbyt wyraźnie. Nie może się też ich bać. Pocieszyła go tylko myśl, że oprócz maski reszta nie wyglądała zbyt groźnie.

– Myślisz, że o sprawność tu chodzi? – zapytał brodaty starzec.

– Tak to wygląda – rzekł Sebastian, obserwując wciąż rosnące przed nim gałęzie.

Z bliska widział dokładnie, że rozrastająca się tuż za tarczami gęstwina to trzy różne drzewa – jedno przypominające dąb, po którym wspinała się Luna, miłorząb oraz drzewo o zielonych liściach w kształcie serca, którego nie rozpoznawał. Dojrzał jeszcze winorośl pełną splecionych zdrewniałych pni i wijących się pnączy.

– Mylisz się! – zaoponowała głowa lwa. – Sprawność może

pomóc, ale ten sprawdzian dotyczy czegoś innego.

– Będziesz musiał przewidzieć, jak się rozwinie twoja historia, a nie ją odgadnąć – oznajmiła dosadnie głowa brodatego starca.

– Nawet jeśli są to tylko zwykłe gałęzie, Sebastianie – odezwała się tym razem śmieszna twarz z wielkimi uszami. – Idąc po nich, musisz stawiać kroki w pustkę, taką samą jak nieznaną nam przyszłość... I nikt nie wie, czy to droga kieruje ciebie, czy ty kierujesz swoją drogą.

– Jakie to ma zatem znaczenie? – zapytał Sebastian. – Skoro i tak wciąż trzeba dokonywać wyboru – dodał, wzruszając ramionami.

– Twoim wyborem może być teraz również rezygnacja, jeśli jest to dla ciebie niebezpieczne – przestrzegła głowa lwa.

– Nie sądzę – odpowiedział Sebastian, czując ogarniające go znużenie.

Chciał iść dalej, a nie gadać z tarczami. Był pewny tego, co zamierzał zrobić.

– Jesteś tego pewien? – zapytała śmieszna twarz z nieskrywaną kpina, jakby czytała w jego myślach.

– Jestem! – odrzekł Sebastian, uniósł podbródek i poczuł, że to właściwy wybór.

– Czy nie uważasz, że każdy twój krok był do tej pory błędem? – zapytał głos spod maski.

Sebastian spuścił głowę. To prawda. Miał poczucie porażki. Wszystko, co zrobił, okazało się przecież błędem, każdy wybór był chybiony. Ojciec był na granicy śmierci, z Gryfa uszło życie. A Luna... Może rzeczywiście nie powinien tam iść. Do niczego się nie nadaje... Dlaczego przez chwilę wydawało mu się, że może to jeszcze naprawić? Znowu komuś uwierzył? Wiele chaotycznych myśli kłębiło mu się w głowie. Ogarnęła go senność. Może lepiej zasnąć, obudzić się i sprawdzić, co się stanie? Uniósł głowę i zobaczył lwie oczy. Tak! Lavian w niego wierzył! Mizar też w niego wierzy! Nie podda się!

– Być może popełniałem błędy – odezwał się po chwili. – Nie wiedziałem, po czym chodzę, a teraz widzę te gałęzie, i już! Chyba... – dodał z uśmiechem, wpatrując się w lwią głowę.

Miał wrażenie, że chrapy lwa się uniosły.

– Droga zatem jest przed tobą – przemówiła poważnym tonem głowa brodatego starca. – Wybierz drzewo, Sebastianie. Tego wyboru nie możesz zmienić – dodała głowa i każda z czterech tarcz stanęła w pobliżu czterech pni.

Sebastian spojrział na lwa. Za jego plecami wiły się pnącza. Trochę żałował, że nie reprezentuje jednego ze stabilnych drzew, ale z jakiegoś powodu właśnie ta postać wydała mu się najbardziej przyjazna. Podeszedł do niego.

– Ruszaj w swoją przyszłość, Sebastianie – odezwała się tarcza z lwim pyskiem i stanęła bokiem, odsłaniając przejście. – I pamiętaj, że przeszłość tworzy się według niej. Kiedyś to zrozumiesz...

– Jak się obudzę. Mam nadzieję – odpowiedział Sebastian.



Eryk znowu wyjrzał jednym okiem spod koca. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale ten wielki mężczyzna nie zauważył, że ktoś leży na fotelu. Chłopiec starał się nie ruszać, choć zdawało mu się, że cały się trząsł, gdy osiłek kneblował jego mamie usta i przywiązywał ją do krzesła. Raz udało mu się na nią zerknąć. Dostrzegła to i zmarszczyła brwi. Eryk znał to spojrzenie. Wystarczyło. Zrozumiał, że ma się nie ruszać i nic nie robić. Było to bardzo trudne. Napastnik jedną ręką pociągnął nogę Roberta Pitta, a ten bezwładnie spadł z łóżka na ziemię. Potem powłókł go za nogi przez cały pokój, a głowa mężczyzny odbijała się od posadzki.

Jeśli tata Sebastiana jeszcze żyje, to na pewno za chwilę umrze, pomyślał Eryk i zaczął płakać.



Z początku nie było to trudne. Sebastian szedł po zdrewniałej gałęzi winorośli, nachylonej pod niewielkim kątem. Przypominało to wspinanie się po koślawej drabinie. Tylko że szczeble pojawiały się prawie równocześnie z każdym kolejnym

krokiem. Pomyślał, że to rzeczywiście żaden wyczyn. Przypomniał sobie słowa stryja. Teraz mu wierzył. Stryj uważał, że przejdzie ten etap, musi tylko zaufać sobie. Brzmiało to banalnie. Sebastian widział Lunę. Była już daleko i wysoko, ale gdyby szedł w takim tempie, mógłby dogonić ją bardzo szybko. Był zadowolony z siebie. Nie dał się zwieść Strażnikom. Poczł dumę. Przynajmniej na początku. Potem zaczęło robić się trochę gorzej. Nie wiedział, czy dopadają go wątpliwości, czy też może droga staje się bardziej stroma, a gałęzie bardziej wiotkie. Stawiał jednak krok za krokiem. Mimo że wyciągał nogę w pustkę, to zawsze jakaś gałąź pojawiała się pod jego stopą. Ale gdy tylko przez ułamek sekundy zaświtało mu w głowie, że może jednak wyprawa w kierunku Portalu to kolejny zły wybór, noga wpadła mu w pustkę, ledwo zdołał chwycić się rękami i podciągnąć na pnączach, które owinęły się wokół jego nadgarstków. Przestraszył się. Znajdował się już dość wysoko i nie było tu nic, czego mógłby się chwycić. Zrobił kilka dalszych kroków, rozłożył ręce, by złapać równowagę, i obejrzał się za siebie. Zdawało mu się, że nie zdążył o niczym pomyśleć, a był już obiema nogami w pustce. Majtał nimi w powietrzu, trzymając się pnączy tylko jedną ręką. Drugą nerwowo szukał chwytu. Nagle koło prawej stopy pojawił się gruby konar dębu. Wydawał się nieco zbutwiały, a Sebastian bez trudu mógł do niego doskoczyć i zsunąć się prosto na ziemię. Dałby radę. Ledwie o tym pomyślał, z zaciśniętej pięści wysunęło się pnącze, którego się chwycił. Spojrzał do góry. Luna była już prawie przy samym wierzchołku. Nie miał siły dłużej wisieć. Patrzył tylko, jak doskoczyć do pnia i zsunąć się na ziemię, gdy mignął mu przed oczami mały chłopiec z pustyni. Z początku widział go wyraźnie, później malec wyciągnął do niego rękę i zaczął się rozsypywać, jakby był z piasku. Sebastian z przerażenia zamknął oczy, mocno zaciskając powieki. Pragnął, by ten obrazek zniknął. Stryj Oskar mówił, że teraz będą mu się śniły różne złe historie. Miał przeczucie, że z ojcem dzieje się coś niedobrego.

Nie będę się bał. Nic gorszego ponad to, co się wydarzyło, nie może się stać! – pomyślał i przestał patrzeć w dół, choć trzymał

się już tylko cienkiej witki.

Zaczął się rozglądać. Wydawało mu się, że wokół nie ma żadnego oparcia. Gałęzie były za wysoko, ale Sebastian puścił witkę bez strachu. I nagle, nie wiadomo skąd, tuż nad jego głową zawisło kolejne pnącze. Zdążył je chwycić bez trudu. Potem pojawiło się następne. Po chwili miał już pod nogami błyskawicznie drewniejące splątane pnie. Przestał nawet patrzeć pod nogi. Robił krok za krokiem, wyciągał ręce i łapał się pnączy, jakby szedł w parku linowym. Za każdym razem stopy znajdowały oparcie, a dłonie chywyty. Sebastian nie wiedział, czy to złudzenie, ale wydawało mu się, że biegnie. Po chwili był już tego pewien. Bardzo wyraźnie widział nad sobą Lunę. A ona zaczęła popełniać błędy. Odwracała się raz za razem i potem musiała się ratować, podciągając się mozolnie. Sebastian był już tak blisko, że prawie widział jej twarz.

– Nie bój się, nie myśl, tylko idź! – krzyknął.

Chciał jej pomóc. Dotarli już prawie do korzeni białego drzewa. Za chwilę będą mogli na nich usiąść. Nie wiedział, co się może wydarzyć. Ale kolejny etap zaczną równo.

I wtedy Luna spadła. Była już niemal przy wierzchołku, tak jak on, a spadła dwa konary niżej. Wisiała, trzymając się kurczowo gałęzi, która wygięła się tak, że trzeba by było wielkiej wiary, aby się jej puścić i chwycić czegokolwiek. Wokół Luni była pustka. Tylko gdzieś daleko w dole migąła ziemia. Do najbliższego konaru dziewczyna miała co najmniej parę metrów. Spojrzał na nią. W jej oczach pojawiły się łzy. Kołysała się na gałęzi, która w mgnieniu oka zaczęła próchnieć. Słyszał już, jak trzeszczy.

Widział, jak rozwiewają się brązowe włosy Luni...

Ruszył do niej. W dół. Nie miał pojęcia, co się zdarzy, ale nie zastanawiał się nad tym. W dół szło się tak samo jak w górę. Pnie zdrewniałych winorośli układały się pod stopami niczym schody, a cienkie pędy służyły za poręcze. Po chwili Sebastian był już przy dziewczynie. Wyciągnął rękę.

– Nie chcę, żebyś mi pomagał! – krzyknęła Luna ostatkiem sił.

Miała wykrzywioną z wysiłku twarz. Jej palce zsuwały się z konaru. Z oczu płynęły łzy.

– Myśle, że chcesz – odrzekł i sam się zdziwił.

Nigdy wcześniej nie słyszał takiej pewności w swoim głosie. Widział też zdumienie na twarzy Luny.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytała, pociągając nosem.

– I tak nie wiem, co mam robić dalej – powiedział Sebastian, wciąż wyciągając rękę w jej stronę. – Mam nadzieję, że mi pokażesz, a potem i tak cię przegonię – dodał z uśmiechem.

Konar, którego trzymała się Luna, zatrzeszczał tak mocno, że było tylko kwestią sekund, kiedy się złamie. Chwyliła dłoń Sebastiana jedną ręką.

– A teraz po prostu idź przed siebie! – nakazał. Luna spojrzała na niego badawczo. Była zdana na jego łaskę. Gdyby ją puścił, nie miałyby już żadnych szans. Wiedział, że o tym myśli. – Nie puszczę cię, nie bój się – powiedział najłagodniej, jak potrafił.

– Wiesz, że muszę zdobyć ten Portal! Za wszelką cenę! – krzyknęła, patrząc mu prosto w oczy, jakby chciała coś z nich wyczytać.

– Teraz już wiem – odrzekł. – Trzymaj się mnie, ale nie patrz na mnie, tylko idź naprzód. Wyciągnij rękę albo nogę, nie wiem, spróbuj – dodał.

Luna nie wierzyła mu, ale spróbowała. W pierwszej chwili nic się nie zdarzyło. Bezskutecznie wyciągała rękę. Ale zaraz jedna z gałęzi nachyliła się sama, potem – druga. Dziewczyna natychmiast puściła dłoń Sebastiana i szybko chwyciła się obu gałęzi. Ruszyła przed siebie tak zręcznie, że po paru sekundach zniknęła w gęstych konarach dębu.

– To gdzie się spotykamy? – zapytał Sebastian.

– Ty na tym białym drzewie, a ja na tamtym... I trzymaj się ode mnie z daleka – dodała, wychylając się zza konarów. – Dobrze ci radzę – usłyszał wyraźnie, choć już jej nie widział.

Dopiero potem zauważył, że po bokach wielkiego białego drzewa są dwa mniejsze, łączące się z nim koronami. Ich korzenie też zwisały w powietrzu. Ale najważniejsze było to, że krążąca wokół głównego drzewa Smoczyca trzymała się od nich w bezpiecznej odległości. Wyglądało na to, że tylko syczy, wysuwając paszczę, ale nie oddala się od świetlistej łuny

wirującej gdzieś w środku głównej korony. Sebastian nie chciał się z nią spotkać, więc ucieszył się, że chwilę odpocznie. Przez moment myślał nawet, aby podążyć za Luną, ale obawiał się, że dziewczyna znowu się wystraszy, i ruszył w przeciwną stronę. Nie miał ochoty się z nią zмагаć, a poza tym ta rywalizacja wydawała mu się jeszcze bardziej umowna niż rozważne chodzenie po rosnących pod stopami gałęziach. Miał dziwną pewność, że wynik tego wyścigu jest już przesądzony. Nie wiedział tylko na czyją korzyść.

Dość szybko znalazł się przy korzeniach mniejszego drzewa po prawej stronie. Były tak wygięte, że bez problemu można było na nich usiąść, więc Sebastian zrobił to i zaczął gładzić ich powierzchnię. Była śnieżnobiała, zimna w dotyku i gładka jak doskonale zeszlifowany kamień lub porcelana. Przede wszystkim śliska. Nie kłamał, gdy mówił, że nie ma pojęcia, co robić dalej. Stryj Oskar opowiadał mu tylko, że najprawdopodobniej trzeba się będzie wspinać po białym drzewie. Teraz był pewny, że stryj nie wiedział, o czym mówi. To było niemożliwe. Dużo mówił mu o Smoczycy, opisując ją jako jedno z najbardziej pierwotnych i dzikich stworzeń, z którym nie można nawiązać kontaktu. To mogła być prawda. Podobno nikt nie wie, jak prymitywną logiką się kieruje, ale i tak trzeba spróbować ją okiełznać, bo bezpośrednio strzeże Portalu i jest bardzo niebezpieczna. Zerkał na nią i doszedł do wniosku, że to by się z grubsza zgadzało. Przypominała mu wściekłego psa. Nie miał najmniejszej ochoty usłyszeć jej rżężącego syku gdzieś w okolicy ucha.

Może Luna ma na nią jakiś sposób, pomyślał i popatrzył w bok. Jeszcze jej nie było. Czuł, że niedobrze robi mu ten odpoczynek, ale znowu potwornie zachciało mu się spać. Przysunął się więc do pnia, objął go rękami i zamknął oczy. Pod powiekami pojawiały mu się prawie wszystkie stwory, które spotkał na swojej drodze. Nie wiedział już, czy wspomina, czy śni, czy to sprawa tych ziaren maku. Czuł tylko, że jego ciało mięknie i zaczyna układać się do snu, że chce to wszystko oglądać z zamkniętymi powiekami.

Tylko na chwileczkę, pomyślał.

– Obudź się w końcu! – usłyszał nagle krzyk i przetarł oczy. – Może ty, mądralo, wiesz, jak się po tym wspiąć?!

Podniósł się do pionu, ze zdziwieniem stwierdzając, że leżał. Zza swojego pnia dojrzał Lunę. Była kilkanaście metrów od niego, ale słyszał ją doskonale. Nie miał pojęcia, jak długo spał, lecz jedno było pewne. Musiało upłynąć tyle czasu, ile zajęło Lunie wypróbowanie wszelkich znanych jej sposobów, by dostać się wyżej. Uśmiechnął się pod nosem. Widocznie żaden nie był skuteczny.

– Ja nie wiem. Tobie nikt tego nie powiedział? – zapytał po chwili.

– Pewnie nie, skoro tu tkwię! – wrzasnęła, odgarniając ręką włosy z czoła.

Zaczął się rozglądać. Czuł się jak w bajce. Była dziewczyna, był latający smok, nad nim było białe drzewo, którego lśniąco niczym perły liście nie szeleściły, tylko wydawały dźwięki szklanych dzwonek. Wsłuchał się w nie i znowu spróbował oprzeć się o pień. Właściwie nie mógł sobie przypomnieć, po co i dlaczego się tu znalazł. Wydało mu się to zresztą mało ważne.

– Obudź się wreszcie! – usłyszał ponownie krzyk Luny.

Sebastian nie wiedział, czy jej posłuchać, czy położyć się znowu. Gdy tylko o tym pomyślał, spojrział na miejsce, w którym tak wygodnie spał, i prawie się obudził z wrażenia. Korzeń razem z pniem wygięły się i rozpląszczyły tak, że utworzyły legowisko. Wyglądało to niczym odlew jego ciała. Sebastian mógł dostrzec, gdzie leżała ręka i gdzie miał głowę. Zaczął gładzić te miejsca i rozmyślać. Jakim cudem uformowało się to jak plastelina, skoro teraz, gdy tego dotyka, jest twarde jak kamień? Już to gdzieś widziałem, pomyślał, a gdy go oświeciło, niemal zabrakło mu tchu. Przypomniał sobie, jak się dusił, i dopiero po chwili się opanował. Jeszcze raz dotknął śliskiej i zimnej powierzchni. Miętko objął ją palcami. Bez wysiłku, delikatnie. Zadziałało. Powierzchnia zaczęła się uginać, tworząc plastyczne wgłębienia. Najpierw podciągnął się jedną ręką, potem drugą. Zwyczajnie wstał. Objął pień kolanem i stopą, która wniknęła w miękką materię drzewa. Bez trudu mógł się po nim wspiąć.

– Patrz! – krzyknął do Luny i wszedł wyżej, gdzie już prawie mógł dotknąć konarów mniejszego porcelanowego drzewa.

– Jak to robisz? – krzyknęła dziewczyna z rozpaczą i wściekłością.

Nie wiedział dlaczego, ale zaczynało go to bawić.

– Po prostu wchodzę. Spróbuj być delikatniejsza, może ci się uda. – Wspiął się wyżej i chwycił ręką konar.

– Przestań! – wrzasnęła, bezsilnie próbując złapać się pnia.

Nawet gdy Lunie udało się odrobinę podciągnąć, to i tak zaraz zjeżdżała w dół. Sebastian postanowił jeszcze przez chwilę na to popatrzeć i poczekać, aż dziewczyna się zmęczy.

– Ja muszę... – jęknęła w końcu, siadając na korzeniu. – Po co w ogóle się tu pojawiłeś? – dodała i schowała twarz w dłoniach.

– Może po to, żeby ci pokazać, jak to się robi – odpowiedział i podciągnął się jeszcze wyżej.

Spokojnie usiadł na gałęzi i na dodatek wygiął ją tak, że służyła mu za podpórkę na rękę, po czym oplótł ją sobie wokół dłoni jak miękki pęd.

Luna spojrzała na Sebastiana z nieskrywaną nienawiścią. Uderzyła pięścią w drzewo. Znowu jęknęła, tym razem z bólu.

– W ten sposób nigdy ci się nie uda... – zaczął Sebastian.

– Zobaczymy! – krzyknęła Luna i zrobiła coś dziwnego.

Włożyła rękę do kieszeni, wyciągnęła z niej coś i długo patrzyła na swoją dłoń. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że trzyma białą połyskującą kulkę. Potem ją połknęła.

– Teraz ty patrz! – krzyknęła, a Sebastian rzeczywiście nie mógł oderwać od niej wzroku.

Zaczęło dziać się coś dziwnego. I nie tylko on to zauważył. Zdawało mu się, że liście drzewa zastukały o siebie znacznie głośniej. Smoczyca rzuciła się w kierunku dziewczyny z przeraźliwym sykiem, a Luna wstała i zamarła w bezruchu. Jej twarz i ciało nabierały innego koloru. Najpierw zaczęła lśnić, a potem pokrywać się coraz grubszą przezroczystą masą, która oblepiała ją całą. Warstwa ta powoli szarzała i zsuwała się z niej, płynąc w górę. Wyglądała jak zrzucona skóra węża, która zlazła z Luny. Im wyżej się podnosiła, tym bardziej nabierała ludzkich

kształtów. Widać już było zarys głowy i ramion, jeszcze rozmazany, ale coraz wyrazistszy. Luna za to jakby wiotczała. Najpierw ugięły się jej kolana, potem zaczęło się wyginać całe ciało. Dokładnie w tych miejscach, gdzie zsuwała się z niej oblepiająca ją warstwa. W końcu uformowała się nad nią pełna postać. Była przedziwna. Wyglądała jak rzeźba kobiety. Z nagimi piersiami, ale w długiej sukni.

– Krathhhh akhhhhhar! – krzyknęła postać głosem, który odbijał się jak echo. – Głupie dziewczysko. Za wcześnie... – dodała, przechylając głowę w przedziwnym skręcie i patrząc na znajdującą się pod nią Lunę. Twarz dziewczyny zasłaniał jeszcze skrawek powiewającej w powietrzu sukni kobiety. – Już nie jesteś nikomu potrzebna... Giń – powiedziała i gdy tylko uniosła się wyżej, Luna zaczęła się osuwać, jakby mdłała.

Była wiotka i bez życia. Jej ciało zsunęło się z korzenia i zaczęło spadać. Sebastian nie był pewien, czy widzi tę scenę w zwolnionym tempie, czy też Luna powoli opada niczym liść, z rozwianymi brązowymi włosami. Krzyknął i szarpnął się, chcąc rzucić się za nią, ale gałąź, którą wcześniej dla zabawy oplótł sobie rękę, teraz trzymała go mocno. Nie potrafił wyswobodzić ręki. Miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy, gdy nagle Luna zawisła na jakiejś wysuniętej gałęzi. Wisiała bezwładnie, zgięta w pół, z opuszczoną głową i nogami. Sebastian znowu bezskutecznie się szarpnął.

– Luna! – krzyknął.

Nie reagowała.

Kobieca postać obrzuciła go wzrokiem pełnym pogardy i bez większego zainteresowania uniosła się wyżej, w kierunku głównego drzewa. Gdy dotarła na wysokość wirującej ciągle łuny, zatrzymała się. Smoczyca zaczęła się przed nią wić z sykiem.

– Jestem Astarte – przemówiła postać. Sebastian miał wrażenie, że jej głos wkręca mu się w mózg. – Jestem Innaną... Jestem Isztar... Boginią miłości i wojny. Zejdź mi z drogi – powiedziała, a Smoczyca zwinęła się tak, że wyglądała jak przestraszona jaszczurka, po chwili zaś zniknęła w korzeniach drzewa.

– I to wystarczyło! – wrzasnął Sebastian, patrząc, jak kobieca

postać bez trudu wnika w koronę drzewa. – Wielka prymitywna moc! – prychnął. – Zejdź mi z drogi! – jęknął, patrząc na wiszącą ciągle w dole Lunę.

Teraz za wszelką cenę chciał się uwolnić i rzucić się Lunie na ratunek. Wiedział, że konar nie utrzyma jej długo. Postanowił się uspokoić i znowu spróbować miękko odgiąć gałąź, ale z drzewem też zaczęło się dziać coś dziwnego.

Jego powierzchnia się zmieniała. Robiła się matowa, chropowata i nabierała szarego koloru. Sebastian spojrział w górę. Drzewo, które było śnieżnobiałe, zaczęło od góry czernieć, jakby gniło. Najpierw jego czubek, a potem reszta. Równy, jakby ktoś wlał w nie substancję barwiącą, która spływała po gałęziach. Wyglądało to jak rozlewająca się po nim choroba. Chłopak się przeraził. Wiedział, że dzieje się coś bardzo złego, a poza tym zgnilizna zbliżała się powoli w jego stronę. Im bardziej się bał, tym bardziej się szarpał, a przez to miał mniejsze szanse na wyswobodzenie się z ciągle trzymającego go uchwytu, lecz strach był silniejszy. Nad sobą widział już czerniejące liście, gdy nagle pojawił się przed nim jaskrawozielony pysek Smoczycy.

– Teraz!? – krzyknął, widząc, jak otwiera paszczę. – Teraz próbujesz coś zrobić!?

– Ten moment jest równie dobry jak każdy inny. Witaj, Sebastianie.

Chłopak nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zaczął się nawet rozglądać dookoła. Nie przypuszczał, żeby głos należał do tego prymitywnego, głupiego, dzikiego zwierzęcia, o którym opowiadał mu stryj Oskar. Z tej paszczy nie mógł przecież wydobywać się dźwięk, który brzmiał jak kojąca melodia. Ale nikogo innego w pobliżu nie było.

– Kim ty jesteś? – zapytał.

– Tym, co widzisz, Sebastianie – usłyszał ponownie głos Smoczycy.

Nie wiedział, czy sprawił to ten głos, czy to, że lekko i prawie niezauważalnie wiła się w powietrzu, ale teraz widział ją zupełnie inaczej. Patrzył w jej wielkie czarne oczy, które wydawały mu się łagodne i mądre.

– Dlaczego jej na to pozwoliłaś? – zapytał.

– Ja? – odparła Smoczyca tonem, w którym pobrzmiwał śmiech. – Spójrz – powiedziała i podniosła łeb.

Sebastian podążył za jej wzrokiem. Drzewo było już w połowie czarne, ale od góry znowu zaczynało się rozjaśniać, a oślepiająca biel powoli spychała już czerń ku dołowi. Nie miał pojęcia, ile to trwało, bo patrzył zafascynowany, jak drzewo odzyskuje czystość. Cała zgnilizna, która je wcześniej opanowała, spływała teraz w dół do pnia, a potem pniem do korzeni. Cokolwiek to było, zaczęło kapać z korzeni lepka, glutowatą mazią.

– Dlaczego Lunie się nie udało? – zapytał w końcu Sebastian.

– Cóż, widocznie nie było jej to jeszcze pisane. A ty, Sebastianie, osiągnąłeś swój cel.

– Jak?! – spytał ze zdziwieniem.

– Każde z was mogło to uczynić. Każde na swój sposób. Ty zrobiłeś to tak – powiedziała i spojrzała na jego rękę.

Sebastian dopiero teraz zauważył, że cała zbielała. Przez chwilę pomyślał, że pewnie dlatego, iż nie dopływa do niej krew. Prawie przez cały czas na niej wisiał. Ale teraz, gdy jej dotknął, poczuł się dziwnie. To była jego ręka, czuł ją, a jednocześnie wydawała mu się jak z porcelany, z tej samej substancji, która tworzyła drzewo. Ręka zaczęła się z nim zlewać. Zdziwił się, ale nie przeraziło go to. Przeciwnie. Poddał się temu. Po chwili już wiedział, że potrafi wnikać w nie cały. I było to przyjemne uczucie panowania nad czymś, nad czym panować się nie da.

– Tylko dlatego, że chwyciłem się tego drzewa? – zapytał rozbawiony, patrząc, jak wokół niego zaczyna wirować świetlista luna.

– Nie – usłyszał dźwięczny głos Smoczycy, która wiła się, oddalając się od niego. Sebastianowi mignął tylko jej ogon. – Dlatego, że chciałeś się puścić. Dla niej – dodała już z daleka. – I nie martw się o Lunę. To, co jest teraz, przestaje się liczyć – dobiegły go słowa Smoczycy, choć już prawie jej nie widział.

Nie widział też Luny. Ale pomyślał, że od teraz wszystko będzie wyglądać całkiem inaczej.

ROZDZIAŁ 1

A TA HISTORIA ZACZYNA SIĘ OD TERAZ

Eleonora Ramke chwyciła się za głowę. Ciepły wieczór idealnie nadawał się na spacer z psem. Zdziwiła się więc bardzo, gdy nagle poczuła świst powietrza, który targnął misternie upiętym wielkim kokiem, tak że połowa siwych włosów opadła jej na oczy. Kobieta odgarnęła je z oburzeniem. Rozejrzała się gniewnie dookoła, szukając sprawcy, ale nikogo nie zauważyła. Ulica była prawie pusta, w niektórych oknach starych kamienic na Limanowskiego paliły się już światła. Eleonora omiotła okolicę podejrzliwym spojrzeniem, dopóki nie ujrzała gałęzi chwiejących się nad głową.

– Wracamy do domu! Będzie padać! – zawyrokowała, gdy w sklepowej szybie supermarketu dostrzegła swoje potargane włosy i liść na głowie. Strzepnęła go. Poprawiła szeroki szal. Zrobiła krok do przodu i stanęła. Smycz, na której prowadziła pieska, nagle się naprężyła. Kobieta odwróciła głowę i otworzyła szeroko oczy, dziwiąc się po raz drugi. Jej mały biały maltańczyk usiadł na chodniku i z całych sił zaparł się przednimi łapami. – Się moje maleństwo wiatlu psestłasyło? – zapytała cienkim głosem, nachylając się nad zwierzakiem. – Cy tego paskuda? – dodała, gdy kątem oka zobaczyła burego kundla z przesadnie długim tułowiem na krótkich łapach. – Poczekamy, aż sobie pójdzie, niedobry... – oznajmiła, biorąc pieska na rękę, chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamarła z otwartymi ustami.

Drugą stroną ulicy biegł jakiś człowiek, wymachując rękami. Wyłonił się z mroku i dopiero w świetle latarni Eleonora zobaczyła go dokładnie. Miał na sobie rozchełstaną białą koszulę, która wyglądała na porwaną. Był siwy i zgarbiony, strasznie dyszał, przewracał się, wstawał, ale próbował biec dalej. Najwyraźniej przed czymś uciekał, choć nikt go nie gonił. W końcu stanął i zaczął kręcić się w kółko, zasłaniając twarz

rękami, jakby się przed czymś bronił i odganiał coś, co przygniatało go do ziemi.

Ale tam również nic nie było! Eleonora Ramke widziała to wyraźnie. Zerwał się tylko wiatr. Musiała odgarnąć włosy z oczu, żeby lepiej widzieć, i cały czas przytrzymywać je ręką, bo po ulicy zaczęły wirować drobne śmieci, unosząc się wysoko w powietrze. Cofnęła się pod ścianę... bo nagle, nie wiadomo skąd, w kierunku mężczyzny zaczął biec młody chłopak w bluzie z kapturem.

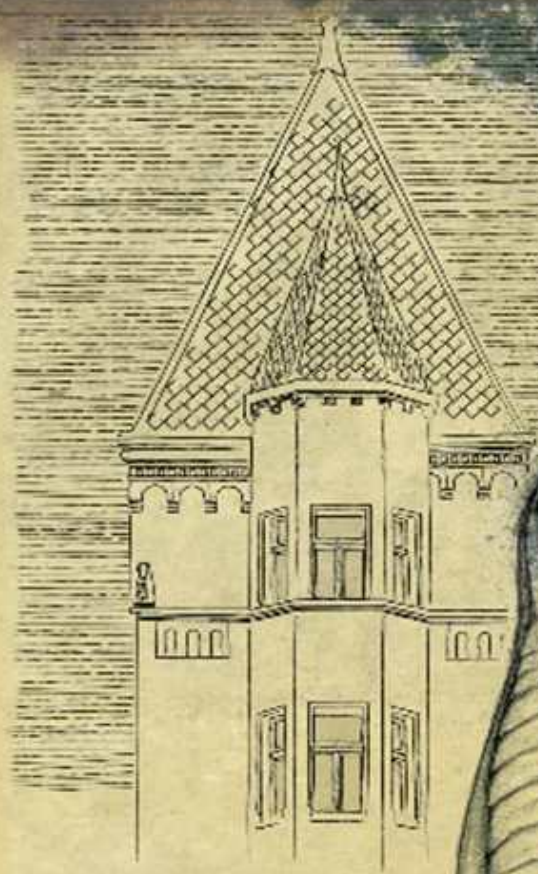
Gryps, (-phis, m.) sive gryphus,
 est animal fabulare corpore leonis,
 capite aquilae, auribus asini.
 femina alas aquilinas habet;
 mas spiras projectas habet
 pro alis et mirus frequenter
 depictus est. Gryps plerumque
 cruribus quattuor, alis et
 rostro aviaro, ungulibus
 aquilinis pro brachiis leonis,
 et auribus asininis e calvaria
 proiciens representatur.
 Nonnulli auctores dicunt
 caudam esse serpentem.



Basilisk

Se også: Basilisker, en gruppe iguaner. Fabeldyret basilisk framstilt i en tysk utgave av Gaius Plinius Secundus' *Naturalis historia*. Denne utgaven av boka ble illustrert av Just Amman og utgitt av Johann Heiden i 1564. Fabeldyret basilisk framstilles ofte som er blanding av slange, drage og hane, gjerne oppreist og med krone. Statue ved Tisat-borgen i Rijeka i Kroatia. En basilisk er et fabeldyr i gresk og europeisk mytologi og folketro.





ULICA WISZYNSKIEGO 26
50.200



falcor - suctor lamentorum,
profusionum sanguinis
et universae in regno miseriae

Hardenbergstraße 26



ULICA LIHAWUSKIEGO 15

Friedenstraße 15



Cercopitheca

Myppianinga 26

Longa Indivisa
et funditus de terra
et in altum 400
et in longum 400



Ludwik Thielmann

Interes pokrywania dachów
POZNAN
Grzyba 29a — Tel. 1587

wszelkich prac dekarskich.

gotowe pokrycie kościołów,
pałaców i wsi

wielki stach dachów oraz tynktem
po obłożeniu gipsowem

Wszystkie prace wykonuje się szybko i solidnie

Najlepsze warunki płatności
i. stawy od 1914

Jan Raczyborski

z r. p.
w Poznaniu

Wyroby gipsowe

Sztukaterye

Prace rzeźbiarskie

Wykonuje się wszelkie prace rzeźbiarskie

15 35



Augustastrasse 11 Magdalenschein 44

Stanisław Prendki

Poznań
Grzyba 29a — Tel. 1587

Zakład
artystyczno-rzeźbiarski
i budowlany

Wykonuje wszelkie prace rzeźbiarskie,
szkice, modelowanie, malowanie i tynkowanie

Stroje, figury, tynki i malowania

Wszystkie prace wykonuje się szybko i solidnie

Najlepsze warunki płatności
i. stawy od 1914

Pankalla & Krenz

Poznań i Toruń

Wykonuje wszelkie prace rzeźbiarskie

Decernowanie

Kamienie i szkło rzeźbione

Nawadnianie i osuszanie ścian

Wszystkie prace wykonuje się szybko i solidnie

Pomiary

Wszystkie prace wykonuje się szybko i solidnie

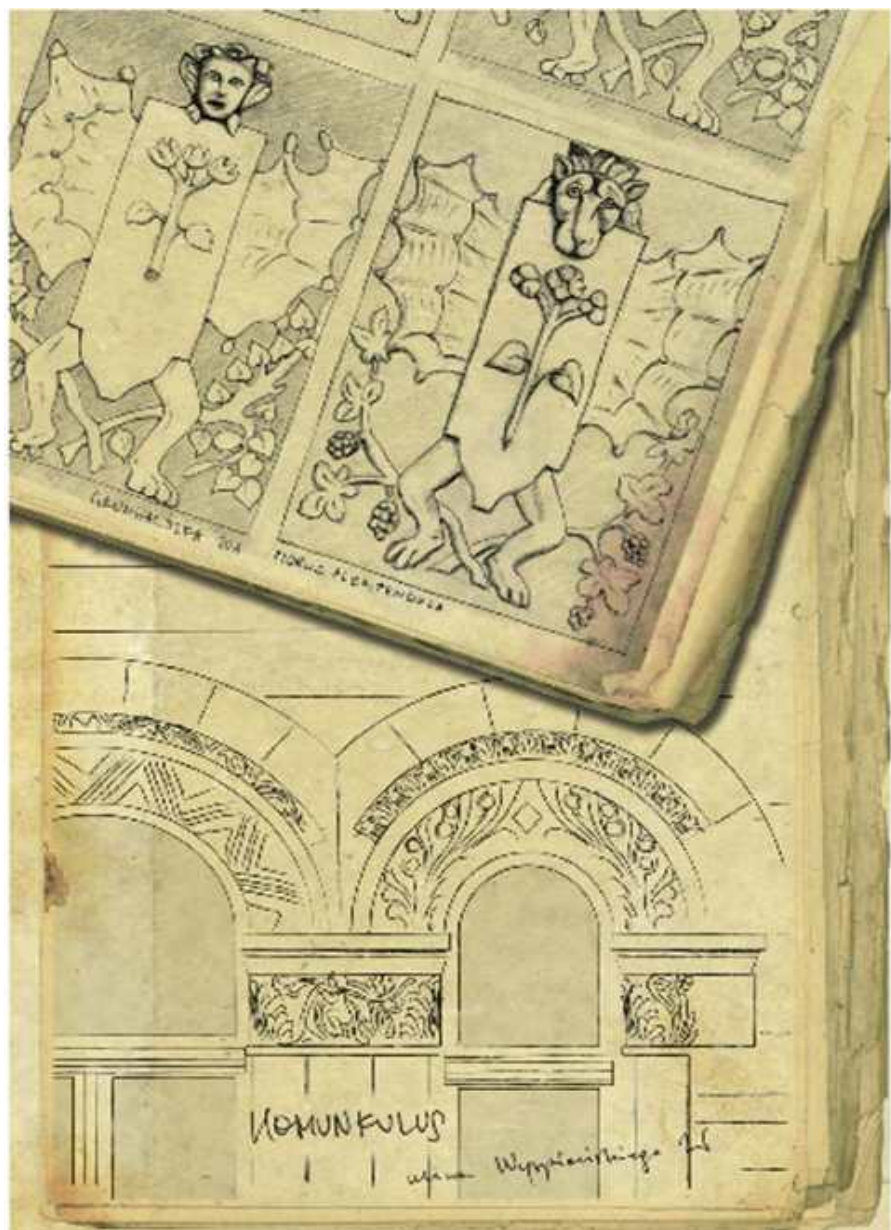
Wszystkie prace wykonuje się szybko i solidnie

GRUNWALDZKA 20A



Kaiserin Victoria Straße 20a



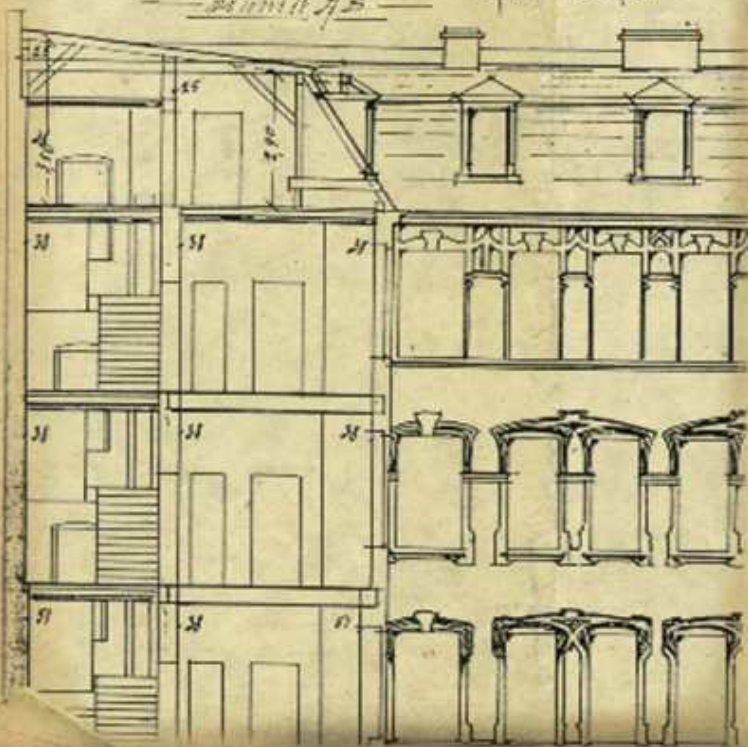




Jersitzer Marktplat. 3

Rybnick Jersitzer 3

— 1811/12/13 —



DEVED



Augustastrasse 24

UL. NIEGOLEWSKICH 24



СМЕЛКОВСКОГО

Гельмхольц-straße 22

WASSERKUNDE



MIZAR

Wasserkunde 35/37

Große Berliner Straße 35/37

AMFIBIOS



ULICA KLINGEHO 5



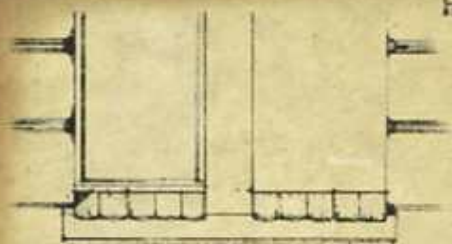
Resener Straße 44

CLOU

etwa 100m



Hilfenstraße 5



Küchen- u. Zimmer



Das Original:
Charakteristisches



PROFOS

wie Kiliński's 5



Salve!

TANATOS
ULICA: KACKEWALCA 7

AZARAK

Hohenzollernstraße 9